

Tom I

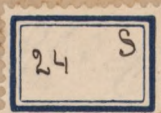
PRACA PODSTAWĄ
DOBROBYTU

Treść

1. *Zygmunt Straszewicz* — Od czego zależy bogactwo narodów.
2. *Bolesław Prus* — Świętować czy pracować?
3. *H. Klepacki* — Jak pracują Japończycy?
4. *S. K. Drewnowski* — Płaca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika.
5. *Zygmunt Straszewicz* — Najważniejsze zadanie szkoły.
6. *Eugenjusz v. Böhm-Bawerk* — Teoria wyzysku.
7. Bolszewizm i socjalizm.
8. *Zygmunt Straszewicz* — Rola przemysłu w niepodległej Polsce.
9. Historia o szczęśliwej wyspie czyli nieróbstwo.
10. Socjalizm a dobro narodu.
11. Postęp i bolszewizm.
12. Bolszewicy w Rosji.
13. Czerezwyczajka.
14. Bolszewizm na Węgrzech.
15. O demokracji i bolszewizmie.
16. *Z. Straszewicz* — Przyjaciele ludu.

WARSZAWA
„LIGA PRACY” CZACKIEGO 5
1923.

WYDAWNICTWO „LIGI PRACY”



Od czego zależy bogactwo narodów

NAPISAŁ
ZYGMUNT STRASZEWICZ

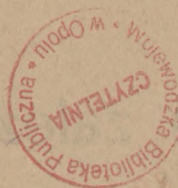
Wydanie trzecie

**Kolekcja
Emila Kornasia**



WARSZAWA
WYDRUKOWANO W DRUKARNI J. ULASIEWICZA
MARSZAŁKOWSKA № 49
1922

0. 31269
Wpisano do Księgi Akcesji
Bibl. Uniwers. w Opolu



CM KEK

321800



Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 50 / 201 / CM

Anglja jest bogata, kraj nasz należy do ubogich, chociaż są kraje znacznie jeszcze uboższe. Trudno jest obrać bogactwo narodu, nie ulega jednak wątpliwości, że przeciętny Anglik jest przynajmniej trzy razy bogatszy od przeciętnego Polaka, a wielce jest prawdopodobnem, że stosunek ten w rzeczywistości o wiele jest dla nas niekorzystniejszym.

Skąd pochodzi taka nierówność bogactw? Dlaczego Anglicy zdołali się wzbogacić więcej od nas?

Prawdopodobnie niejeden ma gotową odpowiedź. Anglja zajmuje doskonałe położenie geograficzne, otacza ją ocean, skąd łatwość komunikacji z całym światem, posiada ona wielkie bogactwa mineralne, a mianowicie doskonały węgiel kamienny i rudę żelazną, znośny klimat i dobrą rolę. Oto są źródła bogactw angielskich!

Zastanówmy się cokolwiek nad tą odpowiedzią, a dojdziemy do wniosku, że nie jest ona słuszna. Przedewszystkiem źródła, z których Anglja ma niby czerpać swe bogactwa, istnieją i u nas.

Położenie geograficzne kraju naszego jest inne, niż położenie Anglii; każde z nich ma swe dobre i złe strony, trudno jednak byłoby dowieść, że jedno jest znacznie gorsze od drugiego. Ziemia nasza, tak samo jak angielska, zawiera w swem łonie i żelazo i węgiel, klimat i rola w naszym kraju niewiele ustępują angielskim.

Może być zresztą, że warunki naturalne złożyły się pomyślniej w Anglii, niż u nas, lecz różnica w tym względzie

z pewnością jest bez porównania mniejsza, niż różnica bogactw, nie może też być jej wyłączną przyczyną.

Rozejrzymy się cokolwiek po szerokim świecie, a sprawa wyjaśni się lepiej.

Hiszpanja posiada warunki naturalne doskonałe, położenie geograficzne podobne do położenia Anglii, bogactwa mineralne większe od angielskich, glebę bogatszą i klimat lepszy. Przy tem wszystkiem Hiszpanie są narodem ubogim w porównaniu z Anglikami. Prawdopodobnie zamożność Hiszpanji mało się różni od naszej.

Bogactwa naturalne Indji Wschodnich są przysłowiowe, pomimo to panuje tam prawie ustawiczny głód, i nie wiele jest krain na świecie, posiadających równie ubogą ludność.

Z drugiej strony istnieje kraj, którego warunki naturalne złożyły się wyjątkowo niepomysłnie. Szwajcarja leży daleko od morza, nie posiada wcale rzek spławnych, a góry ogromnie utrudniają komunikację nie tylko ze światem, ale i z miastem najbliższem; bogactwa mineralne tak dobrze jak żadne, klimat wprawdzie na ogół dobry, ale gleba licha. Pomimo to wszystko Szwajcarja należy do krajów bogatych i pod tym względem niewiele ustępuje Anglii.

Widzimy więc, że w krajach, którym matka natura nie poskąpiła niczego, może mieszkać bardzo uboga ludność, z drugiej zaś strony w krajach upośledzonych od natury, ludność może osiągnąć wysoki stopień dobrobytu. Wniosek stąd, że warunki naturalne w nieznacznym tylko stopniu wpływają na stopień bogactwa kraju, i że dla wyjaśnienia sprawy trzeba szukać czynników innych.

W tym celu zastanówmy się nieco nad pytaniem, dlaczego uważamy Anglików za bogatych i co stanowi bogactwa angielskie?

Wielu ludziom odpowiedź nawinie się sama przez się. Anglików uważamy za bogatych, ponieważ mają dużo pieniędzy.

Jest w tem odrobina prawdy, gdyż bogactwo zazwyczaj wyraża się w pieniądzach. Tak np. pewien statystyk obrachował, że całkowity majątek Anglii, znajdujący się w po-

siadaniu osób prywatnych (a więc nie licząc majątku, należącego do państwa i gmin), wynosi okragłą setkę miliardów rubli. Nie idzie jednak wcale zatem, aby gdziekolwiek istniała tak olbrzymia masa gotówki. W rzeczywistości gotówka stanowi tylko niewielką część narodowego majątku. Mamy powody przypuszczać, że gotówka wynosi znacznie mniej od jednej setnej części całkowitego majątku Anglii, reszta zaś to są fabryki, kopalnie, okręty, grunta i t. d.

Oczywistą jest rzeczą, że wszystkie te bogactwa są wynikiem pracy ludzkiej. Fabrykę i okręt trzeba było zbudować, a przedtem jeszcze wyrobić wszystkie potrzebne do tego materiały. Ruda i węgiel istniały pod ziemią od wieków, ale dopiero praca ludzka zrobiła z nich coś użytecznego dla ludzi; trzeba było przeprowadzić rozległe i pracowite poszukiwania, aby określić położenie warstw, minerału trzeba było następnie zbudować szyby, sztolnie i chodniki, założyć wielce złożone urządzenia do odwadniania i wentylacji kopalni a także do wyciągania produktu na światło dzienne. Jednem słowem poświęcono tu olbrzymią masę pracy, bez której złoża minerału nie przynosiłyby żadnej korzyści.

Rola angielska też istniała od wieków, ale ileż to pracy włożyli Anglicy, aby doprowadzić gospodarstwo rolne do tego kwitnącego stanu, w jakim się dzisiaj znajduje. Niewiele przynosiłaby ta rola bez całego systemu meljoracji, znakomitych maszyn rolniczych, wygodnych maszyn gospodarskich, nareszcie doskonałych gatunków roślin i ras inwentarza, znakomicie przystosowanych do potrzeb i warunków. Trzeba dodać, że tych pięknych rzeczy Anglicy nie zapożyczali z zagranicy, tak jak my, gdyż szli oni na czele postępu rolniczego. Musieli oni prawie wszystko to wynaleźć, wypróbować i udoskonalić za pomocą pracowitych i mozolnych doświadczeń.

Każda część bogactwa angielskiego jest płodem pracy angielskiej. Anglicy bogatsi są od nas, gdyż od dawien dawna więcej i lepiej pracowali od nas. Kto głębiej zastanowi się nad całą sprawą, temu prawda ta stanie się tak jasną, że innych przyczyn doszukiwać się nie będzie.

Trwałe bogactwo kraju i trwałe dobrobyt są zawsze rezultatem jedynie tylko pracy narodu. Naród, pracujący mało i źle, jest zawsze ubogi; naród, pracujący dużo i dobrze, zawsze osiąga wysoki stopień dobrobytu. Jest to prawo żelazne, znoszące drobne tylko odchylenia, ale nie znające wyjątków.

*

*

*

Wydaje się rzeczą pewną, że na dzisiejsze bogactwo Anglii składała się praca długiego szeregu pokoleń: również przyczyny naszego ubóstwa tkwią w lenistwie i opieszałości, jakie panowały w naszym kraju w ciągu wieków. Stąd prosty wniosek: gdybyśmy nawet od dzisiaj wzięli się do pracy z inteligencją i energją angielską, to jednak w ciągu wielu pokoleń nie bylibyśmy w stanie dorównać Anglii w dobrobycie. Owoce pracy naszej nieprędko by się ukazały. Dopiero może za kilka wieków wznieslibyśmy się na ten poziom bogactwa, na którym dzisiaj stoi Anglja.

Twierdzenie takie byłoby za pośpieszne. Wyływa z niego logicznie inny wniosek, a mianowicie: gdyby wszyscy Anglicy pewnego pięknego poranku zaczęli pracować zupełnie według naszej mody, to jest z naszą energją i naszą inteligencją, to następstwa tej zmiany bardzo długo dałyby na siebie czekać. Anglicy w ciągu jeszcze wielu pokoleń pozostawaliby wciąż narodem bogatym.

Dwa te twierdzenia stoją ze sobą w ścisłym związku. Albo obydwa są prawdziwe, albo obydwa fałszywe. Tymczasem niedorzeczność drugiego z nich rzuca się w oczy.

Przypuśćmy, że istotnie zaszła w Anglii wyżej wskazana zmiana na gorsze. W pewnej kopalni pracuje kilkuset ludzi; ponieważ każdy z nich pracuje teraz gorzej, zatem kopalnia zaczyna odrazu mniej wydobywać węgla, czy rudy. Wartość kopalni zależy przedewszystkiem od ilości wydobywanego materiału: ze zmniejszeniem tej ilości wartość zmniejsza się odrazu.

Tak samo zmniejsza się odrazu wartość fabryk, gdyż zaczną dawać wyroby gorsze i w mniejszej ilości.

Widzimy więc, że już następnego dnia po zaszłej zmianie majątek Anglii doznałby znacznego uszerbku. Dalsze straty nie dałyby na siebie długo czekać.

Po roku pola gorzej uprawne wydałyby mniej plonów, inwentarz rolny, doznając gorszej opieki, marniałby powoli, zmniejszałyby się zatem wartość angielskich gospodarstw rolnych.

Lecz to dopiero początek. Dzień każdy przynosiłby nowe straty. Kompanje okrętowe angielskie, obsługując kupców i pasażerów niedbale i niesumienne, szybko uległyby w walce konkurencyjnej z kompanjami amerykańskimi, niemieckimi i t. d. Wiele okrętów, nie mając co przewozić, pozostałoby w portach jako na nic nieprzydatne stare pudła.

Wyroby fabryk angielskich, jako gorsze, szybko ustępowałyby z rynku międzynarodowego przed towarami amerykańskimi, belgijskimi, francuskimi i t. d. Skutkiem tego trzeba byłoby zamknąć wiele fabryk i kopalni, lub zmniejszyć produkcję.

Dobrobyt angielski spadałby coraz niżej, aż doszedłby do poziomu, odpowiadającego pracowitości, energii i inteligencji mieszkańców, t. j. do tego poziomu, na którym stoi dobrobyt obecnie u nas albo na którym stał przed wojną. Na całą tę zmianę potrzeba byłoby prawdopodobnie nie więcej od lat kilkunastu najwyżej kilkudziesięciu.

Nie więcej czasu zajęłaby metamorfoza odwrotna. Gdybyśmy wzięli się do pracy z inteligencją, energją i sumiennością angielską, to prędko bardzo kraj nasz dorównałby Anglii pod względem bogactwa i dobrobytu.

Rozważania następujące oświecą całą tę sprawę z innej nieco strony.

Bogactwa ludzkie są nietrwałe. Wydaje się, że przedmioty i urządzenia, wytworzone ręką człowieka na jego pożytek, są jakby gwałtem nad przyrodą. Przyroda też mści się za to i usiłuje wszelkimi środkami zniszczyć bogactwo ludzkie.

Gdyby wyludnić jakąś krainę, kwitnącą dzisiaj w dobrobycie i kulturze, to za jakie lat trzydzieści z krainy tej

zrobiłaby się pustynia. Z miast pozostałyby tylko gruzy i zgliszcza, uprawne pola i ogrody zarosłyby lasem, pokryły się lotnymi piaskami lub zamieniły w bagna, drogi zginęłyby w gruncie. Tylko ruiny i wykopaliska świadczyłyby, że kwitła tu niedawno potężna cywilizacja. Gdyby przyszli tu nowi osiedleńcy, to musieliby stwarzać prawie wszystko na nowo, jak w dziewiczej puszczy brazylijskiej.

Że toż samo nie dzieje się w krajach zamieszkałych, to tylko dla tego, że człowiek ustawiczną pracą broni swe dzieła przed niszczącymi wpływami natury.

Dom mieszkalny jest jednym z najtrwalszych dzieł ręki człowieka; nie mniej jednak, aby w prędkim czasie nie zamienić się w ruinę, wymaga on ustawicznej pracy ludzkiej. Potrzeba go wciąż restaurować, odnawiać, utrzymywać czystość. Na budowę domu potrzeba wyłożyć pewną ilość pracy ludzkiej, takąż samą ilość pracy potrzeba wyłożyć, aby utrzymać tenże sam dom w dobrym stanie i porządku w ciągu lat trzydziestu kilku.

Pomimo tej pracy po upływie pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu lat, części drewniane pogniją, żelazne przerdzewieją, mury zmurszeją lub popękają, prócz tego plan i rozmiary domu przestaną już odpowiadać zmienionym warunkom. Skutkiem tego okaże się korzystnem stary dom rozebrać i postawić na to miejsce nowy. Są domy, które trwają po kilkaset lat, ale inne natomiast znikają z powierzchni ziemi już po latach kilku lub kilkunastu wskutek pożaru, lub zmiany warunków.

Jak już zauważyliśmy, domy mieszkalne należą do bogactw najtrwalszych, budynki fabryczne mają żywot daleko krótszy, maszyna, według rachunków przemysłowców, po latach dziesięciu staje się niezdadną do pracy, przedmioty codziennego użytku, zapasy żywności, materiały opałowe i t. d. potrzeba odnawiać ustawicznie.

W organizmie naszym zachodzi ciągła zmiana materji. Częstki zużyte zostają wydalone z ciała, na to miejsce przychodzi materja świeża, zaczerpnięta z pokarmów i odpowiednio przerobiona. Tym sposobem ciało nasze wciąż się

odnawia. Zjawisko to jest jednym z głównych procesów życiowych; z ustaniem jego — ustaje życie.

Coś podobnego dzieje się w dziedzinie bogactw ludzkich. Co chwila część bogactwa narodowego ulega zniszczeniu i zostaje zastąpiona przez bogactwa świeże. Materiału do tych ostatnich dostarczają nam głównie uprawne grunty, lasy i kopalnie. Na wydobywanie materiału i jego przeróbkę człowiek poświęca przeważną część swej pracy.

Tak więc majątek narodowy wciąż się odnawia. Zjawisko to jest podstawą życia ekonomicznego kraju. Jeżeli odnawianie to w jakimkolwiek rodzaju bogactw doznaje przeszkód, kraj zaczyna niedomagać ekonomicznie. Jeżeli proces odnawiania zostaje sparaliżowany lub osłabiony na czas dłuższy, społeczeństwo szybko ubożeje.

Ponieważ majątek narodowy odnawia się częściowo co chwila, zatem po upływie pewnego okresu w pewnym sensie odnowi się kompletnie. Mamy powody twierdzić, że w kraju tak ruchliwym jak Anglja, okres ten trwa z pewnością nie dłużej od lat trzydziestu.

Wytłomaczmy się dokładniej.

Znaczna część angielskich domów i gmachów publicznych, kolei, okrętów i t. d. trwa dłużej od lat trzydziestu kilku, ale na konserwowanie tych bogactw potrzeba w ciągu wymienionego okresu poświęcić tyleż pracy, ile kosztowało ich wytworzenie. Inna daleko większa część bogactw zostaje w tym czasie odnowiona raz lub więcej razy. Na tej zasadzie można powiedzieć, że dzisiejsze bogactwa angielskie są płodem pracy ostatnich lat trzydziestu kilku. Tyle mniej więcej czasu zajęłoby Anglikom odbudowanie swej fortuny, gdyby skutkiem jakiegoś wypadku utracili cały majątek narodowy.

Przypuśćmy naprz., że zaszedł wypadek fantastyczny, który jednak można w ogólnych zarysach odtworzyć w wyobraźni: Polacy przenieśli się do Anglji i zagarnęli wszystkie bogactwa angielskie, natomiast Anglicy przenieśli się do naszego kraju i otrzymali naszą chudobę, jako odszkodowanie. Mybyśmy odrazu stali się bogaczami, Anglicy zaś bie-

dakami. Stan taki jednak trwałby niedługo, gdyby każdy z narodów pracował na nowej siedzibie tak, jak na starej. Z rozważań poprzednich wynika, że po upływie lat trzydziestu kilku, a może i wcześniej, Anglicy staliby się równie bogatymi, jak dzisiaj, my zaś z pewnością w krótszym czasie powrócilibyśmy do dzisiejszego stanu ubóstwa.

Z jakiegokolwiek strony rozważać tę sprawę, zawsze dochodzi się do wniosku, że obecny stan bogactwa narodowego jest wynikiem jedynie tylko pracy narodu i to głównie ostatniego pokolenia. Nie tylko więc do każdego narodu, ale i do każdego pokolenia stosuje się przysłowie: jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

* * *

Wypada nam zastanowić się jeszcze nad jedną stroną rozważanej sprawy, a mianowicie: czy istotnie Anglicy pracują więcej od nas?

Na pierwszy rzut oka rzecz wydaje się wątpliwą. Włościanin nasz prawdopodobnie dłużej pracuje w polu, niż fermer angielski; robotnik nasz prawie tyleż przesiaduje w fabryce co robotnik angielski, a przynajmniej tak było przed wojną.

Przedewszystkiem należy wziąć pod uwagę, że główne znaczenie ma rezultat pracy, a nie czas nad nią strawiony, a oczywistą jest rzeczą, że praca fermera angielskiego musi być znaczenie wydajniejszą od pracy naszego włościanina. Pierwszy posiada poważne wykształcenie rolnicze, zna się dobrze na nawozach sztucznych, płodozmianach, narzędziach rolniczych, racjonalnej hodowli i t. d., dla drugiego zaś są to wszystko rzeczy obce lub mało znane. Dlatego też Anglik urządził swą fermę pod względem rozkładu gruntów jaknajpraktycznej i wyciąga z ziemi wszystko, co tylko jest możliwe przy współczesnym stanie wiedzy rolniczej. Polak trzyma się uparcie szachownicy, przy której o dobrem gospodarstwie nie można marzyć, a prócz tego gospodaruje w sposób pierwotny, który wymaga wielkiej pracy, a daje liche plony.

Mniej może różni się robotnik polski od swego angielskiego kolegi, ale w każdym razie jest mniej od niego oświe-

cony i inteligentny. Dlatego też Anglik łatwiej i gruntowniej opanowuje technikę swego fachu, prędzej i lepiej wypełnia każdą pracę. Podobna różnica co do inteligencji i wiedzy fachowej zachodzi pomiędzy fabrykantem angielskim i polskim. Dlatego też pierwszy praktyczniej urządza swą fabrykę i zaopatruje swych robotników w lepsze środki techniczne, nie dziw więc, że wydajność pracy robotnika naszego musi być mniejsza, niż wydajność pracy robotnika angielskiego.

Z powyższego widzimy, że pracowitość ludności nie jest jedynym warunkiem wzbogacania kraju; potrzeba jeszcze wiedzy i inteligencji, a zobaczymy zaraz, że potrzebny jest jeszcze jeden przymiot.

Słuszne jest, że u nas wielu ludzi odznacza się pracowitością, której nie wstydziłby się Anglik, ale zato jest bardzo wielu, którzy nie pracują wcale, a przynajmniej nie przyczyniają się do powiększenia bogactwa kraju.

Nie mam tu na myśli próżnujących bogaczy, gdyż liczba ich jest bardzo niewielka, prawdopodobnie mniejsza u nas, niż w Anglii. Chodzi mi o coś innego i wyjaśnię to na przykładzie.

W pewnej okolicy naszego kraju istnieje browar, któremu sąsiad rolnik dostarcza jęczmienia. Wydaje się rzeczą naturalną, aby browar kupował jęczmień wprost od rolnika, gdyż handel taki byłby korzystny zarówno dla jednej, jak i drugiej strony. W rzeczywistości jednak stosunek taki rzadko się spotyka, i każdy wie dobrze dlaczego.

Obydwie strony są zamało uczciwe, aby podobnie prosty stosunek mógł się utrzymać. Rolnik dostarczałby jęczmień niepunktualnie, dawał złą miarę i ziarno zanieczyszczone, skutkiem czego browar ponosiłby straty. Właściciel browaru odpłacałby pięknem za nadobne; na porządku dziennym byłyby szykany przy odbiorze jęczmienia, wstrzymywanie wypłaty do nieskończoności, urywanie z należności pod najłżejszym pozorem. Obydwie strony byłyby niezadowolone, i cała sprawa skończyłaby się na procesach.

Aby umożliwić stosunki, zjawia się pośrednik, który

kupuje jęczmień od rolnika i sprzedaje do browaru. Ten umie zmusić rolnika do względnej przynajmniej punktualności, umie on również zapewnić sobie w browarze pobłażliwość często zbyt wielką, co do gatunku i czystości jęczmienia, potrafi także wyciągnąć należność.

Pośrednik tutaj oddaje obydwu stronom ważne usługi, gdyż umożliwia im handel, nie dziw więc, że każe sobie dobrze płacić. Rolnik sprzedaje tanio, właściciel browaru kupuje drogo, różnica idzie do kieszeni pośrednika. Dwa pierwsi płacą za swą nieuczciwość.

Przy naszym poziomie moralnym, pośrednik taki jest złem koniecznem, w Anglii jednak, gdzie uczciwość w handlu jest przymiotem elementarnym, działalność pośrednika w danym wypadku byłaby zbyt duża. Skutkiem tego musiałby on wziąć się do innego bardziej użytecznego zajęcia i skutecznie przykładać się do powiększenia bogactw krajowych.

Rozważaliśmy tu wypadek szczególny, ale charakterystyczny. Ogromna ilość transakcji handlowych dużych i małych odbywa się u nas przy pomocy pośredników, którzy zagarniają sobie dzisiaj znaczną część zysku, a nie mieliby nic do roboty, gdyby ludzie byli uczciwi. Tem się tłumaczy np. dziwny fakt, że rolnicy sprzedają produkty rolne bardzo tanio, ludność zaś miejska kupuje te produkty bardzo drogo.

Nasi przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy i rolnicy narzekają powszechnie na brak taniego i łatwego kredytu. Źródło złego tkwi znowu w powszechnej nierzetelności w sprawach pieniężnych; trudno udzielać pożyczek, gdy tak często u nas odebranie należności jest połączone z trudnościami i stratami, a nierzadko też pożyczka ostatecznie przepada.

Wobec braku taniego kredytu, mają obszerne pole do działania lichwiarze, których cała armja zgarnia dla siebie owoce cudzej pracy, niczem nie przyczyniając się do wzbogacenia kraju.

Wejrzyjmy w jakikolwiek szczegół naszego życia ekonomicznego, a wszędzie przekonamy się, że wskutek nie-

uczciwości ogólnej, kraj musi utrzymać masę jednostek ekonomicznie nieużytecznych i płacić im ciężki haracz.

Lecz nie tu się kończą skutki braku uczciwości. Prócz wyżej wskazanych pasożytów społecznych próżnuje u nas zawsze masa ludzi, nie znajdujących zajęcia. Aby ich zatrudnić, potrzeba byłoby założyć nowe fabryki, warsztaty i t. d.

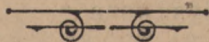
Nowe przedsiębiorstwo rzadko kiedy dochodzi do skutku siłami pojedynczego człowieka; do tego potrzeba stowarzyszeń lub spółek; aby zaś stowarzyszenie mogło powstać i działać korzystnie, niezbędna jest uczciwość i dobra wola stowarzyszonych. Oto jest jedna z głównych przyczyn, dlaczego u nas tak opornie rozwija się przemysł, który mógłby zatrudnić masę próżnujących dzisiaj ludzi.

Nie rozwodząc się nad tem szerzej, można powiedzieć wogóle, że brak uczciwości paraliżuje całe życie ekonomiczne kraju, nie pozwalając mieszkańcom użyć wszystkich rozporządzalnych sił na wytwarzanie bogactw.

Zsumujmy to wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli. Bogactwo narodowe powstaje tylko z pracy narodowej, aby jednak ta praca mogła wydawać bogate plony, prócz pracowitości potrzebne są wiedza i uczciwość.

Pracowitość, oświata i uczciwość to są trzy główne źródła, z których płynie dobrobyt narodowy. Anglicy są bogatsi od nas nie tylko dlatego, że są pracowitsi, lecz i dlatego, że są oświeceńsi i uczciwsi.

Kto pracuje nad podniesieniem wydajności pracy, oświaty i moralności, ten najskuteczniej przyczynia się do powiększenia dobrobytu. Otuchę powinien czerpać w tym pewniku, że owoce takich starań dojrzewają bardzo szybko.



Wykaz subsydjów, otrzymanych przez Tow. „Liga Pracy“ od 1-I 21 r. do 31-XII 21 r.

Bank dla Handlu i Przemysłu	Mk.	51,000
Bank dla Handlu Zagranicznego	„	50,000
Bank Dyskontowy Warszawski	„	50,000
Bank Handlowy w Warszawie	„	50,000
Bank Przemysłowców Polskich	„	5,000
Bank Ziemiański	„	10,000
Bank Związków Ziemiian	„	50,000
Bank Związku Spółek Zarob. w Poznaniu	„	20,000
Bohm Ferd. w Włocławku	„	5,000
Borkowski Ł. J. Sp. Akc. („Elabor“)	„	100,000
Fitzner W. i Gamper K. Tow. Akc.	„	10,000
Fragnet Józef	„	5,000
„Granum“ Sp. Akc.	„	25,000
Heinzel Juljusz, Akc. Tow. Przem. w Łodzi	„	25,000
Henneberg Bracia, Fabryka Wyr. Plater.	„	10,000
Landau Wacław	„	100,000
Leder S. i Heymann M.	„	5,000
Lisowski M., Sp. Akc. Handlu i Przem. Metal.	„	10,000
„Łazy“, Tow. Akc.	„	10,000
Martens i Daab, Tow. Akc.	„	10,000
„Miedziankit“, Tow.	„	10,000
Ministerstwo Przemysłu i Handlu	„	50,000
Mirkowskiej Fabryki Papieru Tow. Akc.	„	100,000
Modrzejowskie Zakłady Górniczo-Hutnicze	„	10,000
Ostrow. Tow. Wielkich Pieców i Zakł. Hut.	„	150,000
„Palatine“, Pol. Amer. Tow.	„	25,000
Polskie Towarzystwo Budowlane	„	15,000
Polskie Tow. Przedsiębiorstw Elektrycznych	„	50,000
Scheibler K. i Grohman L., Zakł. Prz. Tow. Akc.	„	100,000
Shottland Maksymiljan	„	250,000
„Siła i Światło“ Sp. Akc.	„	10,000
Starachowickich Zakładów Górniczych Tow.	„	35,000
„Stradom“ Częstochowskie Zakł. Wyr. Włók.	„	10,000
Wabia-Wabiński W.	„	10,000
Warszawska Spółka Myśliwska	„	25,000
Warszawska Warrantowa Spółka Akcyjna	„	25,000
„Wiek“, Tow. Akc. Przem. Cement.	„	5,000
„Wulkan“, Warsz. Tow. Fabr. Wyr. Met. i Emal.	„	15,000
„Zawiercie“, Tow. Akc.	„	100,000

Razem Mk. 1,596,000

Ponadto Pabjanicka Fabryka Papieru Rob. Saenger ofiarowała 3 bele papieru drukowego, a Tow. Akc. Steinhagen, Wehr i S-ka—1 belę.

Wydawnictwa „Ligi Pracy“.

Warszawa, Czackiego 3/5.

„Najważniejsze zadanie szkoły“ napisał Zygmunt Straszewicz, wydanie 3-cie, 1922.

W pierwszej części tej broszury p. t. „Praca niewolnicza i praca wolna“, autor dowodzi, że szkoła powinna wychowywać ludzi wolnych, a wolnym jest ten, kto pracuje nie pod przymusem, lecz z zamiłowania. Druga część p. t. „Szkoła pracy“ zawiera pogląd autora na przyszłą szkołę, w której zostaną osiągnięte cele, omówione w części pierwszej.

„Hygiena pracy“ napisał Dr. Władysław Chodecki, 1920. Cena 20 mk.

Stwierdziwszy na wstępie, że umiarkowana i systematyczna praca jest najlepszym lekarstwem na współczesną nerwowość i że próżniactwo nigdy nie wychodzi na pożytek organizmowi, autor wykląda zasady higieny pracy, omawia znaczenie odpoczynku, rozpatruje wpływ urozmaicenia pracy, porę dnia, najodpowiedniejszą do pracy, wpływ alkoholu i t. d.

„0 strajkach“. Wydanie 2-gie, 1921. Cena 50 mk.

Jest to broszura, złożona z kilku prac. Pierwszą stanowi artykuł prof. A. Rotherta p. t. „O strajkach“, wyjaśniający istotę strajku ekonomicznego i politycznego, przyczyny oraz skutki strajków, które w obecnych warunkach prowadzą Państwo nasze do zguby. Druga praca p. t. „Kosztowność i bezużyteczność strajków“ jest wyjątkiem z dzieła Filipa Snowdena (przywódcy partii robotniczej w Parlamencie Angielskim) p. t. „The Living Wage“. Z pomocą danych statystycznych autor dowodzi w sposób nieodbitý, że strajki nie tylko nie polepszają doli klasy robotniczej, lecz odwrotnie wyrządzają jej ciężką szkodę. Trzecią częścią broszury jest „Odezwa Ligi Pracy do wszystkich myślących Polaków“ w sprawie strajków.

„Kultura Polska w niebezpieczeństwie“ (przyczynek do badań epidemji strajkowej), 1920. Cena 20 mk.

Broszura ta jest poświęcona sprawie strajku w drukarniach (od 1.X do 20.XI 1919 r.), omawia organizację jego, niesłuszne żądania strajkujących, straty, spowodowane przez strajk i zakończona jest odezwą Ligi Pracy do pracowników drukarskich — Polaków.

„Teorja Wyzysku“ (Rodbertus i Marks) napisał Eugenjusz v. Böm-Bawerk. Przełożył z niemieckiego Zygmunt Straszewicz, wydanie 2-gie, 1920. Cena 60 mk.

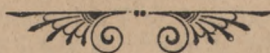
Treścią „Teorji wyzysku“ są podstawy teoretyczne socjalizmu oraz ich analiza krytyczna z punktu widzenia nowoczesnej nauki ekonomicznej. Wykład jest bardzo jasny, żywy i zajmujący, a przytem gruntowny.

„Praca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika“ przez S. K. Drewnowskiego inż. technologa, 1919. Cena 30 mk.

• Autor dowodzi na przykładach, że mniemanie, jakoby można podnieść dobrobyt robotnika przez podniesienie tylko wysokości jego płacy zarobkowej jest zupełnem złudzeniem, gdyż koniecznym warunkiem podniesienia dobrobytu jest jeszcze powiększenie wydajności pracy. W dalszym ciągu autor stwierdza faktami, do jak katastrofalnych wyników doprowadziły Rosję te błędne pojęcia.

„Jaki system płacy stosować w dzisiejszych warunkach“ napisał Al. Rothert. 1921. Cena 100 mk.

Jest to opis i ocena najważniejszych systemów płacy robotniczej, stosowanych w zakładach przemysłowych; sprawa bardzo ważna i żywotna, omówiona niezwykle jasno i gruntownie.



WYDAWNICTWO „LIGI PRACY“

Świętować czy — pracować?

napisał

BOLESŁAW PRUS
(Aleksander Głowacki).



WARSZAWA

WYDRUKOWANO W DRUKARNI J. ULASIEWICZA
MARSZAŁKOWSKA № 49

1922

WYDAWNICTWA „LIGI PRACY“

WARSZAWA, CZACKIEGO 3/5

Zygmunt Straszewicz.	„Od czego zależy bogactwo narodów“.	Wydanie 3-cie. 1922. Cena	20 mk.
„	„	„Najważniejsze zadanie szkoły“.	
		Wydanie 3-cie. 1922. Cena . .	30 „
Dr. Władysław Chodecki.	„Hygiena pracy“.	1920. Cena	20 „
S. K. Drewnowski,	„Płaca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika“.	1919. Cena . . .	30 „
Aleksander Rothert.	„Jaki system płacy stosować w dzisiejszych warunkach?“	1921. Cena	100 „
	„O strajkach“.	Wydanie 2-gie. 1921. Cena . . .	50 „
	„Kultura polska w niebezpieczeństwie“.	1920. Cena. .	20 „
Plakat:	„Mała wydajność pracy, strajki podcinają produkcję krajową, wzmacniają wrogów“.	Cena .	50 „
	„Państwo Polskie w niebezpieczeństwie“	1921. Cena.	20 „
Eugenjusz v. Böhm-Bawerk.	„Teoria wyzysku“ (Rodbertus i Marx).	Przełożył z niemieckiego Zygmunt Straszewicz. Wydanie 2-gie. 1920. Cena	60 „
	„Bolszewizm i socjalizm“	1922. Cena	20 „
Zygmunt Straszewicz.	„Rola przemysłu w niepodległej Polsce“.	1921. Cena	40 „
	Ulotki pod nazwą „Ciekawe kartki“.	1922. Cena 1 ulotki.	10 „

W druku:

F. W. Taylor. „Zasady organizacji naukowej zakładów przemysłowych“. Tłom. H. Mierzejewski. Wyd. 2-gie. 1922.

W początkach lipca Papież Pius X-y ogłosił dekret, niezmiernej wagi dla naszego społeczeństwa, o zmniejszeniu liczby świąt. Dotychczas katolik, oprócz 52 niedziel, miał obowiązek jeszcze 17 dni w roku święcić zapomocą nabożeństw i powstrzymania się od pracy. Obecnie liczba dni świątecznych może być zredukowana do siedmiu, działalność więc ludności katolickiej zyskuje dziesięć dni na rok, co w korzystny sposób powinno oddziaływać na ogólny dobrobyt, gdyby zamiar papieża w całej rozciągłości został urzeczywistniony.

Lecz już dziś widać, że w sprawie tej, w społeczeństwie naszym, panują dwa poglądy: jeden pragnie zmniejszenia liczby świąt, drugi — wiadomość o tem przyjął dosyć niechętnie.

Stronnikami powiększenia ilości dni pracowitych są — przedewszystkiem nasi inżynierowie, ludzie, którzy bywali za granicą, widzieli, w jaki sposób pracuje się tam, i rozumieją, na czem polega wysoki dobrobyt i cywilizacja zachodniej Europy. To też w Stowarzyszeniu Techników, jeszcze przed dekretem papieżkim, jeszcze w miesiącu grudniu roku zeszłego, zastanawiano się nad wynalezieniem sposobów ograniczenia liczby świąt, praktykujących się w naszym kraju, w fabrykach i warsztatach. Dla Stowarzyszenia Techników odezwa Piusa X-go *De diebus festis* jest spełnieniem nie tylko gorących pragnień, lecz i gruntownie prześlanych zamiarów.

Trzeba jednak zanotować i podkreślić, że nie wszyscy podzielają opinię Stowarzyszenia Techników. To też słyszymy głosy, że: „dotychczasowe święta, obchodzone przez większość ludności krajowej — nadal obowiązywać powinny“, albo że: „obecna liczba świąt nie jest wygórowana a zarówno lud wiejski, jak i fabryczny jest stanowczo przeciwny zmniejszeniu liczby świąt“.

Że ludność, osobliwie ciężko pracująca, dąży raczej do powiększenia, aniżeli zmniejszenia liczby świat, rzecz to zrozumiała. Naprzód bowiem każdy człowiek potrzebuje nie tylko żywności, odzieży, mieszkania, ale także odpoczynku, rozmowy, zabawy, przechadzki, marzeń i te jego potrzeby są najzupełniej usprawiedliwione — istnieje głębokie prawo psychologiczne, może nawet biologiczne, na mocy którego: „Każdy pragnie otrzymać jak najwięcej korzyści, za cenę jak najmniejszego wysiłku“.

Prawo to, ze szczególną wyrazistością przejawiające się w stosunkach ekonomicznych, jest bardzo dobroczynne, stanowi bowiem, kto wie, czy nie najsilniejszą pobudkę do życiowych ulepszeń, wynalazków, słowem — całej cywilizacji. Protestować przeciw niemu byłoby niedorzecznością.

Ale niestety, obok ludzkiego serca, które dąży do najmniejszych wysiłków, staje potężne prawo: przyczynowości, którego jednym ze skutków jest to, że: „każda rzecz korzystna musi być zrobiona, czyli — wywołana zapomocą właściwych sposobów, odpowiednim nakładem sił“. Możliwy to nazwać: prawem, koniecznością pracy tem cięższej, tem trudniejszej, tem większych domagających się wysiłków, im rezultat jest bardziej złożony, im ma być doskonalszy.

Dusza ludzka jest przepelniona pragnieniami, ale do zaspokojenia ich natura dała nam tylko trochę sił fizycznych, trochę rozumu, trochę energii moralnej, trochę instynktów społecznych i — dużo materiałów surowych, które jednak z wielką pracą trzeba wydobywać z głębin, przenosić nie raz na wielkie odległości, przerabiać. niejednokrotnie setkami rąk i machin. Natura nic nie daje darmo: ani chleba, ani płótna, ani węgla, ani mostu na rzece, ani maszyny szyjącej, nic.. Wszystko trzeba wykopać, wyrąbać, wydźwigać, wykuć, wypilować, wytopić, niekiedy z narażeniem zdrowia i życia, najczęściej z wielkim nakładem sił umysłowych i wynalazczego geniuszu.

Im więcej kto poświęca czasu i sił pracy, im więcej potrafi skupić rąk do jednego celu, im działa prędzej i dokładniej, im usilniej bada i głębiej namyśla się nad przedmiotem swoich zajęć, co mówię... im bardziej kocha swą pracę, im spełnia ją weselej, tem — lepsze osiąga rezultaty. Rozumieją to narody ucywilizowane i dlatego fundamentem swego bytu uczyniły: pracę wyteżoną, mądrą, twórczą, zorganizowaną, w przeciwieństwie do ludów więcej lub mniej barbarzyńskich, które albo wcale nie pracują, albo pracują słabo, bezładnie, opieszale, uważając pracę za nieszczęście, nie zaś za źródło pomyślności i ogólnego bezpieczeństwa.

Ażeby zrozumieć potęgę dni i godzin pracowitych, w porównaniu do czasu odpoczynkowego, wyobraźmy sobie dwóch robotników. Obaj są płatni po 10 kop. za godzinę, ale Paweł pracuje 10 godzin na dobę, Gaweł tylko 9, Paweł trudni się przez 305 dni w roku, Gaweł tylko przez 290. Przypuśćmy nadto, że wartość towaru, który każdy z nich produkuje, jest 7 razy większą od zarobku.

Otóż roczne rezultaty działalności każdego z nich uplastyczni następująca tabliczka:

	Paweł	Gaweł
Pracuje w roku godzin	3050	2610
Zarabia rocznie rubli	305	261
Roczna wartość produkcji rubli.	2135	1827

Innemi słowy: Paweł, pracując rocznie więcej od Gawła o 440 godzin, zarabia o 44 ruble więcej i daje społeczeństwu za 308 rubli więcej towarów.

A teraz zróbmy jeszcze jedno przypuszczenie. Wyobraźmy sobie, że jakiś kraj posiada milion Pawłów pracowitych o godzinę na dobę i o 15 dni na rok; zaś inny kraj cieszy się milionem Gawłów, którzy ...lubią oszczędzać swoje cenne siły i zapytujemy: jak będą wyglądały te dwa kraje naprzykład po 25 latach, co odpowiada działalności jednego pokolenia.

	Kraj Pawłów:	Kraj Gawłów:
W ciągu 25 lat klasa robotnicza zarobi. . . .	7625	6525 mil. rubli
Wyprodukuje towar.za.	53375	45675 " "

Innemi słowy: po upływie jednego pokolenia kraj Pawłów będzie miał przeszło o siedem miliardów rubli więcej bogactw, aniżeli kraj Gawłów, a robotnicy pierwszego kraju oszczędzą dla siebie przeszło miliard rubli więcej, aniżeli Gawłowie.

Łatwo pojąć, że przy tak wielkiej różnicy bogactw, no... i rozsądku, kraj Pawłów musi być zdrowszy, silniejszy, bezpieczniejszy, wygodniejszy, sytszy, weselszy, oświeceńszy i wolniejszy, aniżeli kraj Gawłów. Również bez zbyt wielkiej przesady powiedzieć można, że:

różnice pomyślności, a nawet wolności dwu społeczeństw, znajdują się w stosunku mniej więcej prostym do ilości pracy, jaką każde z nich wykonywa w ciągu lat i pokoleń.

Od tej teoryi przejdźmy do praktyki i zobaczymy:

jak też wygląda nasza praca w porównaniu do zachodnio-europejskiej.

Ktoś bardzo poważny jakoby twierdził, że: „obecna liczba świąt nie jest u nas wygórowana“. W odpowiedzi oprę się na materyałach, dostarczonych mi przez prezesa Stowarzyszenia Techników, inżyniera P. Drzewieckiego.

Ile my też obchodzimy świąt w porównaniu z innemi narodami? Otóż Niemcy i Stany Zjednoczone obchodzą na rok 8 dni świąt, francuzi i belgijczycy 7, szwajcarowie 4, żydzi 16 i pół, a my 17 (Rocznik Gebethnera i Wolffa). Naprawdę jednak robotnicy nasi, nawet w Warszawie, świętują daleko więcej, mianowicie: 3 dni na Zielone Świątki, 4 na Boże Narodzenie i 5 na Wielkanoc. Razem 25 dni, oprócz 52 niedziel.

Nadto, według obserwacji inż. St. Manduka, robotnicy prowincjonalni z powodu świąt parafialnych i odpustów, mają jeszcze ze cztery dni odpoczynku. Wynikiem jego badań jest broszura p. t. „Ilość godzin pracy dziennej w przemyśle maszynowym u nas i w innych krajach“. Trzeba zaś nadmienić, że robotnicy w fabrykach maszynowych stanowią arystokrację robotniczą: należą do najświetlejszych i pracują najstaranniej.

Otóż kiedy u nas robota w fabrykach trwa 9 godzin (na prowincyi 10), prawie we wszystkich zachodnio-europejskich zakładach pracuje się godzin 10, a na przykład w Holandyi ślusarze, kowale, tokarze, elektrotechnicy trudzą się przeważnie po 11 godzin, niekiedy po 12.

W naszych fabrykach roczna ilość godzin pracy wynosi około 2600, w paru fabrykach prowincjonalnych 2900; w Warszawie najwięcej pracuje Lilpop, Rau i Löwenstein, bo 2637 godzin. Otóż fabryki zachodnio-europejskie od tej naszej najpracowitszej pracują dłużej, a różnica dochodzi do 300, 400... nawet 700 godzin na rok.

Krótko mówiąc, nie lubimy się fatygować, a oto skutki naszego oszczędzania pracy.

Cesarstwo i Królestwo sprowadza co rok mnóstwo wyrobów z zagranicy, z pośród których (według Przeglądu Technicznego) bardzo wiele dałoby się produkować u nas.

Z wydatniejszych pozycji przywozu wymieniam: skóry wyprawione za 22 milionów rubli, stolarszczyznę, tokarstwo za 4 mil., wyroby z surowca nieobrobione 2 mil., wyroby z żelaza i stali obrobione 3,6 mil., wyroby z blachy 4,7 mil., maszyny do obróbki materyałów włóknistych 2,6 mil., silniki gazowe i naftowe 6,5 mil., wogóle maszyny i przyrządy z surowca i stali 60 mil., maszyny rolnicze 16,7 mil. i t. d.

Co to znaczy... Jesteśmy więc jakąś rasą słabą, niezdolną do cywilizacyjnej pracy... Bynajmniej. Nasz chłop, na swoim pracuje nie 9, a 16 godzin na dobę, a ten sam rzemieślnik, czy robotnik fabryczny, który w kraju domaga się 8-godzinnej pracy, wyszedłszy za granicę, trzodzi się nie gorzej od innych, a niekiedy zdobywa opinię nawet lepszego, aniżeli inni.

Tymczasem w kraju praca idzie opieszale, a jednocześnie co roku setki tysięcy emigrantów polskich zapełniają folwarki i fabryki niemieckie, duńskie, amerykańskie... Więc nie mogą tutaj znaleźć zajęcia... więc we własnym kraju już im jest za ciasno... Im jest za ciasno, za to innym, mianowicie, żydom, jest nie tylko obszernie, ale i wygodnie, coraz bowiem nowe ich legiony przypływają i wręcz zdobywają nieszczęśliwe polskie miasta.

Kilka dni temu, rozmawiając z pewnym fryzyerem, zapytałem: dlaczego nasi za granicą pracują lepiej, aniżeli w domu?

— Bo zagranica uszlachetnia ich... — odpowiedział.

Tak jest. U nas lekceważy się pracę, ale zagranicą nabiera się dla niej szacunku. W Niemczech, Francji, Anglii ogromna większość męskiej młodzieży otrzymuje wykształcenie techniczne i handlowe, u nas, a szczególnie w Galicji, młodzież unika szkół technicznych i realnych, a zapełnia gimnazja, zaś np. w Paryżu studjuje filozofię, estetykę i... politykę. To też wszystkie kopalnie węgla i nafty na ziemiach polskich, wszystkie ważniejsze fabryki i handel, już znajdują się w rękach cudzoziemców. W Niemczech dyplomowane gimnazjalki, nawet z zamożnych domów, idą na posady pańien sklepowych, u nas uczą się gry na fortepianie i sztuki pielęgnowania rączy. No i mamy piękne rączki, ale brzydkie stosunki społeczne.

Także w Niemczech, syn bogatego kupca lub finansisty, stara się o bezpłatną praktykę u kolegi swego ojca i pilnością prześciga płatnych urzędników, u nas synowie pracowitych ojców mają tylko jeden rodzaj kłopotu: w jaki sposób najprędzej zmarnotrawić ciężko zdobyty majątek. W Krakowie są dwa banki: polski i czeski, otóż ludzie miejscowi bez porównania chętniej składają pieniądze w banku czeskim, ponieważ tam urzędnicy wcześniej przychodzą do roboty i staranniejsze obsługują klientów.

A jakież jest ostateczny rezultat tej niechlujnej gospodarki?

Otwieram książkę jednego z najpotężniejszych myśli-

cieli europejskich, Le Bona, i znajduję taki ustęp:

„Nie ma potrzeby odwoływać się do rozważań metafizycznych lub sentymentalnych, aby nauczyć młodzież o wartości ideału ojczyzny; dość im pokazać, co się stało z ludami, które ją utraciły. Historia Irlandyi, Polski, Armenii, głośno mówi nam: co się dzieje z narodami, które przeszły pod władzę panów cudzoziemskich. Irlandczycy, morzeni głodem przez Anglików, Armeńczycy co pewien czas wyrzynani przez Turków, Polacy batożeni przez Niemców, gdy ośmiela się protestować przeciw gniołącemu ich jarzmu“...

Taką mamy opinię w uczonej Europie, tyle ona wie o naszych losach. Nie znają tam naszych prac, naszych wyrobów, naszych wynalazków, tylko naszą dolę, która już nawet nie budzi litości, lecz służy do straszenia młodzieży francuskiej, ażeby więcej dbała o ojczyznę.

Niechże nam nikt nie tłumaczy, że — nie mamy za dużo świąt i że nie można zmniejszyć ich liczby, ale raczej niech dobrzy obywatele na każdym kroku przypominają, że: mamy zbyt mało pracy fizycznej i umysłowej, twórczej i zorganizowanej, tudzież — że: dola narodów znajduje się w stosunku prostym do ilości trudów i wysiłków.

Im więcej, im mądrzej, im solidarniej, im pomysłowiej będziemy pracowali, tem położenie nasze materialne stanie się znośniejsze, a z czasem i lepsze. Praca bowiem jest owym cudownym talizmanem, który łączy oceany, przebija skały, bohaterom przypina skrzydła, a niewolnikom otwiera drzwi więzienne.

Bolesław Prus.

Warszawa, w roku 1911.

HENRYK KLEPACKI

korespondent pism japońskich „Tokio Nichi-Nichi Shimbun“, „Taiyo“ i innych.

Jak pracują Japończycy

蟻
の
息
も
天
ま
で
届
く
！

東
京
日
々
新
聞
通
信
。
興
月
弘
ら

日
本
人
の
勤
勉

Po japońsku: Kuretsuki Hiroshi san, Tokyo Nichi-Nichi shimbun tsushin. Waruso Porando.

Po japońsku: Ari no omoi mo temmade todoku.

Znaczy: Praca pilnej mrówki może sięgnąć nawet nieba.

Znaczy: Henryk Klepacki, korespondent „Tokyo Nichi-Nichi shimbun“ („Tokijska Gazeta Codzienna“), Warszawa, Polska.

Po japońsku: Nihon jin no kimben.

Znaczy: Pilna praca Japończyków.

I.

W pierwszej połowie marca r. b. odwiedził Warszawę p. **Ohashi Shintaro**, wice-prezes Izby Handlowej w **Tokio**, wraz ze swoim sekretarzem i najbliższym pomocnikiem, p. **Inouye Shin**.

Obaj ci wybitni przedstawiciele wielkiego przemysłu japońskiego wchodzili w skład specjalnej misji ekonomiczno-finansowej japońskiej, pod ogólnem przewodnictwem dobrze znanego nie tylko w Krainie Wschodzącego Słońca, lecz i w Ameryce i w Europie Zachodniej, p. **Takuma Dan**, generalnego dyrektora towarzystwa akcyjnego „**Mitsui Kwaisha**”.*)

Zadaniem misji p. **Takuma Dan** było zbadanie obecnego, **powojennego** stanu ekonomicznego różnych państw Europy Zachodniej, a to w celu ustalenia możliwości i sposobów nawiązania w przyszłości bezpośrednich stosunków handlowo-ekonomicznych pomiędzy Japonją a Europą.

W szczególności, co się tyczy Polski, wizyta p. p. **Ohashi** i **Inouye** miała dla nas doniosłe, powiedziałbym **przeważnie praktyczne** znaczenie. Japonja bowiem wielokrotnie, po odrodzeniu niepodległej Polski, wykazywała uczucia sympatji i przyjaźni dla naszego młodego państwa oraz chęć bliższego zapoznania się z narodem, który w najcięższe dla Japonji lata (wojny z Rosją) był jej moralnym sojusznikiem..

To też nie tylko nasze sfery rządowe, lecz i różne organizacje i stowarzyszenia społeczne dołożyły wszelkich starań, aby goście japońscy wywieźli z Polski jaknajlepsze wrażenia i aby ich wizyta mogła przyczynić się do nawiązania stałych i bezpośrednich stosunków pomiędzy dwoma już zaprzyjaźnionymi narodami.

Podczas swego 4-o dniowego pobytu w Warszawie p. **Ohashi** miał możność konferowania z ministrami skarbu, handlu i przemysłu, z politycznymi i społecznymi działaczami,

*) T-wo „**Mitsui Kwaisha**“ ma olbrzymie składy i magazyny we wszystkich większych miastach Japonji, Korei, Chin, Ameryki Północnej, Anglii, Francji i t. d.

Przyp. Aut.

z całym szeregiem wybitnych przedstawicieli naszego handlu i przemysłu, którzy dostarczyli mu szczegółowych, faktycznych informacji co do obecnego stanu rzeczy we wszystkich dzielnicach wskrzeszonej Polski.

Ja osobiście, jako jedyny przedstawiciel prasy japońskiej w Warszawie, wzięłem na siebie skromną rolę „honorowego przewodnika” sympatycznych gości z Krainy Wschodzącego Słońca. Korzystając z tych niewielu chwil wolnych, które pozostawały do ich rozporządzenia poza programem uroczystych przyjęć na ich cześć, posiedzeń etc., zwiedzaliśmy razem naszą stolicę, jej zabytki historyczne, biblioteki, muzea, galerje obrazów. Ma się rozumieć, dołożyłem, przy tej sposobności, wszelkich starań, ażeby nasi goście, po powrocie do swej dalekiej i pięknej ojczyzny, mogli przedstawić nas japońskiej opinii publicznej*) takimi, jakimi jesteśmy w rzeczywistości, a nie jakimi wystawiają nas nasi liczni „pryjaciele”...

I mogę stwierdzić, iż cel ten udało mi się osiągnąć w zupełności. Warszawa wywarła na naszych gości wrażenie jaknajlepsze, o czym mówiono mi kilkakrotnie w zwykłych lakonicznych, lecz stanowczych i szczerych wyrazach. Chociaż i tu nie obeszło się bez maleńkiego „ale”...

Pamiętam, pewnego poranku przejeżdżaliśmy samochodem przez Aleję Ujazdowską. Japończycy z zaciekawieniem oglądali piękne, wspaniałe gmachy po prawej i po lewej stronie, rozmowa toczyła się o różnych sprawach bieżących, raptem p. **Shin Inouye** zwraca się do mnie:

— Czy dziś macie święto jakie?

— Nie, — odpowiadam cokolwiek zaintrygowany nagłością tego zwrotu. — Żadnego święta niema. Dzień powszedni, jak i inne.

I po chwili milczenia:

— Hm, a ja byłem prawie pewien, że święto... Teraz dziesiąta godzina dopiero, a my spotykamy po drodze tyle spacerujących, gapiących się, wogóle próżnujących. Czy to zawsze u was tak bywa? Czy pan widział kiedykolwiek u nas w Japonji, żeby w dzień nieświęteczny o tej porze ludzie spacerowali?

Przykro mi było, lecz musiałem przemilczeć, nie wdając się w ryzykowne usprawiedliwienia naszego — niestety — ujemnego zwyczaju...

*) P. Ohashi jest wydawcą jednego z najpoważniejszych i najbardziej poczytnych miesięczników japońskich „**Taiyo**” („Słońce”).

W kilka dni później, na pożegnanie, powiada mi na dworcu Wiedeńskim p. **Ohashi Shintaro**:

— Dziękuję panu serdecznie za pańską uprzejmość, za mile spędzone razem chwile, które pozostaną dla mnie najprzyjemniejszym wspomnieniem. Raczy pan zapewnić swoich rodaków, że uczucia sympatji i przyjaźni, które zawsze mieliśmy dla Polski i Polaków, po wizycie do Warszawy tylko wzmocniły, pogłębiły się. Równocześnie, mogliśmy teraz przekonać się naocznie, że i wśród społeczeństwa polskiego istnieją zupełnie szczerze i stałe sympatje dla narodu japońskiego. Te chlubne dla nas uczucia, służąc za podstawę dla zacieśnienia bliższych stosunków wzajemnych, powinny być zrealizowane, wykorzystane w jaknajdoskonalszy dla obydwu stron sposób. Powiem więcej: w chwili obecnej wszystko zależy od was, ponieważ my, japończycy, idziemy szeroko na wasze spotkanie. Jestem **businessman'em***), więc ujmuję to w formy konkretne. Obmyślcie poważnie, co, w jaki sposób, na jakich warunkach **wy** możecie dawać nam i co w zamian chcecie otrzymać od **nas**. Ja zaś w imieniu swoich współziomków, a szczególnie w imieniu przedstawicieli naszego handlu i przemysłu, z góry gwarantuję, iż wszystko, co od nas zależy, będzie zrobione dla ułatwienia tego wzajemnego zbliżenia dwóch zaprzyjaźnionych już narodów. W szczególności, dla prasy polskiej otwiera się szerokie i wdzięczne pole działalności w danej kwestji. Nie pozwalajcie zasypiać tym jednostkom, które przyrzekły nam pracować, starajcie się powiększyć liczbę zainteresowanych w naszej wspólnej sprawie, a jestem pewien, że wasz rząd ze swej strony będzie popierał prywatną inicjatywę wszelkimi środkami.

— A na zakończenie,—dodaje z uśmiechem p. **Ohashi**, — kilka słów, które, niech mi pan wierzy, dyktuje nie tyle serce, ile chłodny, trzeźwy rozsądek. Zresztą, pan sam wie doskonale, że u nas w Japonji, w przeciwieństwie do zwyczajów **Seiyo****), od przyjaciela najbliższego częstokroć wysłuchuje się rzeczy najprzykrzejsze. Otóż, mając zaszczyt zaliczać się do szczerych przyjaciół Polski, muszę powiedzieć panu, iż pierwsze wrażenie, które wywierają pańscy ziomkowie teraz, gdy Polska jest niepodległą, nie przemawia na ich korzyść. Jesteście wy wszyscy jakby wciąż przepojeni waszą wolnością, nie myślicie o niczem innem, jak tylko o przy-

*) Angielski wyraz, określający człowieka **czynnego**, rzeczowego.

) Tak nazywają japończycy wogóle wszystkie kraje europejskie, zachodnie. **Seiyo — właściwie znaczy „Zachód”.

jemnem wykorzystaniu tej wolności. Mówią mi moi przyjaciele, którzy znają Polskę lepiej ode mnie, iż zwycięstwo nad sowiecką Rosją tylko powiększyło ten stan przyjemny wprawdzie, lecz nienormalny i nieprodukcyjny. O ile naturalna była radość z niepodległości w pierwszej chwili, o tyle ona może mieć fatalne wyniki, trwając przez czas dłuższy. Macie zresztą już i pierwsze objawy tego niezaprzeczonego aksjomatu: pieniądze wasze nie są pieniędzmi, a papierem drukowanym, próżniactwo wśród szerokich mas ludności, marny eksport, kryzys mieszkaniowy w miastach i inne. Druga wada wasza, mająca, zdaje się, korzenie więcej sięgające w przeszłość historyczną Polski, — za dużo mówicie, zanadto kłócicie się pomiędzy sobą. Wolałbym osobiście, jako wasz przyjaciel, żebyście **mówili mniej, a pracowali więcej**, żebyście kłótniami nie dawali oręża przeciwko sobie waszym wrogom, szczególnie zaś najbliższym i najniebezpieczniejszym.

II.

Spodziewam się, iż czytelnicy wybaczą mi cokolwiek dłuższą przedmowę, gdy dodam, że p. **Ohashi Shintaro** jest jednym z tych „**selfmademan**”ów,*) w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu, jakimi Japonja ma prawo chlubić się przed całym światem kulturalnym.

Pochodząc z niezamożnej rodziny, p. **Ohashi**, po ukończeniu studjów w **Tokio**, założył wraz z ojcem swoim t. zw. „**Hakubunkan Kwaisha**” (t-wo wydawnicze), które, rozwijając się stopniowo, jest teraz największym przedsiębiorstwem w Japonji, drukującym książki i najpoważniejsze miesięczniki („**Taiyo**” i in.) i t. zw. „**toku-hon**”, czyli książeczki ilustrowane, z których uczą się corocznie 8 milionów dzieci japońskich w początkowych szkołach państwowych.

W chwili obecnej p. **Ohashi Shintaro** jest dyrektorem i kierownikiem, oraz głównym akcjonariuszem przeszło 60 największych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych w Japonji (m. inn. T-wa Południowo-Mandzurskiej kolei żelaznej z zakładowym kapitałem 360.000.000 yen**) Jednocześnie znany on jest dobrze w swoim kraju, jako inicjator

*) Wyraz angielski, nie dający się łatwo przetłumaczyć na obcy język. Dosłownie: człowiek, który sam się zrobił (człowiekiem), t. zn. wszystko w życiu, stanowisko w społeczeństwie, fortunę, powodzenie i t. d. zawdzięcza tylko własnej energii i pracy.

) **Yena = 1/2 dol. ameryk., czyli 2 kor. szwedzk., lub też 5 1/2 frank. fr.

i główny organizator wielu instytucji o charakterze społeczno-dobroczynnym.*)

Ten człowiek, który liczy teraz 60 lat i któremu w Krainie Wschodzącego Słońca nadano chlubną nazwę „obi - san” („wielki starzec”), wszystkiego w życiu, powtarzam, dokonał dzięki wyłącznie pracy swych rąk, własną energią i siłą woli. Wobec tego jego zdanie o nas ma szczególną wagę, a za przyjacielskie, szczerze rady takiej wybitnej jednostce należy się hołd i podziękowanie.

Żeby zaś udowodnić polskim czytelnikom, iż japończycy wogóle mają prawo wypowiadać swoje zdanie w zajmującej nas kwestji, że **Japonja istotnie jest krajem ustawicznej, niezmordowanej, powiedziałbym nieznanej u nas w Europie pracy**, przytoczę, oprócz znanych z historii współczesnej Japonji faktów, kilka osobistych spostrzeżeń, które najbardziej utkwiły w mej pamięci z czasu pobytu mojego w Krainie Wschodzącego Słońca.

III.

Otóż, nasamprzód przypomnieć należy, że 54 lat tylko oddzielają Japonję współczesną od średniowiecznego, feudalnego ustroju (t. zw. epoka **Shogun'atu**) i zupełnie odrębnego istnienia, kiedy Japonja, jak i Chiny, ściśle przechowywała swoją tradycyjną, nacjonalną kulturę i nie miała nic wspólnego z zachodnim kulturalnym światem poza handlem—b. nikłym zresztą,—prowadzonym z Anglią, Ameryką i Portugalją.

T. zw. epoka **Meiji**, gdy Japonja stanowczo zadecydowała przyjąć, czyli raczej „przesadzić na swój grunt”, jak to trafnie i obrazowo określa język japoński, kulturę zachodnio-europejską i wprowadzić u siebie ustrój państwowy na wzór najstarszych i najkulturalniejszych państw Europy, rozpoczyna się z datą 6 listopada r. 1868, kiedy ogłoszony był w całym Imperjum odpowiedni solenny dekret Mikada.

5 stycznia r. 1869, pierwszy raz w ciągu tysiącletniej historii Japonji, zostali przyjęci przez Mikada na uroczystej audjencji dyplomaci cudzoziemscy, i odtąd w nadzwyczajnie szybkim, niemającym przykładu w historii całego świata cywilizowanego, tempie rozpoczyna się zaiste mrówcza, niezmordowana, nieostrzegalna dla obcych oczu praca zbiorowa całego narodu nad ową „transplantacją” kultury zachodnio-europejskiej.

*) Słynną jest dotychczas w **Tokio** biblioteka publiczna, nosząca imię p. **Ohashi** i utrzymywana tylko za jego osobiste środki.

W jakieś 20—22 lat później widoczne są pierwsze wyniki. Japonja posiada już stały i zupełnie sprawny aparat administracyjny, Imperjum podzielone jest na 47 administracyjnych okręgów czyli prowincji (t. zw. „odesken”), włączając trzy największe miasta Japonji (**Tokio, Kioto i Osaka**), posiada regularną armję—niewielką, ale doskonale wyekwipowaną i wyćwiczoną na wzór niemiecki (piechota), częściowo na francuski (artylerja), — jej flota, wojenna i handlowa, wzbudza podziw nawet u takich surowych sędziów, jak anglicy...

Równocześnie wprowadzone jest odpowiednim dekretem Mikada powszechne przymusowe nauczanie w t. zw. „**jingo-sho-gwaku**”, czyli państwowych szkołach początkowych, szerzą się w całym państwie specjalne techniczne szkoły (średnia i wyższa), powstają uniwersytety w najgłówniejszych miastach Japonji.

Jeszcze znaczniejszy postęp wykazuje handel i przemysł, ośrodkiem którego jest m. **Osaka**, ten zaiste Manchester japoński. Fizjognomja miasta zmienia się w tak krótkim czasie, z taką błyskawiczną szybkością, że, na przykład, znakomity znawca Japonji i autor licznych utworów o Krajinie Wschodzącego Słońca, Lafcadio Hearn*), który już od wielu lat zamieszkuje stale w Japonji, zwiedzając w r. 1900 **Osaka**, nie może powstrzymać swego zdumienia:

— To sen, feerja, bajka jakaś cudowna! — pisze on w jednym ze swoich listów.—Jeżeli bym na własne oczy nie widział tych zmian, wszystkiego, co się tu dzieje, powiedziałbym, iż wszelkie opisy teraźniejszego **Osaka** w dziennikach angielskich i amerykańskich są grubą mistyfikacją. Nie widzę więcej cichych, jakby zaczarowanych ulic i zakątków, starożytnych, liczących tysiące lat dzielnic, parków, ogrodów, świątyń i kaplic budyjskich, wszystko wre, jak w kotle, — nawet niebo przepiękne, nieporównane niebo japońskie zmieniło swój kolor i teraz podobne jest więcej do londyńskiego... Nie, stanowczo **japońskie** Osaka przestało egzystować—jest wzamian Manchester, Birmingham, jaki chcecie amerykański fabryczny kolos, tylko nie Osaka!

Dodać należy, że w czasach, o których mówi Lafcadio Hearn, kapitał narodowy już zaczyna święcić zwycięstwo nad kapitałem obcym, znaczna ilość fabryk i zakładów przemysłowych stopniowo przechodzi w ręce japończyków, t. zn.

*) Przyjął japońskie poddaństwo, przeszedł na Buddyzm i zmienił nawet nazwisko na japońskie: **Koizumi Jakumi**. Zmarł w r. 1907. Miałem zaszczyt znać osobiście tego wielkiego i szczerego przyjaciela Nihon.

ci ostatni nie tylko wykupują u cudzoziemców gmachy, maszyny etc., lecz stają u steru i zarządu swoich fabryk, u maszyn i warsztatów, bo mając już potrzebny zastęp własnych inżynierów, techników, mechaników i in. kwalifikowanych robotników, nie potrzebują więcej pomocy cudzoziemców, ani finansowej, ani instrukcyjnej.

Kapitalistom i fachowcom europejskim nic nie pozostaje, jak pożegnać swoich sprytnych i zdolnych uczniów, odpowiadając na ich grzeczne uśmiechy i podziękowania też uśmiechami i mniej więcej „szczerymi” komplementami...

29 listopada r. 1890 otwiera się pierwszy parlament japoński. Japonja wychodzi na szeroką arenę polityki wszechświatowej.

Niestety, w cztery lata później tej intensywnej pokojowej pracy kładzie tamę ostry zatarg z najbliższym sąsiadem i legendarnym mistrzem Japonji, Chinami. Układy nie odnoszą żadnego skutku, i w lipcu r. 1894 Japonja wypowiada wojnę Chinom.

Japonja wypowiada wojnę Chinom! Miniatiurowe państewko wyspiarskie, liczące zaledwie 40 milionów mieszkańców*) porywa się walczyć z 400-miljonowem mocarstwem azjatyckiem, z Żółtym Smokiem!

Nawet z tego prostego zestawienia cyfr statystycznych, czytelnik może ujawnić sobie, z jak wielkiem ryzykiem połączona była dla Japonji taka nierówna walka—zaiste walka karlika z olbrzymem.

To też cały świat ze zdumieniem i natężoną uwagą przypatruje się tej walce, a drugi potężny sąsiad Japonji, Rosja, zawczasu pociera z zadowoleniem ręce, oczekując pełnego rozgromu „zarozumiałego karła”.

Lecz staje się cud.

Japonja, maleńka Japonja, z piorunującą szybkością zadaje chińskim siłom zbrojnym, jeden po drugim, ciężkie ciosy, zarówno na lądzie, jak i na morzu, nie zważając nawet na to, że Rosja w miarę zwycięskiego pochodu armji japońskiej, zaczyna cichaczem okazywać Chińczykom pomoc.

15 września r. 1894 marszałek **Jamagata** rozbija na głowę armję chińską, a w dwa dni później, 17 września, admirał **Ito** w zatoce **Ping-Jang** odnosi świetne zwycięstwo, niszcząc prawie całą flotę wojenną chińską.

Pekin leży u nóg zwycięskiej armji japońskiej, lecz w chwili, gdy młode państwo, z takim pełnem natężeniem

*) Według urzędowej statystyki, Japonja na 31 grudnia r. 1863 liczyła, wraz z wyspami Iszo i Kurylskimi, 41.386.265 mieszkańców płci obojga.

wszystkich sił narodu, z poświęceniem tylu ofiar, chce zrealizować swoje zwycięstwo, podyktować swoje warunki zwalczonemu przeciwnikowi, występują pod pozorem ochrony zwierzchnictwa i terytorjalnej nietykalności Chin, ze stanowczem **veto** trzy wielkie mocarstwa europejskie: Niemcy, Francja i Rosja. I Japonja musi, ze ściśniętymi zębami, znieść niesprawiedliwość i wyrzec się owoców zwycięstwa...

Oburzenie wśród szerokich warstw narodu japońskiego jest tak wielkie, iż potrzebny jest cały autorytet Mikada, cesarza **Mutsuchito**, aby powstrzymać japońskie siły zbrojne od dalszej akcji przeciwko Chinom i protegującym je eskadrom mocarstw europejskich.

W ponurem milczeniu armja japońska powraca do ojczyzny i niesie z sobą jedyną pamiątkę o tej zwycięskiej wojnie—straszną plagę, cholerę, która w kilka miesięcy zabiera więcej ofiar, niż cała wojna japońsko-chińska...

Jednak, zdrowy organizm młodego narodu wkrótce odzyskuje w pełni swoje twórcze siły i energję. Żmudna praca rozpoczyna się na nowo i trwa w dalszym ciągu. Stopniowo cały kraj pokrywa praktycznie, doskonale obmyślana i przeprowadzona sieć kolei żelaznej, którą później, wobec wielkiej ilości wodospadów i strumieni górskich w Japonji, ma się zamieniać na elektryczną. Telegraficzna i telefoniczna komunikacja (ostatnia nie tylko pomiędzy większemi, lecz i pomiędzy małemi miastami, a nawet i z wioskami, mającemi źródła mineralne, uzdrowiska i t. d.) jest już na ukończeniu. Rośnie i mnoży się wprost w oczach zamieszkujących w Japonji cudzoziemców flota handlowa i wojenna. Wszystkie najnowsze wynalazki europejskiej techniki i wogóle nauki skwapliwie są przenoszone na grunt japoński, tu się ulepsza je lub modyfikuje stosownie do odrębnych, tradycyjno-narodowych, że tak powiem, potrzeb i wymagań, a potem wprowadza się w życie, w sposób zawsze praktyczny, trzeźwy, głęko obmyślony. Powiększa się znacznie liczba średnich szkół, szczególnie specjalnych: technicznych, elektrotechnicznych, rolniczych, morskich i t. d. Handel i przemysł kwitną.

I równocześnie z tą kolosalną, **pokojową** pracą cały naród japoński, w głębokiem milczeniu, **tacitu consensu**, przygotowuje się jeszcze do jednej walki—walki na ten raz o wiele niebezpieczniejszej i groźniejszej, niż wojna z Chinami, walki literalnie na życie lub śmierć.

Instynkt rasowy, bez żadnych wieców i dekrétów, podpowiada japończykom, iż wojna z Rosją jest rzeczą nieuniknioną, kwestją tylko czasu.

Nie chodziło tu przeważnie o żądę zemsty za tajną pomoc, którą okazywała Rosja Chinom podczas wojny japońsko-chińskiej, i za ten moralny cios, którego doznała zwycięska Japonja po ukończeniu wojny dzięki interwencji Rosji. Niewątpliwie wrogie uczucie do „**Rojin**”*) pozostało na wieczne czasy w głębi serca młodej i ambitnej nacji, istniał, jednak, czynnik daleko poważniejszy, realny, życiowy. Jak i w wojnie z Chinami, główną przyczyną jest Korea, legendarna kolebka Japonji, a w późniejszych czasach jedyna kolonia, która pozwala Japonji załatwić jako tako kwestję „braku ziemi i powietrza” na ojczystym archipelagu czyli, mówiąc mniej obrazowo, dawać sobie radę z coraz bardziej dotkliwszem przeludnieniem Japonji.

Otóż, Rosja imperjalistyczna, nienasycona Rosja, posiadająca olbrzymie przestrzenie własnej, zupełnie nietkniętej i odlegiem leżącej ziemi, zaczyna od roku 1894 — 95 prowadzić na Dalekim Wschodzie politykę wyraźnie ekspansyjną i prowokacyjną, sięgając chciwą łapą nawet po Koreę (t.zw. „koncesje leśne” na rzece Jalu za czasów ministerstwa Witte’go). Od tej właśnie daty rozpoczyna się w całej Japonji. t. j. na dziesięć lat przed samą wojną, cicha, milcząca praca **przygotowawcza**. Żadna historia, żadnawogóle książka nigdy nie opowie szczegółowo i dokładnie, **co to była za praca**, ale cały świat w swoim czasie ujrzał wyniki realne tej olbrzymiej pracy...

Leśne koncesje na Jalu, jak zaznaczyłem wyżej, były ostatnią kroplą, która przepełniła czaszę cierpliwości Japonji. I w r. 1904 Japonja, będąc już zupełnie przygotowaną i zdecydowaną, wypowiedziała wojnę Rosji.

Przebieg tej wojny, wprost haniebny dla Rosji, żyje dotychczas w pamięci czytelników — szczególnie **polskich** czytelników, sympatje których były podczas wojny japońsko-rosyjskiej stale po stronie bohaterskiej Japonji.

Nie potrzebuję więc powtarzać dobrze znane fakty. Podkreślę tylko, że realnym wynikiem zwycięstwa japońskiego w tej wojnie było ogólne uznanie Japonji, jako wielkiego, pierwszorzędnego mocarstwa, z którym winne liczyć się poważnie inne mocarstwa. Równocześnie zaś za wzmocnieniem **prestige’u** międzynarodowego Japonji, cały świat cywilizowany przekonał się jeszcze raz naocznie, jak mało znał on Japonję i Japończyków, jakich zaiste cudów doko-

*) **Rojin** po japońsku dosłownie rosjanin, lecz jest w tym wyrazie nieuchwycona dla obcego języka wrogość, a jeszcze więcej pogarda (coś w rodzaju naszego „moskal”, albo francuskiego „Bocha” względem Niemców).

nać może ta zdrowa, energiczna nacja, dzięki swemu patriotyzmowi i zamięłowaniu do pracy...

Od tego czasu do dzisiejszego dnia, na forum międzynarodowym zawsze poważny i stanowczy głos Japonii ma ogromną wagę i daje się odczuwać przy rozstrzygnięciu najbardziej skomplikowanych i drażliwych kwestji polityki wszechświatowej—w szczególności zaś, tych kwestji, które wyłoniły i wyłaniają się po wojnie 1914—1918 r.

Lecz dość historii. Przytoczę teraz kilka ulotnych wspomnień i osobistych wrażeń z czasów pobytu mego w Krainie Wschodzącego Słońca.

IV.

Na parę lat przed wojną japońsko rosyjską zamieszkałem w **Matsuzaka**, w jednym najbardziej malowniczych miast t. zw. „prowincji bogów“, **Ise**. Dawałem tu prywatne lekcje obcych języków, równocześnie zaś zabrałem się z całą energją do studjowania języka i literatury japońskich.

W specjalnym zakresie — w studjach poezji japońskiej, starożytnej i współczesnej — uprzejmie pomagał mi, dając nader cenne wskazówki, sympatyczny p. **Aoki Toshihito**, doskonały znawca literatury japońskiej, sam wybitny poeta, w życiu zaś powszedniem—niestety!—tylko skromny nauczyciel miejscowej „**jinjo-szo-gwaku**“, czyli państwowej szkółki początkowej.

Pamiętam, pewnego razu zapytuje mię **Aoki-san**, czy jestem zadowolony ze swoich uczniów. Odpowiadam żartobliwie, iż postawił zapytanie w nienależytej formie, iż powinienby raczej zapytać, czy moi uczniowie są zadowoleni ze swego profesora, ponieważ ten ostatni tylko może podziwiać ich zdolności przyrodzone i pilność nadzwyczajną.

Istotnie, nie było w mojej odpowiedzi jakiegś przesady lub komplementów pod adresem moich uczniów, skonstatowałem wprost to, co widziałem na własne oczy. W przeciągu kilku lat miałem sporą ilość uczniów, pochodzących z różnych warstw społeczeństwa japońskiego, w wieku przeważnie dojrzałym, to znaczy zajmujących już pewne stanowisko na służbie państwowej lub prywatnej. I gdy przypominam sobie moich uczniów pojedynczo, nawet teraz, w chwili obecnej, trudno mi jest bardzo wyróżnić kogoś z nich pod względem pilności i pracowitości. W zdolnościach—tak, tu dawała się zauważyć dość znaczna różnica, cienie i odcienie, co zresztą jest rzeczą normalną nie tylko w Japonji, lecz i na całym świecie. Pamiętam, np., kilku takich uczniów, którzy zdolnością chwytania, że tak powiem,

w lot przedmiotu studjów mogli by wprawić w zdumienie najbardziej doświadczonego pedagoga.

Charakterystyczny, a propos, szczegół: o takich nadzwyczaj zdolnych rodakach sami japończycy nigdy nie mówią, jak to przyjęto u nas, z niezbędnymi wykrzyknikami:

— O, to wielce utalentowany człowiek! O, to człowiek, któremu wróżyć można świetną przyszłość!

I t. d., i t. d.

Lecz ograniczają się króciutkim zdaniem, któremu towarzyszy zwykły, grzeczny i skromny uśmiech:

— Ten człowiek ma dobrą głowę.

Lub:

— Ten człowiek pracuje głową...

Otóż, kontynuując swoją rozmowę na ten temat z **Aoki-san**, powiadam mu szczerze i otwarcie:

— Znacznie więcej, niż zdolności, podziwiam pilność moich uczniów. Wiem, np., dokładnie, że niektórzy z nich zajęci są bezpośrednią, **obowiązkową** pracą cały dzień. Więc studjowaniem obcych języków, poza lekcją u mnie, muszą zajmować się w nocy i to nie mniej jak $2\frac{1}{2}$ —3 godz. Pytałem kilkakrotnie, czy ich nie męczy taki nadmiar pracy. Lecz zawsze otrzymywałem odpowiedź przeczącą.

— A, no, widzisz pan,—śmieje się **Aoki-san**,—okazuje się, że każdy ma swoje kłopoty. Pan troszczy się o zdrowie swoich uczniów, ale pan zapomina, że to są ludzie dorośli i sami mogą decydować, co im szkodzi i co im nie szkodzi. Co by pan, jednak, uczynił w **mojej** sytuacji? Otóż za chwilę przed pańską wizytą odwiedzili mię rodzice jednego z uczniów mojej klasy, 9-letniego chłopaka. Matka, nawet wbrew naszym zwyczajom, kilka razy zakrywała oczy **sode***). Ojciec również w rozpacz. Obaj nie wiedzą, co robić. Wie pan, jaka przyczyna? Najprostsza. Ten 9-letni chłopak, zresztą, ich jedyne dziecko, które kochają oboje ponad wszelką miarę, co noc wyprawia im taką hecę. Jak tylko starzy usną na dobre, cichutko wstaje z łóżka, zapala maleńką, własnej roboty latarkę, rozkłada swoje **fude****), **suzuri*****)) etc. i zasiada za **toku-hon******)), wyrysowując z tamtąd **kanę** (skrócone pismo japońskie) i hieroglify. Kilka razy przyłapano go już

*) **Sode** — długie i szerokie rękawy kobiecego kimono. „Zakrywać oczy **sode**“, „przytulać do twarzy **sode**“ — ten obrazowy zwrot używa się w języku japońskim, gdy się mówi o płaczu kobiecym.

) **Fude — pędzle do pisania.

***)) **Suzuri** — specjalny kałamarz do rozprowadzania tnszu.

****)) **Toku-hon** — ilustr. książeczki, z których uczą się dzieci jap. w szkołach.

na gorącym uczynku, tłómaczono i zarzucano mu, iż w ten sposób rujnuje swoje młodociane siły, równocześnie zaś sprawia wielką przykrość rodzicom, którzy na starość mają w nim jedyną pociechę i nadzieję. Nic nie pomaga. Rozczula się, gdy słucha, a później znowu po swojemu. Twierdzi stale, że **musi** przemódz kaligraficzne trudności, że on **powinien** pisać nie gorzej od Kobayashi, którego im zawsze nauczyciel stawia, jako wzór do naśladowania. Rodzice więc błagają mię, żebym ja powiedział ich dziecku, że on już pisze tak, jak Kobayashi...

— Cóż na to pan?—pytam z ogromnem zaciekawieniem.

— **Sorewa***), odprawiłem starych zupełnie pocieszonych. Powiedziałem im, że ich synek istotnie z dnia na dzień pisze lepiej i ładniej i że, wobec tego, będę w zgodzie z mojem sumieniem nauczycielskiem, gdy mu to w stosowną chwilę oświadczę. Ale tu nie o to chodzi. Chciałem tylko panu zaznaczyć, iż ten epizod nie jest pierwszym, ani ostatnim. Z prośbami mniej więcej tego rodzaju zwracają się do mnie rodzice moich uczniów dość często. I odwrotnie, w ciągu 7-letniej mojej praktyki nauczycielskiej jeszcze mi się nie zdarzyło wywoływać rodziców do siebie, aby zwrócić ich uwagę na lenistwo ich dzieci. Jeżeli cię niechęci zaznacza się u ucznia, zupełnie wystarcza króciutka wymówka z mojej strony, a jeszcze częściej robią to bezemnie jego towarzysze szkolni...

O tem, ile naogół trudności ma do przewyciężenia ucząca się młodzież japońska, nie będę długo opowiadał. Niech europejski czytelnik uświadomi sobie tylko kilka szczegółów.

Otóż zasadniczy system wychowania w japońskich szkołach — mówię przeważnie o t. zw. średniej szkole japońskiej, zarówno niższego jak i wyższego typu, — polega na tem, iż równocześnie, zapoznając się ze wszystkim, co daje nauka europejska w jej olbrzymiem rozgałęzieniu, uczeń —japonczyk powinien jeszcze doskonale przestudjować swoją ojczystą wiedzę, t. zn. znać literaturę japońską, starożytną, i współczesną, historję, geografję, etc.

Jakiej kolosalnej pracy potrzeba, żeby tylko umieć czytać i pisać po japońsku, o tem dają pewne pojęcie poniższe liczby. Japońska pisownia posługuje się dwoma alfabetami t. zw. **katakana** (b. uproszczony) i **hirohana** (więcej skomplikowany), naogół 94 znaki, i **hieroglifami**, liczba których (jeżeli się mówi o wykształceniu ukończonym, to zn. o umie-

*) **Sorewa** — japońskie „a no“, „otóż“.

jętności orjentowania się i w starożytnej literaturze, pisanej wyłącznie w chińskich hieroglifach), wynosi **kilkadzieсят tysięcy***)!

Najprostszych hieroglifów, niezbędnych do czytania napisów na ulicach, na szyldach i wystawach sklepowych i t. d. język japoński liczy do 10—11 tysięcy, które każde dziecko japońskie musi przestudjować i przechować w swojej pamięci podczas 6-letniego pobytu w „**jinio-sho-gwaku**”, t. zn. w wieku od 8—9 do 14—15 lat.

Pomijam już tu znaczną różnicę, która istnieje pomiędzy, np., znakami drukowanymi i pisanymi, pomiędzy t. zw. pełną a skróconą pisownią, pomiędzy nawet językiem rozmownym i książkowym, kobiecym i męskim.

Całą tę zaiste abrakadabrę musi zachowywać zawsze w świeżości pamięć japońskiego studenta, który równocześnie, kształcąc się na medyka, chemika, inżyniera i t. d., obowiązany jest przejść odpowiedni, a może nawet połączony z większymi wymaganiami, kurs fakultetu w uniwersytecie, politechniki etc., a jeszcze w dodatku znać co najmniej jeden z języków europejskich!

Czy należy dziwić się wobec tego, że według ścisłej, urzędowej statystyki, japońskie uniwersytety i wogóle wyższe zakłady naukowe dają najwyższy na całym świecie kulturalnym procent zapadnięć na gruźlicę, wycieńczenie, choroby nerwowe?!

Długoletni badacz Japonii i jej życia wewnętrznego, słynny autor „**Kokoro**”, „**Kwaidan**” i in. utworów, **Lafcadio Hearn**, który żywił szczególną miłość do uczącej się młodzieży japońskiej i żył z nią, jako profesor angielskiego języka, w kontakcie bezpośrednim, pozostawił wzruszające do łez opowiadania o tych zaiste nadludzkich wysiłkach energii, pracy i pilności, jakimi odznaczają się studenci japońscy.

Ze swej strony zaznaczę tylko, że w opisach **Lafcadio Haern'a** nie ma nawet cienia przesady.

Lecz sama młodzież japońska nie zwraca uwagi na tę przykrą „odwrotną stronę medalu” i pracuje w dalszym ciągu z niezmordowaną energją. Co rok Japonja, czyli, mówiąc dokładniej, rząd japoński, wyższe zakłady naukowe,

*) Dokładna liczba chińskich, japońsko-chińskich, t. zn. zmodyfikowanych, i nareszcie nowych czysto japońskich hieroglifów dotychczas nie jest ustalona. Najlepsze słowniki, czyli tak zwane „lasy słów” (z chińska) dają, każdy w szczególności inną, cyfrę: jeden, np. 55.000 hieroglifów, drugi 49.000 i t. d. W każdym razie, są to **dziesiątki tysięcy**...

stowarzyszenia uczone, handlowo-przemysłowe i t. d. wysyłają tysiące najzdolniejszych młodych ludzi do Europy i Ameryki, aby tam w odpowiednich zakładach mogli udoskonalić ukończyć swoje wykształcenie, według obranej specjalności.

Dzięki tym kadrom wszechstronnie wykształconych ludzi i nauka w Japonji, i jej handel i przemysł robią coraz większy postęp, i Japonja w chwili obecnej z dumą może ubiegać się o pierwszeństwo z najbardziej kulturalnymi i kwitnącymi krajami.

V.

Swoją wrodzoną pracowitość japończycy przenoszą z sobą i do obcych krajów, podczas pobytu swego bądź w charakterze służbowym, bądź jako studenci i praktykanci, mający na celu specjalne wykształcenie lub udoskonalenie w obranym fachu.

Jakie trudności przytem muszą oni zwalczać, czytelnik się dowie dokładnie, gdy mu przytoczę kilka osobistych spostrzeżeń w tej interesującej kwestji.

— My, ucząca się młodzież japońska, — opowiada mi **Ki-da san**, jeden z najzdolniejszych przyjaciół moich w Japonji, zajmujący teraz już dość wybitne stanowisko w świecie dyplomatycznym, — nie jesteśmy naogół zbyt ambitni co do tytułów i odznaczeń służbowych, które w dyplomatycznej karierze europejskiej odgrywają rolę bodaj pierwszorzędną. **Lubimy pracę** — pracę dla naszej ojczyzny i naszego narodu, lecz bez wszelkiej pompy, bez t. zw. „bum„u.

— To, o czem się marzy u was, w Europie: błyszczeć na dworach, przyjęciach, w salonach artystyczno-dyplomatycznych, jest dla nas, japończyków, rzeczą zupełnie obojętną, nie mającą żadnego uroku. Znowu też żyć na szeroka skalę, prowadzić otwarty dom, ubierać się u najmodniejszych krawców, uczęszczać na wszystkie premjery, vernisage'e, bale, zapasy wyścigi etc. nie pozwala nam ani nasza wrodzona skromność, ani — bądźmy niedyskretni — nasz budżet życiowy. Każdego młodego, rozpoczynającego karierę dyplomata japońskiego rząd wysyła do Europy **nie mniej niż na pięć lat**. Pan wie doskonale, jak my kochamy swój kraj ojczysty, i zrozumie łatwo, co znaczy dla nas być przez pięć lat rozłączonym z ojczyzną, z naszą miłą Nippon*)... Pozatem,

*) Byłem, à propos, naocznym świadkiem, do jakiego tragicznego napięcia dochodzi czasem u japończyków ta tęsknota za krajem. W jednej ze Skandynawskich stolic młody, dopiero co przysłany z Japonji *attaché*, w ciągu kilku miesięcy przesiadywał w zupełnej samotności, w godzinach nocnych, przy karlikowem drzewku „*matsu*“

bardzo często się zdarza, iż taki młody dyplomata, którego wysyłają do Europy, już jest żonaty, może nawet jest lub ma być ojcem. Żonę brać ze sobą do Europy — jest prawie że niemożliwe. Na to nie pozwoli skromna gaża trzeciego lub drugiego sekretarza ambasady, a powtóre i sama żona oprze się temu stanowczo. I będzie miała słuszość, ponieważ nie jest zupełnie przygotowaną do życia i zwyczajów europejskich i dlatego nie chce narazić swojego męża na przykrości. Więc, ma pan już pierwszą tragedję: młody człowiek, na pięć lat oderwany od swojej dalekiej i pięknej ojczyzny, od swojego domu, od swojego gniazda rodzinnego...

W tych warunkach, czyż można mieć za złe japońskiej młodzieży, iż karierę dyplomatyczną omija ona jaknajstawniej, iż wyrzeka się jej stanowczo w 99 wypadkach na 100?...

W kilka lat później, stykając się, jako korespondent, z młodymi dyplomatami japońskimi w Europie, miałem możność nie raz stwierdzić, iż w argumentach miłego **Ki-da san** nie tylko nie było żadnej przesady co do trudności służby dyplomatycznej, lecz na odwrót, że dzięki jego wrodzonej skromności i małomówności, pominięta została znaczna ilość cech przykrych i ujemnych tej „karjery“...

Otóż, najpierw zaznaczyć należy, iż japońskie **Foreign Office**, posyłając swoich młodych urzędników do Europy na pięć lat t. zw. „służby obowiązkowej“, nie liczy się bynajmniej ani z ich psychologją zupełnie odrębną od psychologii europejskiej, ani nawet z ich ustrojem **fizycznym**, wymagającym, np. specjalnej diety, specjalnego pokarmu, etc.

Głównie idzie o to, aby **na korzyść państwową** były zużytkowane całkowicie jego młodociana energia, jego siły i zdolności.

To też w przeciągu pięciu lat nieszczęsny nowicjusz przerzucany jest, jak piłka nożna, z jednej stolicy europejskiej do drugiej, bezwarunkowo obowiązany jest uczyć się coraz nowego języka obcego*), stosować się mniej więcej do nowych zwyczajów i stosunków społecznych, trybu życia, zapoznawać się z kulturą obcą, z polityką i t. d.

Jednocześnie musi on prowadzić swój dział z jaknajsumienniejszą punktualnością, **nie odkładając na jutro nic z tego, co powinno być zrobione dzisiaj**.

(sosna), które przywiózł z sobą z dalekiej ojczyzny. Cały dzień pracował jak wół, a w nocy... wzdychał do swej pięknej Nippon. Szef młodego attaché musiał w końcu złożyć swojej władzy naczelnej odpowiedni raport, i odwołano go do kraju.

*) Znałem osobiście japończyków, którzy wskutek tych wędrówek, mówili płynnie 4—5 językami europejskimi, takimi nawet, jak: fiński, estoński, rosyjski i in.

A że personel w ambasadach japońskich, nawet w największych centrach europejskich, jest bardzo nieliczny, szczególnie w porównaniu z ambasadami angielskimi i amerykańskimi, więc śmiało rzecz można, iż drugi lub trzeci sekretarz ambasady japońskiej pracuje dwa lub trzy razy tyle, ile pracuje jego kolega europejski.

— **Uma no yo ni...**

T. zn.:

— Pracuję, jak koń,—pamiętam żartobliwą odpowiedź jednego z takich „drugich lub trzecich“ sekretarzy ambasady japońskiej w S., na moje zapytanie, czy nie za dużo pracuje na nowej placówce.

— Ależ, panie, niech pan spojrzy na siebie! Pan jest zupełnie wyczerpany, pan musi wypocząć!

— Wyczerpany? **So desu ka?*)**—uśmiecha się japończyk, ale na ten raz maskując w taki sposób niezadowolenie z mej, według pojęć japońskich, za daleko idącej troskliwości. — Nie, to nie z pracy. To z... żołądka. Żołądek mój nie jest przyzwyczajony do tych pokarmów skandynawskich, zanadto obfitych w mięso... **Od pracy człowiek nie choruje.**

— **Ari no omoi mo temmade todoku**)**,—staram się złagodzić przykre wrażenie pierwszego zapytania.

— **Mochiron, so desu!***)**—śmieje się już teraz zupełnie rozpromieniony dyplomatyczny nowicjusz japoński...

I tak od „trzeciego“ sekretarza do samej „ekscelencji“, pełnomocnego ministra Japonji. „Spracowany, przemęczony pracą“ — takiego słowa niema w języku japońskim!

Przypomina mi się audjencja u ambasadora japońskiego w Stokholmie, w którym Japonja utrzymuje jedyną ambasadę na całą Skandynawję. W ten sposób, ambasador stokholmski jest równocześnie przedstawicielem Japonji dla Danji i Norwegji.

Otóż nowomianowany minister japoński — człowiek w wieku podeszłym i b. otyły—objeżdżał z kolei wszystkie trzy stolice całymi dniami, w krępującym paradnym mundurze ze sztywnym, wysokim kołnierzem, składał wszędzie niezliczone wizyty dyplomatyczne, a przydewszystkiem, ma się rozumieć, wręczał swe listy uwierzytelniające Ich Królewskim Mościom.

*) **So desu ka** — rzeczywiście, istotnie tak? czyż tak?

**) „Praca pilnej mrówki sięgnąć może nawet nieba“, stare jap. przysłowie, p. pierwszą stronę.

***) „Ma się rozumieć, tak jest!“

Zbiegiem okoliczności, audjencja moja przypadła właśnie po takiej dwutygodniowej podróży, o godzinie 10-ej wieczór. Rozpoczynamy rozmowę, lecz widzę dokładnie, że „jego ekscelencji“ ze znużenia wprost powieki się kleją.

— Może ekscelencja — pytam się ostrożnie — raczy do jutra odłożyć naszą rozmowę?

— A dlaczego?

— Wydało mi się, że ekscelencja po tej podróży uciążliwej jest cokolwiek sfatygo...

— **Kutabire ka? Kesshite kutabire masen!*)**

VI.

Na początku drugiego roku wojny światowej zdarzyło mi się odwiedzić mojego starego przyjaciela, **Kubata san**, w maleńkiej wiosce rybackiej, położonej u samej zatoki **Toyama**, w zachodniej części Japonji.

Zaznaczyć muszę, iż wioska ta, składająca się z jakichś 150 — 160 chat, żyje, jak i wszystkie wsie japońskie na wybrzeżu morskiem, wyłącznie z połowu ryb, homarów, krabów etc.

W szczególności, co się tyczy wioski, o której mowa, to każdy z jej mieszkańców, za moich czasów, pracował na własny koszt i ryzyko, ponieważ wtedy kapitał wielkich przemysłowców rybnych interesował się głównie **Hokkaido**, czyli północną częścią Japonji, gdzie mógł otrzymać większe zyski.

Otóż, **Kubata san**, mer wiejski i patriarcha b. licznej rodziny, 70-letni, ale krzepki starzec, wielce szanowany nie tylko przez miejscową, lecz i przez okoliczną ludność, był też prostym rybakiem i dzielił niebezpieczeństwa swego ciężkiego fachu ze współziomkami. Na tem tle odgrywały się ustawiczne sceny pomiędzy nim, a młodszą generacją, która sprzeciwiała się stanowczo wycieczkom swego ukochanego patriarchy na morze, szczególnie podczas burz, kiedy wspanione fale **Nihon no umi**)** docierały do samej wioski.

Przyjechałem właśnie nazajutrz po takiej wycieczce, która omal nie skończyła się tragicznie dla mojego przyjaciela, jego dwóch synów i wnuka. Burza, mówiąc nawiasem, zabrała i na ten raz swoją zwykłą daninę w postaci kilku łodzi, których powrotu daremnie oczekiwała cała wioska...

*) Sfatygowany? Nigdy nie jestem sfatygowany!

**) Japońskie morze — zwykle nader niespokojne.



Przy skromnej kolacji, którą mię podejmuje zacny **Kubata san** wraz z swoją rodziną, jestem przede wszystkim świadkiem niezakończzonej sceny domowej z powodu wczorajszej wycieczki. Zresztą, wobec głębokiego szacunku dla starca, zarzuty mają bardzo łagodny charakter, a obecność gościa sprawia, iż **Kubata san** nie likwiduje wszystko odrazu swojem lakonicznem i autokratycznym:

— **Mo sore de takusan desu!** (Dość o tem!)

Nagle starszy syn **Kubata-san**'a zwraca się do mnie:

— Szanowny pan jest człowiekiem uczonym. Pan czytał i czyta dużo książek. Prosimy pana łaskawie udzielić nam rady. Religja nasza, oraz wszystkie książki, z których uczyliśmy się w swoim czasie, nakazują nam zgodnie nie tylko poważanie, lecz i posłuszeństwo względem rodziców i starszych wiekiem. Równocześnie nakazuje się dzieciom dbać o życie, zdrowie i wogóle o dobro ich rodziców. Otóż, jak pogodzić te dwa przepisy w wypadku, kiedy rodzice sami nie pozwalają dzieciom spełniać ten drugi święty obowiązek?

Sytuacja moja staje się co najmniej „delikatną“, albowiem przekonany jestem z góry, iż sumienna, nie dyplomatyczna odpowiedź sprawiłaby wielką przykrość mojemu zacnemu przyjacielowi.

Wyzwała mię z tych trudności sam **Kubata-san**, który cichym, lecz bardzo stanowczym głosem mówi:

— Zagadnienie wasze łatwo rozwiązać można, trzeba tylko używać odpowiednich słów. Powinniście byli spytać naszego szanownego gościa tak: czy jest wskazaniem, żeby dzieci zniewalały swoich rodziców do **próżniactwa** wtedy, gdy rodzice jeszcze **mogą i chcą pracować tak, jak pracują wszyscy inni?** Czy dzieciom było by przyjemnie widzieć hańbę rodziców-próżniaków, którzy są ciężarem dla rodziny, których trzeba karmić wtedy, kiedy oni mogą sami siebie wyżywić? **Kore wa owari desu!*)**

Kończy sędziwy **Kubata-san** i bystrem, prawie niedostrzegalnem skinieniem oczu do jednej z wnuczek, pełniącej obowiązki gospodyni, zwraca jej uwagę na moją opróżnioną filiżankę herbaty.

Korzystam z chwilowego milczenia, aby zwrócić rozmowę na inne tory.

— **O Kubata-san!**)** czy wy wiecie, co się dzieje teraz w **Seiyo**, i co wy myślicie o tej okropnej wojnie?

*) Skończyłem. Coś w rodzaju starożytnego: *dixi et animam levavi*.

**) Dodatek „o“ do nazwiska w jap. języku rozmownym oznacza: szanowny, czcigodny.

Na twarzy starca odrazu zjawia się uśmiech — ten na wpół grzeczny, na wpół ironiczny uśmiech japoński, który zawsze towarzyszy wygłaszanym przezeń zdaniem o **Seiyo-no mono wa***), wogóle o wszystkim, co się dzieje po za jego ulubioną, przepiękną, nieporównaną **Dai Nihon teikoku**.**)

— Trudno mi jest odpowiedzieć na zapytanie szanownego pana. Jestem człowiekiem nieuczonym, prostym, pism nie czytam,, bo na całą wioskę naszą otrzymuje się zaledwie jeden — dwa numery „**Kokumin**”. Zdarza się prawie czasami, iż ktoś z mojej rodziny przeczyta stary numer dziennika, no to później on mi opowiada, co tam piszą o Seiyo...

Widzę wyraźnie, że stary „wykręca się“, nie chce mówić, pod mniej lub więcej „przekonywującymi“ pretekstami. W takich wypadkach, jak mię nauczyło kilkoletnie doświadczenie, pozostaje tylko cierpliwie oczekiwać „zmiany humoru“ starca. Natarczywość dałaby wyniki wręcz przeciwnie, ponieważ **Kubata-san** jest bardzo ambitny i, jak wszyscy starzy ludzie, cokolwiek uparty...

Istotnie, za kilka minut starzec sam rozpoczyna urwaną rozmowę:

— Wie pan co, mnie się czasami wydaje, że to nadchodzi koniec świata. **So desu ne...*****)

Co u licha? **Kubata-san**, stateczny, praktyczny gospodarz, patriarcha, mer wiejski, wygłasza jakieś niezrozumiałe, oparte na mistycznych wizjach illuzjonistów europejskich przepowiednie, które się drukują w naszych dziennikach t. zw. „**nonparel'em**“, pod rubryką: „**Rzeczy ciekawe**“?! W jaki sposób dotarły one przez dwa oceany do tej maleńkiej wioski japońskiej?

Nie potrzebuję jednak długo łamać sobie głowę, bo za chwilę **Kubata-san** wyjaśnia swoje słowa:

— Koniec **Seiyo, mochiron******). Nie — **Nihon...** Nasz kraj, na szczęście, nie miesza się do tych spraw. To, co myśmy powinni byli zrobić, tośmy już zrobili.*****) A poza tem nasz rząd mądrze stanął na uboczu i, jesteśmy przekonani, zachowa swoje stanowisko do końca.

*) O rzeczach (sprawach) europejskich.

**) Wielkie Imperjum Japońskie.

***) Niby tak.

****) Ma się rozumieć.

*****) Alluzja, jak nie trudno się domyśleć, do usunięcia przez Japonję Niemców z **Chiao-chou** i **Tsing-tao**.



Staram się udowodnić, iż Japonja nie powinna już tak bezwzględnie „maltretować“ **Seiyo** chociaż by wobec faktu, że wszystkie kulturalne ubezpieczenia bytu swego zawdzięcza wyłącznie temu **Seiyo**...

— **So desu ne,*)** — ciągnie dalej **Kubata-san**, — ale, szanowny panie, cóż warta ta kultura chwalona, jeżeli ona nie mogła uchronić **Seiyo** od takiej strasznej, obrzydliwej wojny? Nie wiem, nie byłem sam w **Seiyo**, lecz z tego, co mi opowiadano, wnioskuję, iż tam naogół dzieją się rzeczy niedobre...

— Naprzykład?

— No, nasamprzód, **nie chcą pracować**. Domagają się ograniczenia pracy kilku godzin na dzień. Nam, japończykom, wydaje się to zupełnie niezrozumiałem. Bo jakże to można pracować 7 czy 8 godzin, kiedy roboty jest na 10 — 11 godzin? Kto mi zresztą może zabronić pracować tyle, ile ja chcę?! Następnie, każdy chce górować nad drugim, **jeździć a nie wozić**. To niedobrze. Lecz, co najgorsze, w **Seiyo** każdy dba tylko o siebie i **dopóty nie pamięta o bliźnich, dopóki nie nazbiera sam dużo, dużo, bardzo dużo** (**Kubata-san** powtarza to słowo daleko dłużej) **pieniędzy**. Wtedy daje ze swoich milionów **yen kilka sen**)** na biednych i czuje się w porządku. Przy takich warunkach nic dziwnego, że jeden rzuca się na drugiego, chce jeden drugiemu przegryźć gardło...

Niech czytelnik zastanowi się cokolwiek nad znaczeniem tego, co mówił mi stary rybak japoński, nie zwracając uwagi na prostą, naiwną formę jego myśli.

I czy niema prawa Kraina Wschodzącego Słońca być dumną z tego, że w ciągu $4\frac{1}{2}$ lat wojny światowej, gdy w Europie trwała „praca“ tylko destrukcyjna, gdy wszystko się zużywało i niszczyło, ona, Japonja, od tak niedawna zaliczona do państw kulturalnych, z podwójną, potrójną energją kontynuowała swoją pracę twórczą, niezmordowaną, podnosząc dobrobyt kraju i wzmacniając swoje stanowisko na rynku międzynarodowym.

Wyniki tej pracy zbiorowej są widoczne dla całego świata. Handel i przemysł Japonji rozwinęły się o tyle, iż rynek azjatycki jej nie wystarcza więcej, i rząd japoński, a zarówno i sfery handlowo-przemysłowe robią wszelkie usiłowania w celu rzucenia produktów i towarów japońskich

*) P. wyżej.

) **Sen równa się $\frac{1}{100}$ **yen'y**, która przed wojną kosztowała 98 kop., a teraz $\frac{1}{2}$ dolara, lub też $5\frac{1}{2}$ fr. franc.

na rynki europejskie. Projektowany jest, a częściowo już zawarty cały szereg traktatów handlowych pomiędzy Japonją a państwami europejskimi—między innymi, i Polską, z którą w chwili obecnej prowadzą się wstępne pertraktacje.

Powstała wielka ilość nowych gałęzi przemysłu, które dotąd nie istniały w Japonji. Jej flota handlowa powiększyła się 2—3 razy i akcje towarzystw transportowych idą stale w górę.

Są to, powtarzam, proste wyniki bezustannej, mrówczej **zbiorowej pracy całego narodu** — pracy godnej zarówno szacunku, jak i naśladowania.

VII.

Na zakończenie chciałbym powiedzieć parę słów tylko o t. zw. ruchu robotniczym w teraźniejszej Japonji.

Otóż bezrobocie istnieje w Japonji — ma się rozumieć, **prowizoryczne lecz nie chroniczne**. Daje się ono odczuwać przeważnie w portowych miastach i w wielkich centrach przemysłowych. Ale muszę stwierdzić, że nie tylko rząd Mikada, lecz i organizacje społeczne, najbogatsze spółki handlowo - przemysłowe, ba! nawet pojedyncze osoby ze świata finansowego, czyli kapitalistycznego, robią wszystko, co od nich zależy, aby zażegnać to niebezpieczeństwo w samym zarodku, nie dać jemu rozszerzyć się, lub też przyjąć niepożądane formy normalnego, że tak powiem, stanu rzeczy. Rozpoczęte w ostatnim czasie na szeroką skalę roboty elektryfikacyjne*), zaprojektowane połączenie w jedną, olbrzymią całość okolic Tokio wraz ze stolicą**), nareszcie przeprowadzona w przyspieszonym tempie kolonizacja **Hokkaido**, czyli północnej części Japonji, i Sachalinu (po jap. **Karafuto**), spodziewać się należy, znacznie zmniejszą i tak niewielką stosunkowo liczbę bezrobotnych.

W każdym razie, ze wszystkiego, co widziałem osobiście***), śmiało, z całą pewnością wnioskuję, iż Kraina Wschodzącego Słońca, która stale przewyżczała dotych-

*) W budżecie na r. 1923—4 na elektryfikację kolei żelaznych widnieje imponująca suma 60.000.000 yen (w pierwszym rządzie linja Tokio—Numazu, już zaaprobowana przez parlament japoński, 8.000.000 yen.)

**) Według tego projektu, Tokio będzie liczyć przeszło 7.000.000 mieszkańców.

*) Podczas ostatniego pobytu mego w Japonji (w r. 1916 — 17) o żadnych strajkach nie słyszałem, a takie rzeczy, jak np., strajk kolejarzy, tramwajarzy lub też urzędników państwowych, jestem pewien, nie śniły się nawet warjatom w Japonji.

czas trudności i niebezpieczeństwa daleko poważniejsze, da sobie radę i z bezrobociem.

O t. zw. komunizm i idee bolszewickie japończycy nie potrzebują troszczyć się bynajmniej, albowiem ani zdrowy grunt Japonji, ani dumna, patryjotyczna dusza narodu japońskiego—to, co literatura japońska określa jednym wyrazem „**Yamatogokoro**”,—nigdy nie przyjmą tych niedorzecznych i wyłącznie destrukcyjnych teorii.

Japonja, jak zawsze, pójdzie swoją własną, dobrze utorowaną, tradycyjno-narodową drogą, pamiętając pełne szlachetnej-dumy i patryjotyzmu słowa poety:

**Tenchi mo kuzuru
Bakari nari
Tenchi wa kuzure
Jama kawa wa
Sakuru tameshi no
Araba tote,
Ugokanu mono wa
Kimi ga mi yo.**

Co znaczy dosłownie:

„(Gdyby nawet) rozpękła się ziemia, zapadło niebo, zmieszały się góry i morza, mężne serca wiedzą: jedno pozostanie—niezakłócone. odwieczne, czyste, święte Imperjum Mikada“.

Warszawa, w sierpniu—wrześniu 1922.

WYDAWNICTWO „LIGI PRACY”

S. K. DREWNOWSKI

INŻ. - TECHNOLOG

PŁACA ZAROBKOWA, WYDAJNOŚĆ PRACY I DOBROBYT ROBOTNIKA

ODCZYT WYGŁOSZONY

W STOWARZYSZENIU TECHNIKÓW W WARSZAWIE

7 MARCA 1919 R.

Wydanie drugie



WARSZAWA

WYDRUKOWANO W Drukarni J. ULASIEWICZA

MARSZAŁKOWSKA № 49

1922

Wydawnictwa „Ligi Pracy“

Warszawa, Czackiego 3/5, tel. 319-03.

„**Od czego zależy bogactwo narodów**“, napisał Zygmunt Straszewicz. Wydanie 3-cie, 1922. Str. 15.

„**Świętować czy pracować?**“, napisał Bolesław Prus 1922. Str. 8.

„**Zasady organizacji naukowej zakładów przemysłowych**“, napisał F. W. Taylor, przełożył Henryk Mierzejewski, z przedmową Aleksandra Rotherta. Wydanie 2-gie, 1922. Str. 76.

„**Płaca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika**“, przez S. K. Drewnowskiego, inż.-technologa. Wyd. 2-gie. Str. 32.

„**Jaki system płacy stosować w dzisiejszych warunkach?**“, napisał Al. Rothert. Wyd. 2-gie. Str. 50.

„**Najważniejsze zadanie szkoły**“, napisał Zygmunt Straszewicz, wydanie 3-cie, 1922. Str. 20.

„**Hygjena pracy**“, napisał Dr. Władysław Chodecki, 1920 rok. Str. 16.

„**O strajkach**“, wydanie 3-cie 1922. Str. 16.

Plakat: „**Mała wydajność pracy, strajki podcinają produkcję krajową, wzmacniają wrogów**“, Format 70×100.

„**Kultura Polska w niebezpieczeństwie**“ (przyczynek do badań epidemii strajkowej), 1920. Str. 24. Wyczerpane.

„**Państwo Polskie w niebezpieczeństwie**“. Wyd. 2-e. Str. 8.

„**Teoria wyzysku**“ (Robertus i Marx), napisał Eugenjusz v. Böhm-Bawerk. Przełożył z niemieckiego Zygmunt Straszewicz, wydanie 3-cie. Str. 56.

„**Bolszewizm i socjalizm**“, 1922. Str. 8.

„**Rola przemysłu w niepodległej Polsce**“, przemówienie profesora Zygmunta Straszewicza na uroczystości rozpoczęcia roku akademickiego 1920/1921 w Politechnice Warszawskiej, 1921. Str. 16.

„**Jak niezmiernie biedniejemy**“, napisał Piotr Drzewiecki, 1922. Str. 8.

„**Ciekawe kartki**“. Krótkie artykuły. 1922. Str. 2, 4 i 8.

Dotychczas wyszły: „Historja o szczęśliwej wyspie czyli nieróbstwo“, „Socjalizm a dobro narodu“, „Postęp i bolszewizm“, „Bolszewicy w Rosji“, „Czerezwyczajka“, „Bolszewizm na Węgrzech“, „O demokracji i bolszewizmie“, „Przyjaciele ludu“, „Obecna polityka gospodarcza Polski“, „Paskarstwo“, „Wolność“.

W druku:

„**Gospodarka bolszewicka w Rosji**“, napisał inżynier Feliks Borowski.

PRZEDMOWA.

Odczyt mój, zawarty w niniejszej broszurze, po raz pierwszy wypowiedziałem w d. 1 grudnia 1917 r. w Gorłówce (gub. Jekaterynosławska) wobec audytorjum, złożonego z polaków robotników i urzędników, pracujących w fabryce Artyleryjskiej w Gorłówce. Tylko wtedy usunąłem zupełnie z odczytu tę część która zawiera wyprowadzenie wzoru zależności kosztów produkcji od zmian w płacy zarobkowej i w wydajności pracy, oraz wykresy, na wzorze tym oparte. Następnie w d. 11 stycznia, n. s. 1918 r. powtórzyłem mój odczyt bez skrótów po rosyjsku, zgodnie z życzeniem techników i inżynierów tejże fabryki Artyleryjskiej i sąsiedniej kopalni węgla (Południowo - Rosyjskie Tow.). Później odczyt powtórzyłem w Sławiańsku (gub. Charkowska) w d. 3 lutego n. s. 1918 r. wobec licznej tam wtedy kolonii polskiej. 17 lutego 1918 r. wypowiedziałem ten odczyt w Charkowie w Stowarzyszeniu Techników polaków, a 20 maja 1918 r. w Kijowie również w Stowarzyszeniu Techników polaków.

Gdy przygotowywałem się do wypowiedzenia odczytu w sali naszego Stow. Techników w Warszawie, uznałem za pożyteczne wprowadzić w treści mego odczytu pewne zmiany i uzupełnienia, wywołane warunkami chwili. Jednakże odczytu w tym zakresie, w jakim jest on drukowany w niniejszej broszurze wypowiedzieć nie mogłem z tej prostej racji, że zająłbym słuchaczom zbyt wiele czasu, więc mógłbym zbytnio ich znużyć, Dlatego niektóre ustępy z mego odczytu czułem się zmuszony opuścić. Do druku jednak uważam za wskazane podać odczyt mój w całości, tak, jak został przygotowany dla Stowarzyszenia Techników.

S. K. Drewnowski.

Inż.-techn.

Warszawa, d. 8 marca 1919 r.

TREŚĆ: Wstęp. — Główne warunki pracy w żądanej przez robotników rosyjskich umowie zbiorowej (kolektywnej). — Byt robotnika i przyszłość przemysłu rosyjskiego na tle tej umowy. — Przykłady z życia przemysłowego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, ilustrujące wpływ wydajności pracy na wysokość zarobków i na koszty produkcji. — Wzór ogólny zależności: robocizny, wydajności pracy i kosztów własnych produkcji. — Wyznacznik (wskaźnik) dobrobytu robotnika. — Wykresy, uwidoczniające zależność dobrobytu robotnika od zmian w wynagrodzeniu za pracę i w wydajności pracy. — Drożyzna. — Wydajność pracy i oświata. — Wolność — praca — oświata.

WSTĘP.

Wszystkich zakątkach ziemi polskiej wypowiedane jest zdanie, że Polska powinna być potężną, wolną, praworządną. Opinię tę podzielają i ci wszyscy rodacy nasi, myślący i czujący po polsku, którzy poza granicami ziemi polskiej mieszkają. Co do celów więc i dążeń naszych panuje między nami niczem niezamącona jednomyślność. Gdy jednak staniemy na gruncie praktycznym, gdy zażądamy od siebie odpowiedzi na pytanie: jaka droga prowadzi nas i naszą ojczyznę do potęgi, wolności i ładu? Przy pomocy jakich środków upragniony cel osiągnąć możemy? — Stajemy wobec najbardziej sprzecznych poglądów, najkategoryczniej wyłączających się programów.

W tym chaosie zapatrywań i hasel, w tym wirze walk partyjnych my, technicy polscy, nie możemy na chwilę zapomnieć, że jesteśmy adeptami wiedzy ścisłej. Przede wszystkim więc stwierdzić musimy, że cele owe, do których dążymy, chociaż w treści swej są celami politycznymi, jednak podłoże mają głównie ekonomiczne, gospodarcze. Mu-

simy też stwierdzić i to, że gdy mamy na widoku cel realny — być obywatelami potężnej, wolnej, praworządnej Polski, to pamiętać musimy, że celu tego dopiąć możemy tylko i wyłącznie przy pomocy środków, zgodnych z prawami ekonomicznymi. Więc bezwzględnie i stanowczo odrzucić musimy wszelką frazeologję, zaciemniającą horyzont myśli naszej. A z liczby środków, które mają nas doprowadzić do zamierzonego celu, winniśmy wyłączyć nawet najgłośniej zalecane, najbardziej umyśły swą barwnością ludzące, jeżeli te są w sprzeczności z prawami gospodarczymi, które rządzą życiem każdego ludzkiego zbiorowiska, niezależnie od woli i chęci każdego z jego członków.

Nie może być potężną Polska, jeżeli będzie krajem żebraków i nędzarzy, a więc potężną może być tylko wtedy, gdy będzie zasobną. A to nastąpi wtedy, gdy każdy polak, po zaspokojeniu swych potrzeb z owoców swej pracy, będzie jeszcze rozporządzał jakąś nadwyżką, którą w większym lub mniejszym stopniu użyje na potrzeby ojczyzny. I im większe będą różnice między rezultatami naszej pracy wytwórczej i naszymi potrzebami, im większą będzie — mówiąc językiem handlowym — zwyżka naszych dochodów nad rozchodami, tem będziemy zasobniejsi, tem więcej mieć będziemy danych do utrwalenia naszej narodowej potęgi. Zasadniczymi przeto warunkami naszej przyszłej potęgi są: *owocna praca i oszczędność*.

Nie była wolną Polska ani pod rządem carów, ani pod rządami pruskich uczonych barbarzyńców, ani pod władzą wysysających z niej soki żywotne, a karmiących ją za to „gadaniem austrijackiem“ wiedeńskich służalców Berlina; ale nie może być wolną i pod rządami w stylu Lenina i S-ki. Bo tyranja, czy w mundurze haftowanym złotem, czy z traktatem filozoficznym w ręku, czy w glansowanych rękawiczkach, czy w zasmolonej bluzie robotniczej — jest w jednakowym stopniu grobem wolności. O tę swą wolność obywatelską możemy być spokojni wtedy tylko, gdy *władzę składać będziemy w ręce ludzi i prawych i rozumnych i charakterami silnych*.

Nie może być Polska praworządna, gdy nie będzie oświeconą i kulturalną. Ład u nas zabezpieczony może być wtedy tylko, *gdy każdy polak będzie głęboko przeświadczony, że jego prawa są w związku nierozzerwalnym z jego obowiązkami*.

Dla nas więc technik ów polskich jasnem jest, że droga, wiodąca naród i kraj nasz do potęgi, wolności i ładu, prowadzi przez gościniec owocnej pracy, oświaty i głębokiego poczucia obowiązku. Naród ciemny i próżniaczy ani potężnym, ani wolnym nie będzie. A jeżeli nie posiada poczucia obowiązkowości, to tylko w śnie gorączkowym może widzieć swe prawa.

Wojna wszechświatowa rozbiła na strzępy wielkie potęgi polityczne. Wstrząsnęła do podstaw takimi poglądami, które zdawały się być niewzruszonymi. Ujawniła słabe strony struktury społecznej. Zmusiła ludzi myśleć nad odbudowaniem życia na innych, niż to było poprzednio podstawach. Jednym z postulatów, wysuniętych przez wojnę, jest z całą bezwzględnością postawiona kwestja *robocizny*, t. j. wynagrodzenia za pracę. To zagadnienie stoi na porządku dziennym wszędzie, ale nigdzie nie było ono postawione z taką bezwzględnością, jak w Rosji rewolucyjnej. Ponieważ rosyjskie dekrety rewolucyjne w sferze pracy dały robotnikom maximum tych praw, o które rzeczniczy sprawy robotniczej się dopominali, więc zanalizować owe prawa w formie, w jakiej się ujawniły jest wogóle pożytecznem, a w szczególe jest pożytecznem dla nas polaków, wobec tego, że stale robione są tu próby szczepienia nam tych zasad, które tak troskliwie i bezwzględnie realizowano w Rosji.

Już w połowie 1917 roku robotnicy w Rosji zażądali t. z. umowy zbiorowej (kolektywnej). Umowę taką zawiera nie robotnik z fabrykantem, lecz związek robotników ze związkiem fabrykantów. Charakterystyczną cechą tego rodzaju umowy jest: a) robotnik i fabrykant stają się wprost rzeczami, któremi rozporządza się związek robotników podług swego widzimisie, i b) umowę podpisują dwie strony, z których jedna — związek fabrykantów — jest za swój podpis odpowiedzialną całym swym majątkiem, a druga — związek robotników — nie jest odpowiedzialna niczem. Nie wdając się w szczegóły samego kontraktu, powiem, iż wprowadza on jako zasadę *płace za godzinę*, dzieli robotników na kilka kategorii i grup, z oznaczeniem każdej grupie ceny za pracę. Wtedy minimalna cena była określona na kop. 80 za godzinę, a najwyższa rb. 1 kop. 90. Praca 8-mio godzinna, a przed każdym świętem 6-cio godzinna (ale z płacą za 8 godzin); podczas roboty robotnik otrzymuje 20 minut czasu na „przyjęcia pożywienia“ i te 20 minut wchodzi w liczbę czasu roboczego. Ubranie i obuwie „robocze“ daje fabrykant. Robotnik, który pracuje w fabryce rok, ma prawo na płatny miesięczny urlop, a jeżeli z niego nie korzysta, to dostaje płacę za 13-ty miesiąc. Praca nadetatowa i świąteczna opłaca się o 50% i 100% wyżej. W razie zawieszenia robót *nie z winy fabrykanta*, robotnicy dostają przez pierwsze 2 tygodnie $\frac{2}{3}$ płacy zarobkowej, a po 2-ch tygodniach $\frac{1}{3}$ część płacy i już przez czas nieograniczony. Ani najać, ani zwolnić robotnika nie wolno bez pośrednictwa związku zawodowego robotniczego.

Jak widzimy, tego rodzaju umowa daje robotnikowi wy-

jątkowe przywileje, a płaca za godzinę nie jest zaopatrzona w żadne istotne zastrzeżenie co do jej wydajności. Nasuwa się więc samo przez się pytanie: jeżeli postulaty tego rodzaju umowy zostaną zastosowane w życiu, to w jakiej pozycji będzie *przemysł i robotnik* tego kraju w stosunku do przemysłu i robotnika kraju, w którym np. istnieje 9-cio godzinny dzień pracy bez żadnych zastrzeżeń? Aby dać odpowiedź na postawione pytanie pozwolę sobie przeprowadzić bardzo nieskomplikowane obliczenie, robiąc następujące założenie: że krajem umowy zbiorowej jest Rosja; że wydajność pracy robotnika w obu porównywanych wypadkach jest jednakowa; że płaca za godzinę pracy też jest jednakową, i że ilość dni roboczych w Rosji jest 285 w roku, a w kraju 9-cio godzinnej pracy 300 dni.

Tablica № I.

Dzień roboczy i warunki pracy	9 godzin bez za- strzeżeń	8 godzin umowa zbiorowa
Ilość dni roboczych w roku	300	285
Godzin pracy rzeczywistej rocznie	2700	2045
Stosunek wytwórczości	100%	75.74%
Roczna płaca zarobkowa jednego robotnika	2700	2470
Stosunek zarobkowania	100%	91.63%
Koszt 100 jednostek pracy w markach . . .	100	120.8
285 dni po 8 godzin 2280 strąca się:	2700 — 2045 = 655	
70 dni przedświątecznych po 2 godz. 140	2470 + 1,5x655 = 3452,5	
285 dni po 20 minut 95	Stosunek zarobków:	
235		
pozostaje rzeczywistych go- dzin pracy 2045	100% i 127,87%.	
Roczna płaca zarobkowa w Rosji:	Koszt 100 jednostek pracy:	
za 2280 godzin Mr. 2280		
za 13-ty miesiąc „ 190	100 i 127,87.	
Razem Mr. 2470		

Z liczb przytoczonej tablicy widocznem jest, że: 1) roczna wydajność pracy robotnika rosyjskiego będzie prawie o 25% mniejszą, niż jego zagranicznego konkurenta. Jeżeli więc zagraniczna fabryka przy 1000 robotników wykona przez rok np.: milion sztuk jakiegoś wyrobu, to w Rosji taka fabryka, chcąc mieć takąż samą produkcję, musi zatrudniać 1340 robotników, a więc musi być i większą i być zaopatrzoną w większą liczbę maszyn, t. j. musi kosztować jej zbudowanie drożej. 2) Robotnik w takiej fabryce w Rosji *zarabiać będzie blisko o 8,5% mniej*, niż jego konkurent zagraniczny, i 3) *praca*, a więc i *wyroby rosyjskiego robotnika będą kosztowały przeszło o 20% drożej*, niż jego zagranicznego konkurenta. Jeżeli więc takie warunki pracy będą panowały w Rosji wszędzie, to wszystkie fabrykaty będą kosztowały drożej, niż w innych krajach, gdzie ludzie pracują więcej. A jeżeli tak, to i *drożyzna życia Rosji będzie większa*, niż za granicą Rosji. Ta drożyzna wyrobów fabrycznych musi być większą, niż wskazane wyżej 20%, te ostatnie bowiem stosują się tylko do robocizny; a do tego dodać trzeba podrożenie, wynikłe ze zwiększonych kosztów instalacji fabrycznej, administracji, pośrednictwa handlowego etc. Otrzymujemy więc ten ciekawy rezultat, że *robotnik w Rosji zarabiać będzie mniej*, niż robotnik zagraniczny, *a płacić robotnik rosyjski za wszystko będzie drożej*. I rezultat ten otrzymuje robotnik w warunkach specjalnego uprzywilejowania swego w stosunku do pracodawcy.

Przypuśćmy jednak, że robotnik rosyjski zgodzi się pracować więcej, niż 8 godzin dziennie, a mianowicie tyle, by ilość godzin jego pracy była taką, jak robotnika zagranicznego. Owe brakujące 655 godzin pracy (2700 — 2045), jako praca nadetatowa, będą opłacane o 50% drożej, więc wtedy cały jego zarobek roczny wyniesie nie 2470 rb. lecz 3452.5 rb., t. j. będzie wyższy od zarobku jego zagranicznego kolegi o 27,87%. Ale to nie wpłynie na jego dobrobyt, bo i jednostka jego pracy, a więc i koszt wyrobu fabrycznego będzie również o 27,87% wyższym, niż po za granicami Rosji, t. j. robotnik będzie miał płacę roczną wyższą, ale też i za wszystko będzie drożej płacił.

Powyższe proste obliczenia stwierdzają ten fakt, że *jeżeli robotnik będzie dostawał za swą pracę wyższe wynagrodzenie, to przy jednakowej rocznej wydajności swej pracy ze swym zagranicznym kolegą, dobrobyt jego się nie polepszy przez to, bo wyższe dochody pochłonie większa drożyzna*. Jeżeli zaś wydajność pracy robotnika rosyjskiego będzie mniejszą, niż jego zagranicznego kolegi, to przy wyższym nawet wynagrodzeniu za

swą pracę, ten rosyjski robotnik będzie uboższy od swego zagranicznego kolegi i konkurenta.

A jak w tego rodzaju warunkach będzie się przedstawiał przemysł rosyjski, dla każdego jest jasnym. Ten przemysł, produkując drożej, będzie mógł istnieć li tylko, pod ochroną wysokich cel. A wysokie cła muszą wpłynąć na ogólne podrożenie wszelkich artykułów na rynku towarowym, co odbije się nieprzychylnie przede wszystkim na dobrobycie klasy pracującej.

Obliczenie, jakie zrobiłem wyżej stwierdza niezbicie, że *nie ma tak wysokiej płacy zarobkowej, któraby stworzyła dobrobyt robotnikowi, jeżeli wydajność jego pracy nie zostanie podniesioną.* Jest to prawda dawno znana nam technikom, ale za mało znana i robotnikom i szerokim kołom publiczności. Zadaniem moim jest prawdę tę oświecić ze wszystkich stron i wykazać, że *mniemanie jakoby można podnieść dobrobyt robotnika przez podniesienie tylko wysokości jego płacy zarobkowej, jest zupełnem złudzeniem.*

Tego rodzaju polityka w interesie pracy, w najlepszym razie da rozczarowanie mas pracujących, wogóle zaś wywołać musi kryzys przemysłowy, a więc katastrofę dla całego kraju.

II.

Dobrobyt robotnika tylko w pojęciu ludzi zupełnie źle się orjentujących w sprawach ekonomicznych, zależy wyłącznie od płacy zarobkowej. Gdyby rzecznicy interesów robotniczych posiadali więcej wiedzy fachowej, gdyby swe siły umysłowe skierowywali nie tylko na przetrwanie fantastycznych doktryn, przez nich samych wytworzonych i sprzecznych z prawami ekonomicznymi, gdyby więcej czasu poświęcali badaniom ściśle naukowym, to nie tylko oszczędziliby społeczeństwu wielu strat, ale uwolniliby rzesze robotnicze od katastrof, jakimi są wszelkie kryzysy przemysłowe, wynikające z zatargów pracy z kapitałem.

To, co się już stało w przemyśle rosyjskim, jest zbyt pocuczającym, aby można było nad tem przejść do porządku dziennego. Przy wprost fantastycznem uprzywilejowaniu pracy robotnika, przy zupełnym poddaniu kapitału pod panowanie pracy, cały przemysł się załamał i leży w gruzach. Z liczby robotników fabrycznych nawet i 10% nie ma roboty. Przy zupełnym braku towarów na rynku, fabryki nie tylko nie pracują, ale pracować nie mogą. Pod ciężarem drożyzny wprost niedorzecznej, pękają wszelkie więzy społeczne, a grabież i rozbój stały się bodaj jedynymi sposobami w miastach dla zdobycia kawałka

chleba. Robotnicy rosyjscy stworzyli sobie takie prawa, o jakich marzyli, prawa, które miały dać im „raj na ziemi“ i osiągnęli w rzeczywistości rezultat wprost przeciwny temu, do którego zmierzali. Bo najpiękniej zredagowany dekret jest tylko czczym frazesem, jeżeli treść jego przeczy tym prawom ekonomicznym, które nie myśmy stworzyli, ale którym podlegać musimy. Musi spotkać katastrofa tego, kto idzie przeciwko tym prawom.

Załamanie się rosyjskiego przemysłu fabrycznego pod naciskiem żądań robotników nie jest jedynym wypadkiem, gdy robotnicy przez swą politykę osiągnęli rezultat wprost przeciwny temu, jaki mieli na widoku. Gdy w pierwszej połowie zeszłego stulecia wynikiły w Europie Zachodniej rozruchy robotnicze, towarzyszyły im najczęściej psucie i niszczenie maszyn. Bo robotnicy wtedy byli tego mniemania, że zarobek i chleb odbierają im maszyny. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że przez zniszczenie fabryk, niszczyli swe własne ogniska pracy, a więc skazywali się na przymusowe bezrobocie. I wtedy więc polityka mas robotniczych doprowadzała rzesze pracujące do rezultatów wprost przeciwnych tym, jakie były zamierzone. Teraz powtarza się toż samo: robotnicy sądzą, że stawiając coraz nowe żądania podwyżki płacy, dążą do polepszenia swego bytu, a w rzeczywistości osiągają rezultat wprost przeciwny, bo rujną przemysł i tem sami siebie skazują na głód.

Dziś robotnicy fabryk nie niszczą, bo stało się już jasnem dla ich nawet prowodyrów, że niszczenie fabryk jest to akt samobójczy dla robotnika. Nastąpi więc niewątpliwie czas, że robotnicy jasno zdawać sobie będą sprawę z tego, że ich dobrobyt przede wszystkim zależy od wydajności ich pracy. Wtedy działalność organizacji robotniczych głównie skierowaną będzie na rozwiązanie bardzo skomplikowanego zadania: jak robotnik powinien pracować w każdym oddzielnym wypadku, by wydajność jego pracy była najwyższą? Aby uwidocznic pierwszorzędne znaczenie tego pytania, pozwolę sobie przytoczyć kilka przykładów z praktyki fabryk amerykańskich.

W fabryce stalowych kulek łożyskowych w sortowni pracowało 120 kobiet. Wszystkie pracownice tego oddziału zajęte były swą pracą już od szeregu lat, tak, że z zupełną pewnością można było twierdzić, że to są robotnice doświadczone i że wydajność ich pracy była maksymalna. Inżynier THOMPSON wystudjował ten rodzaj pracy i następnie zaproponował zmienić system roboty. Po zaprowadzeniu i ustaleniu nowego systemu, otrzymano rezultaty, podane w tablicy № 2.

Praca, jaką spełniało 120 kobiet, spełniać zaczęło 35. Każda robotnica pracowała pierwotnie 10,5 godzin dziennie; pracę

jej zredukowano do 8 godzin t.j. zmniejszono czas pracy 25⁰/₀. Zarobek każdej robotnicy podniósł się o 180⁰/₀ do 200⁰/₀. Wydajność pracy powiększyła się 4,5 razy. Koszty robocizny zmniejszyły się o 50⁰/₀, i robota była wykonana o wiele dokładniej, niż to miało miejsce przed zaprowadzeniem reformy. Patrząc na ten przykład, trudno nie zwrócić uwagi na to, w jak oryginalny sposób zaprowadzono tam, w amerykańskiej fabryce 8-godzinny dzień pracy; żaden minister dekretu nie wydawał. Przejście z 10,5 na 8-godzinny dzień pracy dało robotnikowi podwojenie jego zarobku; fabrykanta zadowolniło, bo zniżyło jego koszty fabrykacyjne, nareszcie zadowolniło nabywców towaru, bo pozwoliło im za też same pieniądze dostawać lepszy towar.

Tablica № 2.

Sortowanie kulek stalowych.	Przed reformą	Po zorganizowaniu pracy
Pracowało w sortowni kobiet	120	35
Tygodniowo robotnica pracowała godzin.	63	47
Tygodniowy zarobek jednej robotnicy	7 do 9 rb.	13 do 18 rb.
stosunek procentowy:		
Wydajności pracy.	100 ⁰ / ₀	460 ⁰ / ₀
Czasu pracy	100 ⁰ / ₀	75 ⁰ / ₀
Zarobkowania	100 ⁰ / ₀	180 ⁰ / ₀ do 200 ⁰ / ₀
Kosztów robocizny	100 ⁰ / ₀	50 ⁰ / ₀
Dokładności roboty	100 ⁰ / ₀	135 ⁰ / ₀

W tablicy № 3, pokazany jest przykład udoskonalenia pracy murarzy, dokonany pod kierunkiem inżyniera GILBRETH'a. W danym wypadku wydajność pracy podniesioną została przeszło trzy razy, zarobek jednego robotnika bez podniesienia wysiłku jego pracy podniósł się o 70⁰/₀, a koszty budowy spadły prawie o 50⁰/₀.

W tejże tablicy przytoczony jest przykład zreorganizowania pracy robotników, zajętych przy wyrabianiu gliny. Znow wydajność pracy każdego robotnika powiększona została przeszło 3,5 razy, zarobek jego wzrósł o 65%, a koszty robocizny zniżyły się o połowę.

Tablica № 3.

	Przed reformą	Po zorganizowaniu pracy
Praca murarzy.		
Ilość robotników	100	30
Stosunek wydajności pracy	100%	333%
„ płacy zarobkowej jednego robotnika	100%	170%
kosztów budowy	100%	prawie 50%
Wyrabianie gliny.		
Ilość zajętych robotników	140	140
Dzienna wytwórczość pracy jednego robotnika tonn	16	59
Stosunek wydajności pracy	100%	370%
Dzienny zarobek robotnika	2 rb. 25 kop.	3 rb. 70 kop.
Stosunek zarobkowania	100%	165%
Koszt wyrobienia jednej tonny	13,5 kop.	6,5 kop.
Stosunek kosztów wyrabiania	100%	niżej 50%

We wszystkich tych przykładach (a możnaby ich przytoczyć znacznie więcej) rzuca się w oczy fakt *podniesienia wydajności pracy robotnika bez zużycia ze strony robotnika większej ilości jego sił żywotnych, a więc bez szkody dla jego zdrowia*. Ten rezultat osiąga się przez *nauczenie* robotnika jak pracować powinien. Obserwacje i robione doświadczenia stwierdziły, że wogóle pracujemy bardzo nieekonomicznie, t. j., że na wykonanie każdej pracy zużywamy o wiele więcej sił, niż zuży-

wać ich powinniśmy. Innemi słowy jest rzeczą niewątpliwą, że robotnik fabryczny może, robiąc znaczne oszczędności na swych siłach, zrobić daleko więcej, niż robi obecnie. I w tem, co powiedziałem, niema nic dziwnego. Człowiek sam przez się jest źródłem sił fizycznych i umysłowych, jest, że się tak wyrażę — ich kopalnią. W nas jest to bogactwo, jakie każdy posiada, gdy dochodzi do wieku, kiedy może zająć się pracą wytwórczą. Idzie więc tylko o to, by każdy z nas temi zasobami sił swych rozporządzał się tak, by osiągał w każdym oddzielnym wypadku największą korzyść. Aby ten rezultat osiągnąć, trzeba się nauczyć zasobami swymi przyrodzonymi rozporządzać. Że taka nauka każdemu z nas jest potrzebną, stwierdzamy na każdym kroku. Tę naukę, tę umiejętność korzystania ze swych zasobów fizycznych i umysłowych, nazywamy zazwyczaj doświadczeniem, czasami praktyką. Ale nazwa nie zmienia samej rzeczy; owa umiejętność, czy doświadczenie, czy praktyka, same nie przyjdą; trzeba je nabyć. Tę prawdę pierwsi zrozumieli amerykanie i pierwsi wzięli się do organizowania pracy, t. j., mówiąc jasno, do uczenia ludzi, jak ci pracować powinni.

To, co powiedziałem wyżej, pozwala mi wyprowadzić wniosek, że umiejętne eksploatowanie swych sił przez robotnika podczas pracy daje mu możność siły te najlepiej spieniężyć, bynajmniej nie wywołując stanu swego przepracowania. Tym sposobem zorganizowana, umiejętna praca robotnika staje się najbardziej wydajną, a więc dającą robotnikowi największy dochód, t. j. najwyższy zarobek. Jednocześnie koszt wyrobów takiej pracy wypadnie najniższy. Innemi słowy: *duża wydajność pracy robotnika podnosi jego dochody, obniża ceny towarów na rynku, a więc zniża koszty utrzymania robotnika, t. j. w dwóch kierunkach wpływa na podniesienie jego dobrobytu.*

Może mi kto zarzucić, iż w rezultacie będzie osiągnięta najwyższa norma wydajności pracy i najniższa granica taniości wyrobów pracy i wtedy robotnik znów stanie się obiektem eksploatacji. Na zarzut ten pozwalam sobie odpowiedzieć. Gdzie jest granica wydajności pracy naszej — tego nikt dziś nawet w przybliżeniu określić nie może, bo granica ta zależy od zasobów naszych sił osobistych, od rozwoju techniki wogóle, od umiejętnego dysponowania przez robotnika swemi ruchami etc. A granic nawet tej techniki indywidualnej nikt oznaczyć nie jest w stanie. Przytoczę drobny przykład, który tę stronę sprawy trochę wyświetli. Inżynier GANTT, specjalista od badania pracy robotników w fabrykach amerykańskich, gdy bawił w Londynie, dowiedział się, że na wystawie japońsko-angielskiej pewna młoda dziewczyna pracuje z tak zdumiewającą

szybkością, że jej pracy już jakoby ani przyspieszyć, ani udoskonalić nie można. Dziewczyna ta, z fenomenalną wprost szybkością naklejała etykiety reklamowe na małe pudełeczka. Szybkość ruchu jej palców wszystkich wprawiała w zdumienie. GANTT pojechał na wystawę, przypatrzył się pracy dziewczyny i stwierdził, że ta okleja 24 pudełka w 40 sekund. GANTT oświadczył dziewczynie, że pracuje niezupełnie prawidłowo i zaproponował jej wprowadzić w pracy powne poprawki. Dziewczyna, która przywykła słyszeć tylko zachwyty nad swą pracą, z dumą i z oburzeniem odrzuciła radę inżyniera. Ten jednak uprosił ją zrobić doświadczenie podług jego wskazówek. I okazało się, że dziewczyna, pracując zgodnie z instrukcją GANTT'a prawie od razu zaczęła oklejać 24 pudełka w 26 sekund, a po niedługiej praktyce doszła do oklejania 24 pudełka w 20 sekund. I rezultat ten osiągnęła bez żadnego wysiłku: idąc za radą inżyniera; dziewczyna tylko oszczędziła sobie pewną ilość ruchów.

Nas, inżynierów bardzo często chcą zwalczać argumentami, że wszelkie ulepszenia nasze, mające na celu podniesienie wydajności pracy robotnika, nie mogą być uważane, jako trwałe czynniki podnoszące dobrobyt robotnika, bo z biegiem czasu podwyższona wydajność pracy robotnika będzie zjawiskiem zwykłym i robotnik znów będzie eksploatowanym na poziomie tej podniesionej wydajności jego pracy. Takie argumentowanie nie wytrzymuje krytyki. Nikt z nas niema żadnej rozumnej racji zaprzętać sobie teraz głowę tem, jak ułożą się socjalne stosunki za lat kilkadziesiąt i z tego powodu nie wyzyskiwać tych czynników, przy pomocy których możemy *teraz* osiągnąć polepszenie bytu warstw pracujących, bez szkody dla ich sił, a więc i zdrowia. Jakie dane będą miały w swem rozporządzeniu nasze dzieci i wnuki, by rozwiązać zawikłane kwestje społeczne — o tem my dziś nic pewnego powiedzieć nie możemy. My wiemy tylko jakie posiadamy teraz sami środki w swej dyspozycji, by przy ich pomocy nie tylko złagodzić, ale nawet może usunąć, te sprzeczności socjalne, które nam życie komplikują i zatruwają. Te środki, jakkolwiek patrzeć na nie będziemy, dają nam rezultat dodatni i niewątpliwy, więc obowiązkiem naszym jest te środki w najszerszych granicach zużytkować. Nauka stwierdza nieomylnie ten fakt, że źle eksploatujemy te naturalne zasoby sił osobistych, jakie w sobie posiadamy, i że umiejętne wyzyskanie ich bezwzględnie podniesie nasz dobrobyt ogólny. Obowiązkiem więc naszym jest zabrać się do racjonalnej gospodarki w dziedzinie tych naszych zasobów indywidualnych. Z drugiej strony zdrowy rozsądek każe nam zarzucić te sposoby rozwiązywania sprawy dobrobytu klas pracujących, które, — jak pokazuje namacalnie belesne doświadczenie — do rozwiązania tego

problematu nie prowadzą. Od dwóch lat w warsztatach pracy w Rosji (i nie tylko w Rosji) rozlega się wołanie o podwyższenie płacy za pracę, od dwóch lat ta płaca stale się podnosi, ale ceny towarów podnoszą się w tempie daleko szybszym, i w rezultacie robotnik przez podwyższenie jego płacy zarobkowej nie tylko nie osiąga tego dobrobytu, o jakim marzy, ale stale ubożeje. I wynika to z tego powodu, że wydajność pracy robotnika nie tylko nie podnosi się, ale stale spada. I to obniżenie wydajności pracy jest nie tylko źródłem zawodu, jakiego doznają robotnicy w swej walce z kapitałem, ale i przyczyną klęski, jaką jest bezrobocie, które coraz szersze zakreśla kręgi. Tą siłą kaduka osiąganie podwyżek płacy wraz z równoległym obniżeniem się wydajności pracy, czyni sytuację ogólną coraz groźniejszą; armja pozbawionych pracy stale rośnie, a środki utrzymania stają się coraz trudniejsze. Przez podwyżki płacy w fabrykach i przez obniżenie wydajności pracy, ceny produktów na rynku mają stałą tendencję zwyżkową. *Życie przemysłowe rozstraja się i to prowadzi do katastrofy, która już w całej pełni spotkała przemysł rosyjski, która może nie pozwolić nam w Polsce odrodzić naszego przemysłu, a która całym swym ciężarem w pierwszej linii zwalić się musi na robotnika fabrycznego.*

Wszystko powiedziane wyżej jest dotykalnem stwierdzeniem tej niezbitej prawdy, że droga, jaką poszli robotnicy rosyjscy ku polepszeniu swego bytu, droga tak usilnie zalecana wszędzie przez rzeczników socjalizmu, nie tylko nie ziściła nadziei rzeszy pracującej, ale doprowadziła do celu wprost przeciwnego. Więc prosta logika każe uznać za złe środki, jakie wybrali robotnicy rosyjscy dla polepszenia swego bytu i szukać innej drogi, wiodącej do podniesienia dobrobytu warstw pracujących. Tą drogą może być tylko — jak stwierdza znów doświadczenie i nauka — podniesienie wydajności pracy.

III.

W początku mego dzisiejszego odczytu zestawiałem dwa bardzo znacznie się różniące systemy wynagradzania za pracę. Z zestawienia tego wyprowadzony został sam przez się wniosek, że *li tylko przez podniesienie płacy zarobkowej, ale bez podwyższenia wydajności pracy, robotnik fabryczny bytu swego nie polepszy*. Następnie przytaczałem szereg faktów z praktyki amerykańskiej, dobitnie świadczących, że *przez podniesienie wydajności pracy robotnika, obniżamy ceny fabrykatów na rynkach, a więc wywołujemy tanienie życia*. Jednocześnie tą drogą osią-

gamy podwyższenie zarobków robotnika, a to wraz ze zmniejszeniem kosztów utrzymania, rozumie się podnosi dobrobyt robotnika.

Wielokrotnie powtarzane przezemnie pojęcia: płaca zarobkowa, wydajność pracy, dobrobyt robotnika, wysuwają na czoło pytanie: jakież związki istnieje pomiędzy temi pojęciami? w jakim stopniu dobrobyt robotnika zależy od wysokości jego płacy zarobkowej? a w jakim od wydajności jego pracy? Na te pytania postaram się teraz dać odpowiedź. Przedewszystkiem jednak musimy się porozumieć, co nazywać będziemy „dobrobytem robotnika“, i w jaki sposób dobrobyt ten będziemy mierzyli?

Wszyscy zgodzimy się na to, że „dobrobyt“ człowieka zależnym jest od tego, w jakiej mierze człowiek ma możność zaspokoić swe potrzeby. Zaspokojenie naszych potrzeb zależy od naszych dochodów i od wysokości cen na rynku produktowym w najszerszem tego słowa znaczeniu. Jeżeli kraj dany wyszedł ze stanu gospodarstwa naturalnego, jeżeli w nim życie przemysłowo-handlowe stanęło na takim poziomie, iż nie można je traktować jako efemerydę, i jest ono w pewnej mierze ugruntowaniem i dąży do dalszego rozwoju; jeżeli kraj ten wszedł w stałe stosunki przemysłowe i handlowe z innymi kulturalnymi krajami, to ceny takich podstawowych produktów naszego życia, jak: chleb, mięso etc. znajdują się już w pewnej i ciągłej zależności od cen na wyroby fabryczne danego kraju. Rolnik określa cenę swego zboża nie tylko w zależności od jego urodzaju, ale i od tego, co go kosztują narzędzia rolnicze, nawozy sztuczne, oraz to wszystko, co jest dlań osobiście niezbędne (odzież, obuwie etc.), a do mu dać może tylko przemysł fabryczny. I jeżeli np. rolnikowi z rachunku wypada, że produkcja zboża mu się nie opłaca, to system swego gospodarstwa zmieni, i tą drogą on i jemu podobni, wprowadzą „korektywę“ w produkcję rolniczą kraju. Dla każdego z nas jest zrozumiałem, że poziom cen na rynku towarowym wogóle, w warunkach normalnych życia gospodarczego, znajduje się w zależności prostej od cen na wyroby przemysłu fabrycznego, t. j. innemi słowy nie może ulegać wątpliwości, że *im ceny na wyroby fabryczne w kraju są niższe, tem i ogólny poziom cen na rynku towarowym jest niższym i odwrotnie*. Ponieważ jednak ceny wyrobów fabrycznych zależą od kosztów własnych fabrykacji, więc możemy twierdzić, iż *im koszty własne wyrobów fabrycznych są niższe, tem poziom cen ogólny na rynku towarowym jest niższy i odwrotnie*.

Jeżeli więc słuszne jest moje założenie, że dobrobyt człowieka zależy od tego, w jakim stopniu człowiek może uczynić zadość swym życiowym potrzebom, że zaspokojenie tych potrzeb jest w prostej zależności od jego dochodów i w odwrotnej do poziomu cen na rynku towarowym, i że ceny towarów na rynku

są organicznie związane z kosztami własnymi wyrobów przemysłu fabrycznego, to zdaje mi się, że mam prawo uważać, że *wyznacznikiem dobrobytu robotnika jest stosunek jego płacy zarobkowej do kosztów własnych wyrobu, nad wytwarzaniem którego robotnik pracuje*. Rozumie się samo przez się, że zdefiniowany przezemnie wyznacznik dobrobytu robotnika może być uważany za słuszny i upoważnia do wyprowadzania z niego odpowiednich wniosków o tyle, o ile tak normy płacy zarobkowej, jako też zmiany w wydajności pracy robotnika fabrycznego w tym, lub innym kierunku, mają miejsce nie w oddzielnych zakładach fabrycznych, lecz w całej dziedzinie życia przemysłowego danego kraju. A dziś taki właśnie przeżywamy moment.

Oznaczę więc przez:

- A..... ilość wyrobów, wykonanych w jednostkę czasu
 Y, Y', Y''... koszt własny tej ilości wyrobów
 W, W', W''.... koszt własny jednostki wyrobu
 Z..... wartość (koszt) materiałów surowych na A jednostek wyrobu
 S..... wartość (koszt) materiałów surowych na jednostkę wyrobu
 R..... koszt robocizny w jednostkę czasu
 K..... koszty ogólne

Przypuszczam, że K może być wyrażone w odsetkach robocizny, t. j., że

$$K = n \cdot R$$

wtedy

$$Y = Z + R + K \text{ albo } Y = Z + R + nR \text{ albo } Y = Z + R(1 + n) \dots\dots (1)$$

Oznaczmy przez X podniesienie się lub zniżenie w procentach płacy zarobkowej (robocizny), a przez P również w procentach podniesienie się lub zniżenie wydajności pracy. Przypuszczam, że wydajność pracy pozostaje bez zmiany, ale że robocizna (R) podniesie się, lub spadnie o X%, wtedy wzór (1) wyrazi się tak:

$$Y' = Z + (R \pm \frac{XR}{100}) (1 + n) \text{ albo}$$

$$Y' = Z + \frac{R}{100} (100 \pm X) (1 + n) \dots\dots (2)$$

Przypuszczam teraz, że wydajność pracy robotnika zmniejszy się, lub zwiększy o P%, więc i ilość surowych materiałów, zużytych w fabryce, a więc i ich koszt (Z) zmieni się odpowiednio o P%, t. j. zużycie ich wyrazi się już nie ilością Z, lecz

$$Z (1 \pm \frac{P}{100}) \text{ t. j. otrzymamy wzór}$$

$$Y'' = Z \left(1 \pm \frac{P}{100}\right) + \frac{R}{100} (100 \pm X) (1 + n) \dots (3)$$

Przy zmianie w wydajności pracy zmieni się ilość wyrobów, otrzymywanych w jednostkę czasu, t. j. otrzymamy ich nie A, lecz $A \left(1 \pm \frac{P}{100}\right)$.

Koszt jednostki wyrobu w wypadku (1) wyniesie $W = \frac{Y}{A}$ a w wypadku ostatnim wyniesie $W'' = \frac{Y''}{A \left(1 \pm \frac{P}{100}\right)}$.

W tych dwóch ostatnich równaniach wstawimy zamiast Y Y'' ich jednowartości z wzorów (1) i (3) otrzymamy wtedy:

$$W = \frac{Z + R (1 + n)}{A} \dots (4)$$

$$W'' = \frac{Z \left(1 \pm \frac{P}{100}\right) + \frac{R}{100} (100 \pm X) (1 + n)}{A \left(1 \pm \frac{P}{100}\right)} \dots (5)$$

równania te możemy napisać w taki sposób:

$$W \cdot A - Z = R (1 + n) \dots (4)$$

$$W'' \cdot A - Z = \frac{R (100 \pm X) (1 + n)}{(100 \pm P)} \dots (5)$$

Jeżeli dwa ostatnie równania podzielimy jedno przez drugie, to otrzymamy wzór:

$$\frac{W \cdot A - Z}{W'' \cdot A - Z} = \frac{(100 \pm P)}{(100 \pm X)} \dots (6)$$

Ponieważ jednak $Z = S$. A wzór ostatni możemy wyrazić w takiej formie:

$$\frac{W - S}{W'' - S} = \frac{(100 \pm P)}{(100 \pm X)} \dots (6)$$

Ten ostatni wzór daje zależność pomiędzy kosztem własnym fabrykatu (W) przy wysokości płacy zarobkowej R i normalnej wydajności pracy, a kosztem własnym fabrykatu (W'') przy zmienionej o X% robociznie i o P% wydajności pracy i przy niezmienionej cenie S materiałów surowych.

Pierwej, niż pójdziemy dalej, wyprowadźmy wnioski ze wzoru ostatniego w jego krańcowych oznaczeniach. Takie analizowanie wzoru ma tę dobrą stronę, iż wyraźnie wskazuje, czy wzór zasadniczo jest słusznym, czy nie; jeżeli przy krańcowych założeniach wzór nie doprowadza nas do absurdu, to możemy z zupełną pewnością sądzić, że w założeniu swem jest słuszny.

Napiszmy wzór nasz w taki sposób:

$$\frac{W - S}{W'' - S} = \frac{100 - P}{100 - X}$$

i przypuśćmy, że $P = 100$ t. j., że wydajność pracy spada o 100%, albo, że robotnik nic nie będzie robił, ale płacę jakąś brać będzie. Wtedy druga część równania zamienia się w zero, a więc i pierwsza stanowi zero. Ponieważ zaś $(W - S)$ nie jest zerem, więc z tego wynika, że mianownik $(W'' - S)$ jest ilością nieskończenie wielką, t. j., że W'' jest nieskończenie wielkiem, albo inaczej, że wtedy koszt własny wyrobu staje się nieskończenie wielkim, co jest zupełnie zrozumiałem.

Jeżeli w tym samym wzorze przyjmiemy $X = 100$, t. j., że robocizna nic kosztować nie będzie (praca niewolnicza), wtedy druga część równania staje się nieskończenie wielką, a to może mieć miejsce wtedy, gdy mianownik $W'' - S = 0$, z czego wynika, że $W'' = S$ t. j., że koszt własny wyrobu równa się wartości materiałów surowych.

Taki niezupełnie słuszny wynik otrzymaliśmy dlatego, żeśmy przyjęli w założeniu, iż koszty ogólne (K) stanowią odsetkę robocizny (R). Jeżelibyśmy tej zamiany nie robili, to otrzymalibyśmy, iż $W'' = S + K$ co jest zupełnie słusznem, jeżeliby robotnik pracował darmo.

Wzór 6 pozwala nam wyprowadzić taki jeszcze charakterystyczny wniosek. Jeżeli robocizna i wydajność pracy zmieniają się w jednakowej proporcji i w jednym kierunku, t. j. gdy $P = X$ i gdy podniesieniu się płacy towarzyszy podniesienie się wydajności pracy, a obniżenie płacy pociąga za sobą spadek wydajności pracy, to druga część równania zamienia się w jednostkę, a wtedy $W = W''$ t. j. wtedy koszty własne produkcji pozostają bez zmiany. Jeżeli więc robotnik po otrzymaniu wyższego wynagrodzenia za pracę odpowiednio podniesie wydajność swej pracy, to koszty produkcji pozostaną bez zmiany, więc drożyzny na rynku towarowym nie będzie. W tych więc warunkach robotnik będzie miał większe dochody, koszty jego utrzymania pozostaną bez zmiany, a więc dobrobyt jego podniesie się.

Aby bardziej uwidocznić, w jaki sposób zmiany w wynagrodzeniu za pracę i różnice w wydajności pracy wpływają na

koszty produkcji i na dobrobyt robotnika, spróbujemy na zasadzie ogólnego wzoru, jaki wyprowadziłem, zrobić kilka wykresów.

W tym celu we wzorze ogólnym zamiast W i S wprowadzimy jakieś ilości stałe, a następnie, kombinując w rozmaity sposób wartościami X i P oznaczać będziemy wielkość W'' , płacę zarobkową, wydajność pracy i następnie wyznacznik dobrobytu robotnika. Na wszystkich wykresach oznaczać będziemy:

linję płacy zarobkowej literą R

„ wydajności pracy „ L .

Wyznacznik dobrobytu określiliśmy wyżej, jako stosunek płacy zarobkowej (R) do kosztów własnych wyrobu (W) i linję tego wyznacznika oznaczać będziemy literą D .

Dla ścisłości nadmienić muszę, że przy wyprowadzaniu wzoru ogólnego przyjąłem, iż wartość materiałów surowych (S) nie zmienia się. Takie założenie nie jest ścisłe, bo jeżeli ze zmianą cen na rynku towarowym drożeją lub tanieją wyroby fabryczne, to rozumie się, że drożeją lub tanieją i surowce. Dlatego też, gdy na zasadzie wstawianych liczb oznaczać będziemy wielkość W'' , to wprowadzimy taką poprawkę; przyjmujemy, że koszt materiałów surowych podnosi się lub spada w tej samej proporcji, co i koszt wyrobów fabrycznych. Jeżeli więc W'' wypadnie z rachunku np. o 20% wyższe, niż W , to we wzorze ogólnym przyjmujemy, że i S w mianowniku naszego wzoru jest o 20% wyższe, niż S w liczniku. A ponieważ przy tym powiększeniu S wartość mianownika nie powinna się zmienić, więc o owe 20% S zwiększymy i W'' . Toż samo zrobimy, gdy W'' będzie niższe, niż W , tylko wtedy W'' odpowiednio zmniejszymy. Np. jeżeli W stanowiło 100, a S — 40 i jeżeli z obliczenia wypadło nam, że W'' stanowi 120, to ostatnią liczbę powiększymy o 8, t. j. o 20% S , i wtedy W'' stanowić będzie 128.

We wszystkich dalszych obliczeniach przyjmujemy, że W stanowi 100, S (wartość materiałów surowych) — 40, a pierwotna wartość R wynosi 0.25 W .

Na tablicy № 4 zrobione są cztery wykresy, które ilustrują zależność: płacy zarobkowej, wydajności pracy, kosztów własnych wyrobu i wyznacznika dobrobytu w wypadku, gdy płaca zarobkowa stale rośnie, zarówno jak i wydajność pracy, tylko w różnym względem siebie stosunku.

Wykres № 1 sporządziłem w założeniu, że *wydajność pracy robotnika nie zmienia się, ale jego płaca zarobkowa stale rośnie*. Wykres pokazuje, że koszty własne towaru wzrastają w tempie mało co mniejszym, niż robocizna, a to oznacza, że drożyzna na rynku towarowym również wzrasta. Wyznacznik dobrobytu robotnika ma tendencję zwykłą, niezmiernie

Tablica N 4

$$\frac{W}{W''} = \frac{S}{S} = \frac{100 + P}{100 + X}$$

Wykres N 1.

X = 20, 50, 100...
P = 0

Wykres N 2.

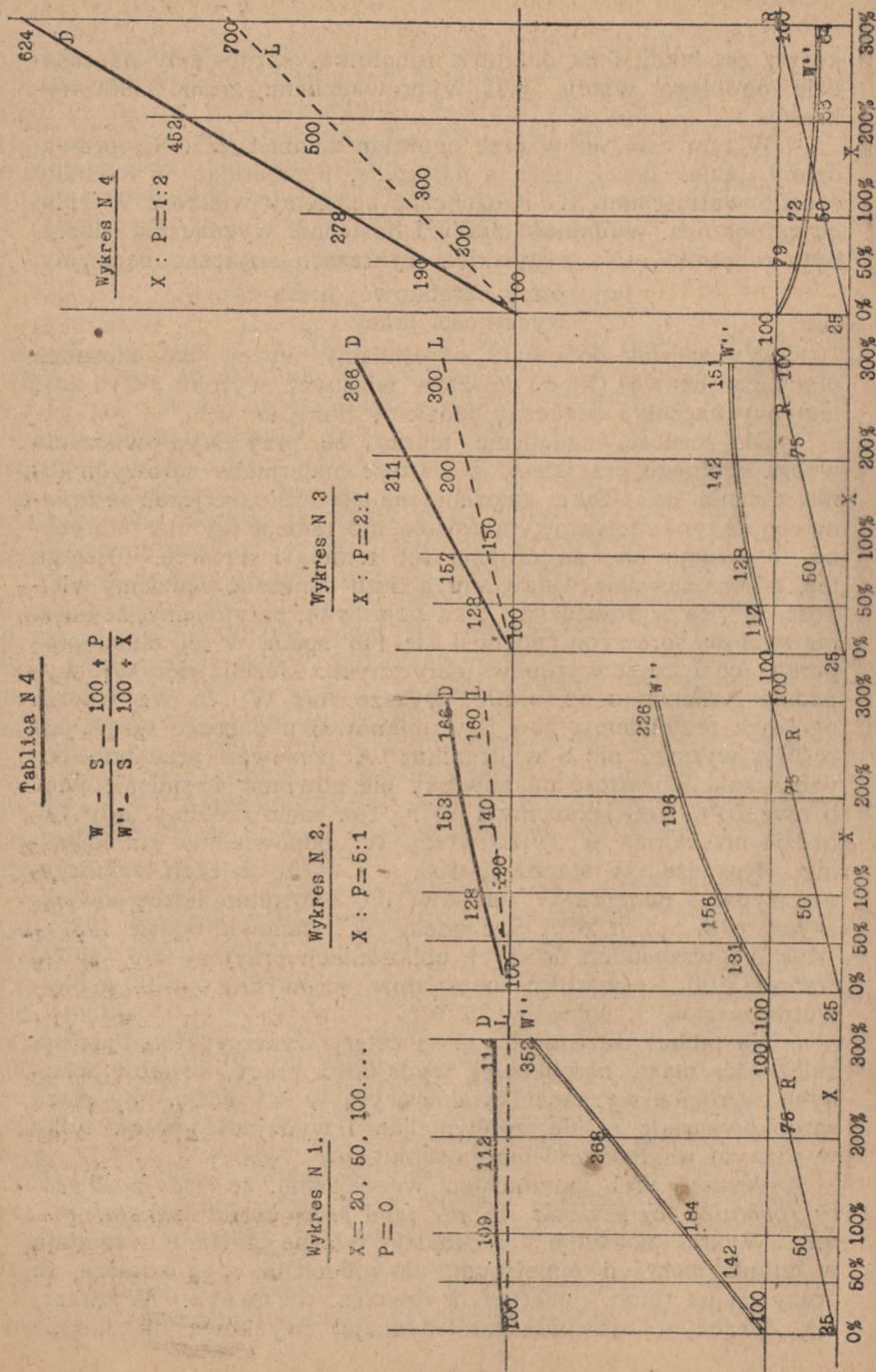
X : P = 5:1

Wykres N 3

X : P = 2:1

Wykres N 4

X : P = 1:2



słabą, bo gdy płaca zarobkowa powiększa się o 300% (4 razy), to wyznacznik dobrobytu podnosi się zaledwie o 14%. W analizowym więc wypadku wykres jasno pokazuje, że samo tylko podwyższanie płacy zarobkowej, bez powiększenia się wydajności pracy robotnika, nie wpływa na dobrobyt robotnika; całą zwyżkę jego wysokiej płacy pochłania rozwijająca się na rynku drożyzna.

Wykres № 2 obrazuje nam stan rynku i pozycję robotnika, *gdy i płaca zarobkowa i wydajność pracy rosną. i gdy wzrost płacy zarobkowej podnosi się w tempie 5 razy szybszym, niż wzrost wydajności pracy.* Widzimy, że koszt własny wyrobów rośnie, ale w tempie prawie 2 razy słabszym, niż w wypadku poprzednim, a wyznacznik dobrobytu ma już tendencję znacznie bardziej zwyżkową, niż pierwiej.

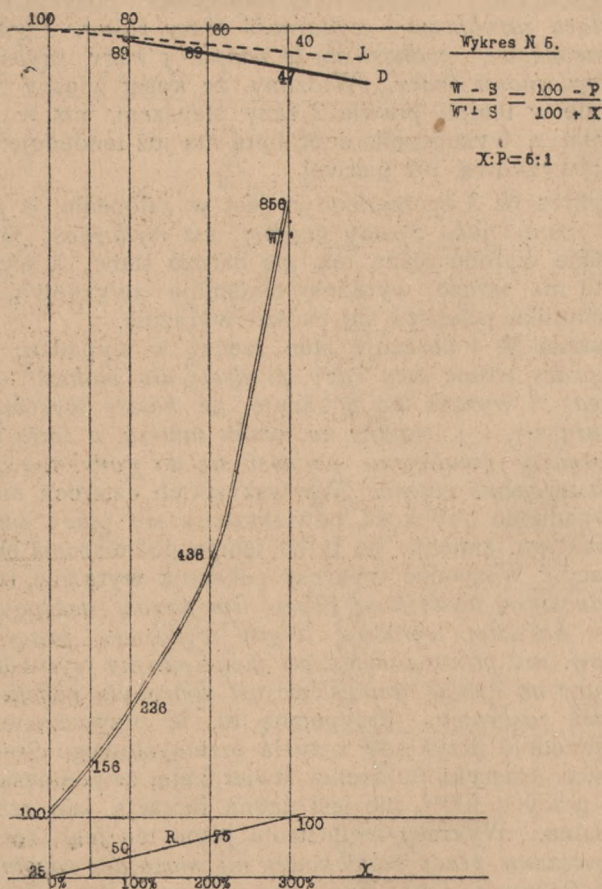
Wykres № 3 sporządzonym jest w założeniu, iż *płaca zarobkowa rośnie tylko 2 razy prędzej, niż wydajność pracy.* Koszty własne wyrobu rosną też, ale bardzo słabo, a wyznacznik dobrobytu ma bardzo wyraźną tendencję zwyżkową, t. j. pozycja robotnika polepsza się bardzo wyraźnie.

Wykres № 4 obrazuje stan rzeczy w wypadku, *gdy wydajność pracy rośnie dwa razy prędzej, niż podnosi się płaca zarobkowa.* I wykres ten pokazuje, że *koszty wyrobu towaru zmniejszają się, t. j. towary na rynku tanieją, a linja wyznacznika dobrobytu gwałtownie podnosi się do góry, t. j. dobrobyt robotnika wyraźnie rośnie.* We wszystkich czterech analizowanych wypadkach szybkość powiększania się płacy zarobkowej jest jednakowa, zmienia się tylko tempo podnoszenia się wydajności pracy. Wszystkie wykresy pokazują wyraźnie, iż *im bardziej podnosi się wydajność pracy, tem wzrost dobrobytu robotnika jest bardziej wyraźny, a gdy wydajność pracy podnosi się prędzej, niż płaca zarobkowa, koszt własny wyrobów spada, t. j. towary na rynku tanieją i wzrost dobrobytu robotnika staje się bardzo jaskrawy.* Przypomnę tu, iż przytoczone przeze mnie poprzednio przykłady z życia przemysłowego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej stwierdzają, że podniesienie wydajności pracy o 300% nie jest żadną fantazją, ale rzeczą zupełnie realną. Wykresy te ilustrują jasno ten fakt, że *samo tylko podwyższanie płacy zarobkowej nie może dać robotnikowi żadnego polepszenia jego bytu, ono sprawi tylko rozczarowanie mas pracujących.* Natomiast podwyższenie wydajności pracy bezwzględnie podnosi dobrobyt robotnika nawet przy zupełnie niezmienionej płacy zarobkowej.

W końcu pozwolę sobie jeszcze pokazać jeden wykres № 5, który jest pod tym względem interesującym, że ilustruje ten stan rzeczy, jaki nastąpił w Rosji już w kilka miesięcy po

wybuchu rewolucji, t. j. w połowie 1917 r., i który wykazał jasno całe bankructwo polityki klas pracujących. Wykres ten sporządzony jest w założeniu, że *płaca zarobkowa się podnosi, a wydajność pracy się zmniejsza*. Rzuca się na tym wykresie

Tablica N 5



przedewszystkiem w oczy szalone podnoszenie się kosztów własnych wyrobów fabrycznych, a więc gwałtowne rozwijanie się drożyzny. Jednocześnie — co jest zupełnie zrozumiałem — wyznacznik dobrobytu robotnika spada, t. j. robotnik ubożeje pomimo bezprzykładnego podwyższania się jego płacy zarobkowej. Zwracam uwagę, że wykres sporządzony jest w za-

łożeniu, iż *robocizna wzrasta w tempie pięć razy szybszym, niż spada wydajność pracy*, t. j., że gdy ostatnia spada o 10%, to płaca zarobkowa podnosi się o 50%. I widzimy np. że gdy płaca zarobkowa podniosła się o 300%, t. j. wzrosła 4-krotnie, a wydajność pracy spadła o 60%, to koszt własny wyrobu powiększył się ośm i pół razy, a wyznacznik dobrobytu spadł o 53%. Ten wykres jasno pokazuje, że *gdy wydajność pracy spada, to wszelkie podniesienie płacy zarobkowej nie dorówna podniesieniu się drożyzny*, innymi słowy, *nie ma wtedy warunków, któreby mogły powstrzymać ubożenie klasy pracującej*. Trzeba jasno i wyraźnie wypowiedzieć tę sprawę, że *płacenie za przeżywanie jest to ogładzanie kraju*.

Wnioski, do których przyszlismy, może są dla ludzi pewnej kategorii nieprzyjemne, nie mniej jednak są one słuszne i słuszność ich stwierdzają realne fakty. W październiku 1918 r. w kopalniach węgla Zagłębia Donieckiego sporządzono wykaz cen na niektóre artykuły i zestawiono je z cenami 1915 r. Zrobiono również i zestawienie płac różnych kategorii pracowników. Rezultaty tej ankiety widzimy na tablicy № 6.

Tablica № 6.

Podniesienie się stosunkowe cen na niektóre artykuły w kopalniach Zagłębia Donieckiego za czas wojny.

Ceny w Październiku 1918 r. w stosunku do cen 1915 r. wzrosły:

Tytoniu	o	4,000%	t. j.	41	razy	W tym samym okresie płaca robotnika podwyższoną została o 660% t. j. wzrosła 7,5 razy; płaca niższych oficjalist. o 425% t. j. 5,25 razy i innych urzędników (starszych) o 296% t. j. wzrosła niecałe 4 razy. Wydajność zaś pracy robotnika spadła przeciętnie o 43%.
Zboża.	„	3,420%	„	35	„	
Ropy naftowej	„	2,600%	„	27	„	
Drzewa budulcowego	„	2,500%	„	25	„	
Obuwia	o	2,250%	„	23,5	„	
Gwoździ.	„	2,000%	„	21	„	
Mięsa.	„	2,000%	„	21	„	
Dynamitu	„	933%	„	10	„	
Antracytu	„	585%	„	7	„	

Liczyby tej tablicy, to dosłowne powtórzenie wniosków, które zrobiliśmy. Widzimy bowiem, że wszystkie artykuły na rynku zdrożały w proporcji daleko wyższej, niż proporcja, w jakiej się podniosły płace ludzi pracy. Gdy zboże, a więc i chleb, zdrożało 35 razy, mięso 21 razy, obuwie przeszło 23 razy i t. d., to płaca robotnika wzrosła zaledwie 7,5 razy, płaca niższych oficjalistów podniosła się tylko 5,25 razy, a starszych

niecałe 3 razy, innemi słowy, *zubożeli wszyscy. Ale w tym okresie czasu przeciętna wydajność pracy robotnika w kopalniach węgla spadła o 43%₀, a były kopalnie, w których wydajność ta spadła o 80%₀*)*.

To są fakty: ich nie obali żadna frazeologia. *Dobrobyt, zasobność, bogactwo, — to praca, i to się stosuje tak do jednostki, jak i do całego narodu. Gdy ludność przestaje pracować, kraj dąży prostą drogą do nędzy, a więc do zależności od innych, dąży więc do niewolnictwa. Taką jest dziś Rosja. Bo wolność — to praca. Tę prawdę winniśmy sobie powtarzać codziennie po obudzeniu się i przed każdym spoczynkiem. W Rosji — i nie tylko w Rosji — dla obrony wolności strajkowano.* Wygląda to tak, jak gdyby kto podpalał swój własny dom dla zaprowadzenia w nim porządku i ładu.

Upadek wydajności pracy musi pociągnąć za sobą drożyznę, której źródło przede wszystkim tkwi w zmniejszeniu się wydajności pracy. Wszelka walka z drożyzną nie da i dać nie może jakichkolwiek widocznych rezultatów, jeżeli nie będą przedsiębrane środki ku podniesieniu wydajności pracy naszej

*) Równie wymowna jest poniższa tablica № 7, oparta na naszych stosunkach przed i powojennych.

Tablica № 7.

Podniesienie się stosunkowe cen na niektóre artykuły w Warszawie.

Ceny w styczniu 1922 r. w stosunku do cen 1914 r. wzrosły:

Chleba	o	65,900% ₀	t. j.	660	razy	W tym samym okresie płaca robotnika podwyższona została przeciętnie o 47,600%₀ t. j. 477 razy, płaca niższych oficyalistów o 24,000%₀ t. j. 241 razy i innych urzędników starszych o 12,000%₀ t. j. 121 razy. Dane powyższe dotyczą pracowników jednego z wydziałów magistratu m. st. Warszawy. Przy przeliczaniu cen i płac przedwojennych w rublach na marki, przyjęto 100 r. = 216 m.
Mąki żytn. pytl.	„	98,400% ₀	„	985	„	
Kartofli	„	183,000% ₀	„	1,831	„	
Mleka	„	67,300% ₀	„	674	„	
Jaj	„	101,900% ₀	„	1,020	„	
Masła	„	107,200% ₀	„	1,073	„	
Cukru	„	100,000% ₀	„	1,001	„	
Węgla	„	75,300% ₀	„	754	„	
Garniturę męs.	„	67,200% ₀	„	673	„	

Tablica ta potwierdza w zupełności wnioski, wyprowadzone z tablicy № 6.

A drożyzna stanowi klęskę daleko większą, niż wogóle ludzie to sobie wyobrażają, bo to *jest czynnik rozwijający nędzę i co zatem idzie — zdziczenie.*

Dziś dla Europejczyka książka stanowi potrzebę, bez której kulturalny człowiek nie może pozostawać kulturalnym, której pozbawiony, musi stopniowo zatracać cechy człowieka cywilizowanego. W końcu 1917 r. dostałem z jednej rosyjskiej firmy wydawniczej zestawienie kosztów wydania arkusza druku; koszty te zestawione są na tablicy № 8. Widzimy, że od wybuchu wojny do wybuchu rewolucji, t. j. *w okresie dwóch i pół lat koszty te wzrosły 3 razy (200%), a przez 8 miesięcy rewolucji podniosły się 4 razy (wzrosły o 300%).* W październiku więc 1917 r. wydanie książki kosztowało przeszło 12 razy drożej, niż przed samą wojną. Ponieważ, jak wiemy, zarobki podniosły się w tempie daleko mniejszym, więc jasne jest, że książka stała się dla ludzi mniej zamożnych bardziej niedostępną. Numer gazety w tym czasie już kosztował 20 kop., a w końcu 1918 r. w Kijowie i Charkowie gazeta kosztowała 60 kop. Wszelkie wydawnictwa stały się dostępne dla ludzi tylko bogatych. I taki stan rzeczy, to szalone podrożenie wszelkich wydawnictw, było rezultatem obniżenia się wydajności pracy. *Wiedza stała się zbytkiem — ogół ludności wstąpił na drogę, prowadzącą do zdziczenia.*

Tablica № 8.

Koszt wydania arkusza druku (16 str.) w 7,000 egzemplarzach w Rosji.

	1914 r.	1 9 1 7 r o k u			
	Lipiec	Luty	Sierpień	Październik	
Zecer.	20 r. 00 k.	60 r.	180 r.	400 r.	
Drukowanie	28 „ 00 „	42 „	105 „	245 „	
Papier	37 „ 50 „	105 „	140 „	385 „	
Broszurowanie	5 „ 25 „	21 „	84 „	105 „	
Razem	90 r. 75 k.	285 r.	509 r.	1135 r.	

t. j. od początku wojny do wybuchu rewolucji koszty wydawnicze wzrosły o 200% (3 razy). A przez 8 miesięcy rewolucji podniosły się jeszcze o 300% (4 razy) *).

Przemawia do was nie doktryner, nie teoretyk, ale inżynier, który miał zawsze na widoku cele realne, który ze swej szczerzej wiedzy specjalnej, ze swego zawodowego doświadcze-

*) Patrz przypis na str. 28.

nia starał się zawsze wyprowadzić wnioski praktyczne. Taki cel mam na widoku i w tej chwili. Stoimy na progu nowej dla naszego kraju epoki. Chcemy, by Polska była potężną, wolną, praworządną. Jako inżynierowie, jako kierownicy naszego życia przemysłowego winniśmy jasno, wyraźnie i najkategoryczniej w świecie wskazać, na czym powinien być oparty nasz przemysł, aby stanowił czynnik pierwszorzędnej wartości dla naszej politycznej i ekonomicznej niepodległości, aby sprzyjał wzmacnianiu naszego międzynarodowego stanowiska, i aby był budowany na epoce, a nie na piasku. *Takim przemysł będzie wtedy, gdy w świątyniach jego — w fabrykach — rządy sprawować będą niepodzielnie wiedza i praca, gdy z kas fabrycznych będą wydawane sówite zapłaty za wydajną, owocną pracę, a nie nędzne jałmużny za próżnowanie.*

Rewolucja rosyjska stwierdziła niezbicie i dotykalnie tę prawdę, którą starałem się wyryc w waszej pamięci, że *sam fakt podwyższania płacy zarobkowej nie podnosi dobrobytu robotnika, jeżeli jednocześnie nie wzмага się wydajność jego pracy.* Ta polityka, jaką prowadziły z niebywałym napięciem organizacje robotnicze w Rosji i jaką prowadzą ją u nas, wywołać musi skutki wprost przeciwne zamierzonym, bo wytwarza drożyznę, paraliżuje życie przemysłowe i w ostatecznym rezultacie stwarza nieuchronną ruinę kraju i beznadziejną nędzę robotników. Więc droga ta jest złą i musi — a przynajmniej powinna być porzuconą.

Ci, którzy dbają o dobro klasy pracującej w Polsce, a więc w pierwszej linii związki robotnicze, winny zwrócić uwagę prze-

*) Wzrost kosztu wydania arkusza druku w Warszawie przedstawia tablica № 9.

Tablica № 9.

Koszt wydania arkusza druku (16 str.) w 7,000 egz. w Warszawie.

	1914 r. w markach (1 r. = 2,16 f.)	1922 r. (czerwiec) w markach
Zecer	37, 40	36,000
Drukowanie.	32, 00	31,500
Papier. :	45, 50	41,000
Zbroszurowanie	19, 50	17,500
Razem mk.	134, 40	126,000

dewszystkiem na sprawę organizacji pracy. My — technicy Polacy, których zadaniem jest sterować nawa naszego przemysłu, winniśmy zrobić wszystko od nas zależne, by organizację pracy postawić na najwyższym stopniu doskonałości i dać jej najszersze zastosowanie. Na tę sprawę winny najpilniejszą zwrócić uwagę wszelkie związki przemysłowe. Nie możemy ani na chwilę zapominać, że *jeżeli nie zajmiemy się pilnie sprawą organizacji pracy, która jest kluczem do podniesienia wydajności pracy, bez szkody dla organizmu pracującego, to musimy stanąć w liczbie narodów ekonomicznie zacofanych, a więc skazanych na podbój ekonomiczny przez innych. A podbój ekonomiczny — to prosta i nieunikniona droga do niewolnictwa politycznego*. Dlatego, schodząc z tej katedry, pozwalam sobie wypowiedzieć prawdę, która zdaniem mojem powinna być wypisana na słupach drogowych, na rogach ulic miejskich, na frontach gmachów publicznych, na wnętrzach kopuł kościelnych: *nie może być wolnym naród, który nie chce lub nie umie pracować. Ale umieć pracować, a więc nadawać swej pracy cechy najwyższej wydajności i pojmować doniosłość takiej pracy, może li tylko naród oświecony*.

DOPISKI.

Przed kilku dniami*) rząd republiki niemieckiej, wobec anar-chji, jaka zalewa teraz Niemcy, wydał do narodu odezwę, która zawiera bardzo charakterystyczne zwroty, charakterystyczne dlatego, że jest wydana przez rząd socjalistyczny. Gdybyśmy żyli w czasach, kiedy Mefistofeles spacerował po globie naszym, bylibyśmy świadkami, jakie to miałyby on chwile prawdziwej wesołości podczas czytania tej odezwy. W odezwie jest zwrot taki: „... kopalnie węgla stanęły również jak ruch fa-„bryczny i w zatrważający sposób rośnie masa bezroboczych. „Teraz pierwszym obowiązkiem narodu jest praca, gdyż tylko „ona zdoła kraj uratować. Praca jest obowiązkiem socjalnym. „Próżniaków i pasożytów wytępi się wszystkimi środkami. „Z drugiej zaś strony rząd bezwzględnie zwalczać będzie próby „dzikiego socjalizowania, gwałty przeciw pracującym, zbrojne „bunty i próby rozdarcia państwa....” Więc ci socjaliści, którzy przy każdym zatargu kapitału z pracą uciekali się do propagandy strajku, realizowanego zawsze przy pomocy terroru, bez którego żaden strajk przeprowadzić się nie da, ci socjaliści, jednomyślnicy, których w Rosji zdeprawowali, opluli, pohańbili pracę, socjaliści, którzy okłamali masy robotnicze, obiecując im zawsze szczęśliwe i spokojne życie — „raj na ziemi“ — gdy zaprowadzone zostaną w kraju rządy socjalistyczne, dziś, gdy władzę w ręce wzięli i gdy złożono im do opłacenia wystawio-ne przez nich weksle, nie potrafią dla ratowania swej skompro-mitowanej reputacji nic innego zrobić, jak sięgnąć do zbrojowni znienawidzonej przez nich burżuazji i wydostać stamtąd oręż pracy! Socjaliści nawołujący naród do pracy! Obraz godny pędzla największego malarza! Mefistofeles na taki widok ser-decznieby się uśmieł. Ile razy robotnicy, podburzani przez so-cjalistów uciekali się do strajku, zawsze ta część robotników, którzy nie solidaryzowali się ze strajkiem, była terroryzowaną, do strajku zmuszaną, a jeżeli pomimo tego znajdowali się tacy, którzy szli do pracy, to przyczepiano do nich pogardliwą nazwę „łamistrajków“, często ich wprost zabijano, a wszelkie przeciw-działanie strajkowi ze strony władzy uważano wprost za zbrod-nię przeciwko wolności. W programach wszelkich partyj so-

*) W końcu lutego 1919 r.

cialistycznych „prawo strajkowania“ jest traktowane, jako fundament wolności obywatelskiej. I otóż teraz niemiecki rząd „socjalistyczny“ wydaje w Berlinie takie rozporządzenie (*w nocy z 4 na 5 marca*): „Dla obrony chętniej do pracy większości „mieszkańców Berlina i okręgu przed zamachami terrorystycznymi, jako też dla zapobieżenia klęsce głodu, rząd pruski ogłasza niniejszem nastanie stanu oblężania w okręgu Berlina, „Spadawa, Teltow i Colny-Barnim... Ustanawia się jednocześnie nadzwyczajne sądy wojenne“. Jest to bardzo piękny obrazek hotentocko-socjalistycznej etyki: gdy socjaliści uciekają się do strajku w walce z rządem burżuazji, to korzystają tylko ze swych praw obywatelskich, i tłumienie takiego strajku piętnują, jako pogwałcenie wolności. Ale gdy ktoś przeciwko ich socjalistycznej władzy ucieka się do strajku, to popełnia zbrodnię, którą oni, socjaliści mają prawo i obowiązek wyplenić przez sądy wojenne. Mefistofeles śmiałyby się szczerze.

W kwietniu 1919 r. socjalistyczny minister obrony krajowej Noske, oświadczył delegacji robotników z Dueseldorfu:

- 1) Zarobki utracone z powodu strejku nie będą zwrócone.
- 2) Udzielenie amnestji winnym przekroczeń podczas strejku nie nastąpi, gdyż byłoby to tylko zachętą do nowych zaburzeń.
- 3) Załogi wojskowe, wprowadzone do okręgu Dueseldorfu dla ochrony chętnych do pracy, jako też urządzeń fabrycznych, będą nadal z całym rygorem utrzymywane.

W № 126 „Kur. Warsz.“ (z dn. 8 maja 1919 r.) jest depesza następującej treści: „Jak pisze „Vorwärts“, niemieckie koła miarodajne stwierdzają, że przez dotychczasowy przywóz żywności, Niemcy doznały tylko bardzo drobnej ulgi. Wprawdzie przywóz żywności ze Szwajcarii, Holandji i krajów Skandynawskich jest już dozwolony, od Niemiec jednak żadaną jest zapłata nie w złocie lub papierach, lecz w surowcach. Tymczasem wskutek ciągłych strajków wywóz towarów zamiennych z Niemiec jest zahamowany. Tak samo wskutek braku węgla nie mogły opuścić portów niemieckie parowce rybackie. Jedynie więc tylko wskutek podjudzania mas robotniczych do strajków przez spartakowców i socjalistów niezależnych, trwają w dalszym ciągu trudności aprowizacyjne Niemiec“.

U nas w kraju sytuacja jest analogiczna. Nieustająca fala strajków pociąga za sobą ciągły wzrost drożyzny. Gdyby u nas ludzie, zamiast strajkowania, wzięli się usilnie do pracy i podnieśli jej wydajność, zarobki byłyby większe, a drożyzna musiałaby zmniejszać się.

WYDAWNICTWO „LIGI PRACY”

NAJWAŻNIEJSZE
ZADANIE SZKOŁY

NAPISAŁ
ZYGMUNT STRASZEWICZ

Wydanie trzecie

WARSZAWA
WYDRUKOWANO W Drukarni J. ULASIEWICZA
MARSZAŁKOWSKA № 49

1922

Praca niewolnicza i praca wolna.

Wrozważaniach, które mam podać na tem miejscu, rolę zasadniczą odgrywa tak zw. produktyjność pracownika, trzeba więc przedewszystkiem porozumieć się co do znaczenia tego terminu. Przypuśćmy, że wartość produkcji rocznej pewnego rzemieślnika wynosi 2000 rub., a różne wydatki, związane z produkcją (np. wydatki na materiały surowe, amortyzacja narzędzi, wynajem warsztatu i t. d.), czynią razem 1000 rub., to powiemy, że produktyjność tego rzemieślnika jest równa 1000 rub. na rok. Liczba ta wyraża przyrost, który otrzymuje rocznie bogactwo ogólne dzięki pracy rzemieślnika.

Produkcyjnością przeciętną roczną pewnej grupy jednostek nazwiemy stosunek sumy ich produktyjności rocznych do liczby tych jednostek. Można również mówić o przeciętnej produktyjności pewnego kraju. Będzie to stosunek produktyjności wszystkich mieszkańców pracujących do liczby całkowitej ludności kraju.

Gdyby ktoś zapragnął wyznaczyć w jakimkolwiek kraju produktyjność przeciętną, to niewątpliwie napotkałby w tem przedsięwzięciu trudności ogromne, może nieprzełamane. Przedewszystkiem zawsze duża część produkcji nie jest objęta żadną statystyką i nie daje się łatwo ocenić z powodu braku cen rynkowych; należy tu głównie produkcja pracy umysłowej. Ale nawet ocena produkcji materialnej na zasadzie obecnej statystyki przemysłowej i rolniczej byłaby z powodów, które nie będę tu wyluszczał, prawie niewykonalna.

Gdyby pomimo to wszystko produktyjności przeciętne różnych krajów dały się wyznaczyć, to byłyby te liczby dla owych krajów wysoce charakterystyczne. Znając produktyjność przeciętną pewnego kraju, moglibyśmy wygłosić o nim wiele ważnych twierdzeń, nie wiedząc nawet, gdzie leży i jak się nazywa. Jeżeli np. przeciętna produktyjność w pewnym kraju jest duża, to można z pewnością twierdzić, że kraj ten jest zamożny i oświecony, że posiada wzorowe instytucje społeczne i polityczne, że korzysta w dużym stopniu z niezależności politycznej i ekonomicznej, że wpływ jego na świecie jest doniosły, bo dobrobyt, oświata, wolność, ład społeczny, potęga polityczna i t. d., są to wszystko owoce pracy ludzkiej i tylko pracy.

Jestem pewny, że każdy, kto nad temi sprawami dłużej się zastanawiał, uzna twierdzenie powyższe za zupełnie oczywiste, za prawdę niemal banalną, nie mniej wszakże wielu ludziom wyda się ono wielce jednostronnem, gdyż skłonni jesteśmy przypisywać potęgę i pomyślność kraju przede wszystkim różnym czynnikom niezależnym od pracy ludzkiej, jak położenie geograficzne, bogactwa naturalne i t. d. Pogląd taki dlatego jest wielce rozpowszechniony, że pracę ludzką dostrzegamy najczęściej na tle warunków naturalnych, w których się ona odbywa; wszędzie praca ludzka przystosowuje się ściśle do otaczającej przyrody, a usiłowania ludzkie są skierowane głównie do wyzyskania bogactw naturalnych i położenia geograficznego kraju. To jest konieczny warunek powodzenia. Tak więc belgowie poświęcają wiele pracy na wyzyskanie bogactw mineralnych swego kraju, i dobrobyt swój zawdzięczają w znacznym stopniu przemysłowi górniczemu i hutniczemu; szwajcarzy, których ziemia nie zawiera skarbów mineralnych, ciągną duże zyski z piękności natury szwajcarskiej. Danja nie posiada ani bogactw mineralnych belgijskich ani gór szwajcarskich; ludność jej musiała szukać innych źródeł bogactw i znalazła je przeważnie w rolnictwie i hodowli. Wydaje się, że Belgja zawdzięcza swą pomyślność bogactwom kopalnianym, Szwajcarja górcom, a Danja dobrej glebie i klimatowi, ale to jest tylko pozór. Istotny, zasadniczy

czynnik pomyślności jest we wszystkich trzech krajach jeden i ten sam; jest nim wysoka przeciętna produkcyjność ludności, występująca tylko w różnych postaciach. Hiszpanja posiada ogromne bogactwa mineralne, naturę równie piękną, jak szwajcarska, doskonały klimat i glebę, a do tego niezrównane położenie geograficzne; pomimo to wszystko Hiszpanja należy do najuboższych, najmniej oświeconych i najgorzej rządzonych krajów Europy. Krajowi temu brak zasadniczego warunku potęgi, t. j. wysokiej produkcyjności.

Prawdopodobnie najbardziej uderzający dowód naszego twierdzenia można znaleźć w Anglii. Niesłychaną potęgę polityczną i ekonomiczną tego kraju przypisuje się zwykle różnym sprzyjającym okolicznościom, niezależnym od człowieka. Wyspiarskie położenie ma zabezpieczać Anglię od najazdu, i jest głównym czynnikiem potęgi politycznej; dzięki temuż położeniu wśród oceanu kraj ten zdobył panowanie nad morzami i hegemonję w handlu wszechświatowym; olbrzymie pokłady doskonałego węgla miały wywołać rozwój przemysłu angielskiego i t. d. Jeżeli jednak zanalizujemy dokładniej historję potęgi Anglii, to natrafimy w każdej dziedzinie na pracę angielską, jako na ostateczny fundament tej potęgi. Wielka produkcyjność pracy wywołała ten zadziwiający rozkwit.

Zobaczmy np., jaką rolę w tym rozkwicie odegrało położenie geograficzne. Położenie to samo przez się wcale nie broni Anglii od najazdu, i kraj ten w czasach historycznych był kilka razy zdobywany przez różnych najeźdźców. Stał się on niedostępnym dopiero od czasu, gdy Anglicy zdołali zbudować i utrzymać flotę wojenną potężniejszą od floty każdego przypuszczalnego wroga. Położenie to również nie sprzyja szczególnie rozwojowi żeglugi i handlu, a przynajmniej nikt by tego nie twierdził w wieku czternastym lub piętnastym, kiedy okręty były drobne i słabe, a sposoby orjentowania się na morzu zupełnie pierwotne. Wówczas żegluga na burzliwych i niegościnnych morzach angielskich była przedsięwzięciem wielce niebezpiecznem, a zatem wyspiarskie położenie Anglii było raczej przeszkodą,

niż czynnikiem dodatnim rozwoju. Aby warunki zmieniły się na lepsze, trzeba było udoskonalić budownictwo okrętowe i sztukę żeglarską, zbadać otaczające morza i opracować dokładne mapy morskie, zbudować porty, urządzić latarnie morskie i t. d. Wszystko to wymagało ogromnego nakładu pracy, któremu inogł podołać tylko naród o wielkiej produktywności.

Podobnie rzecz się ma i z węglem kamiennym. W wieku siedemnastym lub nawet osiemnastym złoża tego minerału nie były więcej warte od nadbrzeżnych ławic piasku i znowu tylko dzięki olbrzymiej pracy, wykonanej przeważnie przez anglików, węgiel stał się istotnem bogactwem, istotnym czynnikiem dobrobytu. Złożył się na to cały szereg doniosłych wynalazków i niezliczona ilość drobnych ulepszeń technicznych, a więc wynalazek nowoczesnej maszyny parowej i kotła parowego, kolei żelaznej i lokomotywy, wynalazki najróżnorodniejszych maszyn warsztatowych, udoskonalenia w górnictwie, nowe sposoby wytapiania żelaza i stali, wynalazek oświetlenia gazowego i wiele, wiele innych.

Nawet dzisiejsi Anglicy, którzy odziedziczyli po przodkach niesłychane bogactwa, utrzymują się na zdobytych stanowiskach tylko kosztem ogromnej pracy, czyli dzięki wysokiej produktywności. Jest rzeczą oczywistą, że bogactwa ludzkie, żywność, ubranie, domy i t. d. muszą być wciąż odnawiane, i różne okoliczności wskazują, że cały majątek kraju zostaje odnowiony w ciągu niewielu, najwyżej trzydziestu kilku lat. Znaczy to, że majątek ten zawiera tyle pracy ludzkiej, ile jej wykonywają wszyscy mieszkańcy w ciągu takiego okresu. Można wyciągnąć stąd wniosek, że każda zmiana w produktywności przeciętnej odbijają się bardzo prędko na dobrobycie kraju. Gdyby zatem od pewnego dnia produktywność angielska stała się równą produktywności polskiej, to niewątpliwie po upływie niewielu dziesiątków lat dobrobyt w Anglii znalazłby się na tym samym poziomie, co w naszym kraju.

Dobre urządzenia polityczne, a zatem i potęga polityczna, są równie jak i dobrobyt owocem pracy ludzkiej,

a więc następstwem wysokiej produkcyjności przeciętnej, dlatego też widzimy, że kraje o wysokim dobrobycie posiadają wzorowe instytucje. Panuje tam wolność obok bezpieczeństwa i porządku.

Aby organizacja polityczna kraju odpowiadała swemu przeznaczeniu, musi ona przystosowywać się wciąż do ustawicznie zmieniających się warunków, ulegać ciągłej przebudowie, a w tej pracy powinni brać udział nie tylko ci nieliczni ludzie, w których spoczywają rządy, lecz i ogół mieszkańców. Najrozumniejsza reforma przyniesie dobre owoce tylko w takim razie, jeżeli ludność ją rozumie i jej pragnie, zrozumienie zaś potrzeby pewnej zmiany przez ogół wymaga zawsze ogromnego nakładu pracy. Dlatego też można powiedzieć, że ta ustawiczna przebudowa ustroju politycznego jest dziełem całego kraju, a zatem myśl polityczna ludności powinna pracować i kształcić się bez przerwy. Jeżeli w jakim kraju ta praca ustanie, to bardzo prędko pojęcia polityczne się wyradzają, instytucje starzeją i przestają odpowiadać potrzebom. Następstwem takiego stanu rzeczy jest zatamowanie rozwoju, gwałtowne przewroty, pociągające za sobą ogromną ilość cierpień ludzkich, osłabienie, a niekiedy upadek państwa.

Nawet powodzenie wojenne jest głównie owocem pracy, a zatem zależy od produkcyjności. Twierdzenie to może się wydać na pierwszy rzut oka paradoksem, gdyż w historii wojny uwaga nasza zwraca się głównie na moment przełomowy, na rozstrzygającą bitwę. Ale moment ten jest tylko jednym ogniwem w całym łańcuchu wydarzeń. Poprzedza go zawsze długi okres przygotowawczy, w którym nie męstwo żołnierza, lecz produkcyjność całego organizmu zwanego armją, oraz produkcyjność społeczeństwa, które tę armję stworzyło, główną odgrywa rolę. Strona, posiadająca większą produkcyjność, rozporządza w chwili rozstrzygającej potężniejszymi środkami moralnymi i materialnymi, a zatem ma lepsze widoki zwycięstwa.

Rozważania poprzedzające pomimo szkicowego charakteru nie pozostawiają, zdaje się, wątpliwości, że produk-

cyjność przeciętna odgrywa w losach narodu niezmiernie doniosłą rolę. Od niej zależy, czy dany naród ma być wolny, oświecony i zamożny, czy też ma żyć w niewoli, w ciemności i nędzy. Teraz wypada z kolei zastanowić się nad pytaniem, jakie właściwości natury ludzkiej wywierają na produktyjność wpływ zasadniczy. Ponieważ z punktu widzenia społecznego głównem zadaniem szkoły jest pielęgnowanie właściwości ludzkich, korzystnych dla życia zbiorowego, przeto odpowiedź na to pytanie miałaby niemałą wagę. Zawierałaby się w niej wskazówka, w jakim kierunku szkoła powinna zwrócić swe usiłowania, aby najskuteczniej przyczynić się do zapewnienia krajowi pomyślnej doli.

Historja ekonomiczna ludzkości zna dwa rodzaje pracy, a mianowicie pracę niewolniczą i pracę wolną. Wiadomo, że pierwsza z nich wszędzie i zawsze była bez porównania mniej produktyjna od drugiej, i w tem właśnie tkwi główna przyczyna upadku niewolnictwa, zarówno w starożytności, jak i w czasach nowszych. Produkcyjność niewolnika była tak mała, że tylko w szczególnie sprzyjających okolicznościach zarobek jego znacznie przewyższał koszt utrzymania, i właściciel osiągał znaczniejsze zyski. Niewolnictwo było instytucją ekonomicznie wadliwą i wyszło z użycia, jak dawne systemy maszyn parowych, wytwarzające zbyt mało pracy użytecznej w stosunku do zużytego paliwa.

Jakaż jest zasadnicza różnica pomiędzy niewolnikiem a pracownikiem wolnym? Nie chodzi tu naturalnie o stanowiska prawne obydwóch ludzi, lecz jedynie o pobudki pracy. Główną pobudką pracy niewolnika był przymus zewnętrzny, obawa przed batem dozorczy. Niewolnik przestawał pracować, gdy przestawał się bać. Pobudki rządzące pracownikiem wolnym są bardziej złożone; składają się na nie chęć zysku, ambicja, poczucie obowiązku i wreszcie zamiłowanie pracy.

Wszystkie te wyrazy wskazują tylko na pewne stany psychiczne człowieka, które nie dadzą się dokładnie opisać i pomiędzy którymi nie ma wyraźnych granic. Powiemy ogólniej, że niewolnik pracuje głównie pod działaniem oko-

liczności zewnętrznych, bezpośrednia zaś przyczyna pracy człowieka wolnego tkwi w nim samym, w jego charakterze i skłonnościach.

Jeżeli zgodzimy się na taki punkt widzenia, to przyjdziemy łatwo do wniosku, że pomimo formalnego zniesienia niewolnictwa we wszystkich odmianach nie przestała istnieć praca niewolnicza. Człowiek, pracujący jedynie z obawy niedostatku, jakkolwiek prawnie wolny, musi być jako pracownik zaliczony do kategorii niewolników. Zresztą granica pomiędzy dwiema kategorjami nie da się wyraźnie oznaczyć. Jedna i ta sama jednostka pracuje w pewnych okresach, jak niewolnik, w innych, jak człowiek wolny, nieraz także przymus zewnętrzny oddziałują jednocześnie z pobudkami wewnętrznymi.

Pomimo to wszystko można sobie wyobrazić idealnego niewolnika, pracującego jedynie dzięki przymusowi zewnętrznemu, i idealnego pracownika wolnego, posłusznego jedynie pobudkom wewnętrznym. Pracownik zwykły zajmuje najczęściej położenie pośrednie. Stoi on bliżej jednego lub drugiego z owych ideałów zależnie od rodzaju pobudek pracy, które mają w nim przewagę.

Możemy teraz wygłosić twierdzenie ogólne, że produktywność człowieka jest tem większa, im stoi on bliżej ideału pracownika wolnego, i ten naród posiada większą produktywność przeciętną, w którym praca wolna ma większą przewagę nad pracą niewolniczą.

Stąd wynika, że jeżeli szkoła ma być poważnym czynnikiem pomyślności kraju, to głównem jej zadaniem powinno być wychowanie pracowników wolnych, czyli pielęgnowanie tych właściwości ludzkich, które stanowią istotę pracownika wolnego.

Wymieniłem cztery główne pobudki, kierujące w pracy człowiekiem wolnym, a mianowicie: żądzę zysku, ambicję, poczucie obowiązku i zamięłowanie. Niewątpliwie najpotężniejszy wpływ na produktywność wywiera ostatnia. Zamięłowanie pracy jest także najwybitniejszą cechą, odróżniającą pracownika wolnego od niewolnika.

Oglądanie pięknego obrazu dostarcza widzowi dużej przyjemności, ale z pewnością autor obrazu doznawał podczas pracy daleko większej przyjemności, i dzięki temu właśnie obraz jest piękny. Rozkosz tworzenia jest koniecznym i zasadniczym warunkiem dobroci utworu. Jeżeli malarz pracuje jedynie pod wpływem żądzy zysku lub sławy to z pewnością nie stworzy on dzieła większej wartości, produkcyjność jego będzie mała.

Toż samo dotyczy w pewnym stopniu każdego innego rodzaju pracy. Każdy dobry pracownik jest do pewnego stopnia artystą i doznaje przyjemności w pracy. Dobremu lekarzowi główną przyjemność sprawia leczenie chorób, a nie pobieranie honorarjów, dobry przemysłowiec znajduje zadowolenie głównie w organizowaniu pracy ludzkiej, a nie w zyskach, dobremu rzemieślnikowi praca dostarcza wrażeń, które jedynie pod względem natężenia różnią się od wrażeń artysty. Nawet proste, automatyczne rodzaje pracy, jak wiosłowanie, koszenie, różne roboty ogrodnicze i t. p. dostarczają wielu ludziom dużej przyjemności.

Wypada dodać, że są jednak rodzaje pracy tak przykre, że wobec nich nie może być mowy o zamięłowaniu; wymagają one poświęcenia lub przymusu, a ponieważ pierwsze należy do zjawisk wyjątkowych, przeto w tych rodzajach praca niewolnicza musi z natury rzeczy przeważać. Takie prace są spełniane w nowszych czasach coraz niechętniej przez człowieka, a skutkiem tego stają się coraz kosztowniejszemi. W tem właśnie tkwi przyczyna, że technika nowożytna usiłuje przedewszystkiem w tych działach zastąpić ręce ludzkie maszyną, ograniczając tym sposobem coraz bardziej pole pracy niewolniczej. Linja rozwoju współczesnych społeczeństw odbiega coraz dalej od ustroju ekonomicznego, opartego na niewolnictwie, i to jest jednym z najwybitniejszych rysów nowożytnej cywilizacji.

Zamięłowanie pracy wywiera największy wpływ na produkcyjność i jest najpotężniejszym czynnikiem rozwoju społeczeństw. Kraje zachodnie zawdzięczają swą niesłychaną potęgę głównie rozpowszechnieniu się tej cnoty wśród lud-

ności. Ogół ludzi pracuje tam z zamięłowaniem, i ten rys charakterystyczny rzuca się tam w oczy każdemu obserwatorowi, który przybył z innych stron i posiada odrobinę spostrzegawczości. Spostrzeże on, że w fabrykach, warsztatach, kopalniach i t. d. panuje wesołość i zadowolenie z życia. Praca nie jest tam rozrywką, ale ogół pracujący nie uważa jej wcale za utrapienie i przekleństwo.

Jest rzeczą zupełnie pewną, że pod względem produkcyjności przeciętnej naród nasz zajmuje jedno z ostatnich miejsc wśród narodów cywilizowanych. W wieku XVIII większa część ludności naszego kraju pozostawała w poddaństwie, a zatem mogła dostarczać jedynie pracy niewolniczej, mieszczañstwo było nieliczne, a szlachta utraciła swą dawną dzielność. Produkcyjność nasza była wówczas przerażająco mała. Odbijało się to w lichej uprawie pól, w nędznym stanie przemysłu, w niskim stanie oświaty, w wadliwych ustawach krajowych, w ubóstwie skarbu, w zaniedbaniu obrony kraju; słowem następstwem tej słabej produkcyjności był fatalny stan kraju, a ostatecznie utrata niepodległości.

Od owych czasów zmieniło się wiele na lepsze; częściej, niż dawniej, spotyka się ludzi, pracujących z zamięłowaniem, i wzrosła prawdopodobnie znacznie produkcyjność przeciętna. Ale inne narody europejskie poczyniły także pod tymi względami duże postępy, zapewne większe, niż my. Skutkiem tego nie tylko nie zrównaliśmy się z sąsiadami, lecz jeszcze bardziej pozostaliśmy w tyle, i niestety różne oznaki wskazują, że stan ten nie zmienia się na lepsze.

Pół wieku upływa od czasu ostatecznego zniesienia pańszczyzny, lecz pojęcia pańszczyźniane wciąż jeszcze są w kraju wielce rozpowszechnione. Ogromna część ludności uważa pracę za ciężką karę, za ostateczność, do której może zmusić człowieka jedynie groźba głodu. Stosownie do tego pojęto u nas socjalizm nie jako wyzwolenie pracy, lecz jako wyzwolenie z pracy. Robotnik, produkujący więcej od towarzyszków, jest uważany za wyrzutka i zdrajcę, przeciwko

któremu wolno i należy używać najenergiczniejszych środków. Zajmujemy pierwsze miejsce w Europie pod względem ilości świąt, krótkości dnia roboczego oraz ilości strajków i przy tem wszystkim wyróby nasze pod względem dobroci stoją na szarym końcu. Produkujemy mało i źle. Dotyczy to zarówno produkcji materjalnej, jak i umysłowej.

W tem właśnie tkwią przyczyny naszej słabości, stąd pochodziły niepowodzenia, których nam los nie szczędził, stąd pochodziło, że nie mieliśmy sił do odparcia ciosów, które nam wymierzali nasi wrogowie.

Podniesienie produkcyjności to niezbędny i zasadniczy warunek odmiany losu. Ta prawda powinna przyświecać wszelkim zamiarom naszym; podniesienie produkcyjności powinno być najpierwszym celem usiłowań naszych zarówno zbiorowych jak i indywidualnych.

W tej pracy najważniejsza rola musi przypaść szkole, gdyż wpływ szkoły w zamierzonym kierunku może być najdonioślejszy. Za swe główne zadanie szkoła powinna uznać wychowanie pracowników wolnych, czyli krzewienie zamiłowania do pracy. Jeżeli szkoła zadanie owo spełni, jeżeli zacznie ona wypuszczać rok rocznie ze swych murów rzesze dzielnych pracowników, którzy stopniowo zajmą przodujące stanowiska na polu pracy narodowej, to fakt ten wyrze na losy naszego kraju, wpływ niesłychanie doniosły, wpływ wprost nieobliczalny.

Jakże to uczynić, aby każdy uczeń wynosił ze szkoły zamiłowanie pracy, lub przynajmniej wychodził z przeświadczeniem, zaczerpniętem z własnych doświadczeń, że praca może być przyjemna, i że wtedy właśnie wyniki jej są największe i najlepsze? Odpowiedź na to pytanie daje idea t. zw. *szkoły pracy*.

Szkoła pracy.

W czasach obecnych odbywa się we wszystkich krajach kultury europejskiej w dziedzinie szkolnictwa ważna ewolucja, od której można oczekiwać całkowitego przekształcenia szkoły i metod wychowania. Ewolucję tę szcharakteryzujemy krótko i jasno, mówiąc, że polega ona na zmianie ideału wychowawczego.

Każda szkoła, posiada pewien ideał wychowawczy. Ucieleśnieniem tego ideału byłby człowiek, posiadający pewne określone właściwości umysłowe, moralne i fizyczne. Szkoła dąży do tego, aby swych wychowañców możliwie do ideału takiego zbliżyć. Ideał wychowawczy nie jest zazwyczaj ściśle określony w żadnym dokumencie, można jednak zawsze go wyczuć z programów, metod nauczania, a wreszcie z wyobrażeń i poglądów nauczycieli i wychowawców.

Ideałem wychowawczym szkoły dotychczasowej był człowiek, *który dużo wie* czyli *erudyta*. Słowa te uwydatniają jedynie rys zasadniczy, najbardziej rzucający się w oczy ideału szkoły dzisiejszej, a przytem dotyczą tylko jednej strony, mianowicie strony intelektualnej, a nie dotyczą wcale właściwości moralnych. Wszechstronna charakterystyka wymagałaby dłuższego opisu; pominiemy ją całkowicie, gdyż powyższa krótka definicja pozwala w dostatecznej mierze wyświecić przeciwieństwo pomiędzy stanem obecnym a dążeniami nowoczesnemi.

Ten ideał dotychczasowy ustępuje coraz bardziej miejsca ideałowi nowemu, ideałowi szkoły przyszłości, a nowym ideałem wychowawczym jest *dzielny pracownik, t. j. człowiek*,

posiadający zamiłowanie do pracy i umiejący pracować. Obecna szkoła wychowuje, lub pragnie wychowywać ludzi myśli, szkoła przyszła będzie wychowywała ludzi czynu.

Przyczyn takiej ewolucji szukać należy w różnych procesach rozwojowych, odbywających się w społeczeństwach cywilizowanych. Sto lat temu szkoła ludowa stała zdala od życia i nie starała się wcale przygotowywać swych wychowawców do przyszłej pracy produkcyjnej. Syn chłopski szedł do szkoły celem nabycia pewnej kultury ogólnej, a głównie pewnych wiadomości z dziedziny religji, ale rolnictwa uczył się on jedynie od ojca, od sąsiadów, albo wreszcie z własnego doświadczenia. Dziś sprawy się skomplikowały. Rolnictwo stało się umiejętnością wielce złożoną, i nawet w skromnym zakresie gospodarstwa chłopskiego już tradycja nie wystarcza; słusznem więc jest żądanie, aby szkoła w granicach możliwości zaprawiała swych wychowawców do zajęć przyszłych, czyli, aby to była szkoła pracy.

Szkoła średnia, tak zw. „ogólnokształcąca“, chlubi się tem, że przygotowuje nie do pewnych określonych zawodów, lecz dba jedynie o wszechstronny, harmonijny rozwój umysłowy swych pupilów. Pogląd ten polega jednak na złudzeniu. Gimnazjum klasyczne, bo o nie głównie chodzi, nie jest wcale szkołą ogólnokształcąca. Kształci ono nieźle przyszłych biuralistów, pracowników, literatów, i tych uczonych, którzy przeważnie poświęcają się poszukiwaniom archiwalnym, ludzi książki i pióra, dla których erudycja jest czemś zasadniczym, czemś, posiadającym własność samoistną. Natomiast szkoła obecna przygotowuje bardzo źle przyszłych techników, kupców, przemysłowców, rolników, lekarzy, t. j. ludzi, dla których główną rzeczą jest opanowanie pewnych określonych rodzajów pracy, a erudycja posiada tylko wartość pomocniczą.

Dawniej gimnazjum wychowywało głównie ludzi, należących do pierwszej kategorii, a więc odpowiadało dość dobrze zadaniu, obecnie wśród wychowawców szkoły średniej ma znaczną przewagę kategoria druga. Skutkiem tego coraz wyraźniej ujawnia się anomalja obecnego stanu rzeczy, coraz

żywiej ogół odczuwa sprzeczność pomiędzy szkołą a wymaganiami życia. To poczucie jest jedną z przyczyn ewolucji, która odbywa się przed naszymi oczyma.

Ewolucja ta daje się także uzasadnić z punktu widzenia pedagogicznego. Fizyczna i umysłowa organizacja człowieka powstała w walce o byt. Umysł ludzki rozwinął się, gdyż był on użyteczny do pokonywania przeszkód, do ujarzmienia natury, gdyż nadawał on celowy kierunek działalności człowieka. Posiadamy go więc po to, aby posługiwać się nim w naszych czynnościach, w pracy, w postępkach, a nie po to, aby tworzyć w nim skład ciekawych wiadomości. Dlatego też jest na świecie stosunkowo bardzo niewielu ludzi, którzy dążą do zdobycia wiedzy dla niej samej, z prostej ciekawości. Są to wyjątkowe organizacje umysłowe, osiągające pełnię rozwoju tylko w szczególnie sprzyjających warunkach. Ogromna większość ludzi ceni wiedzę tylko o tyle, o ile może się nią posługiwać w różnorodnych zadaniach życiowych.

Zwłaszcza dziecko jest zupełnie niezdolne do zaciekawienia bezinteresownego. Dziecko kilkoletnie jest to istota ogromnie czynna. Jest ono wciąż czemś zajęte. Buduje domy z kart, urządza ogrody na piasku, rysuje, powozi i t. d. Interesują je tylko te rzeczy, które pozostają w bezpośrednim związku z temi czynnościami. Tak np. sześciolatniego chłopca interesuje wielce koń, ponieważ w wyobraźni jeździ on często konno, natomiast nie interesuje go wcale krowa, gdyż w zajęciach jego ten poczciwy czworonóg nie odgrywa żadnej roli. Interesuje go szabla, gdyż w wyobraźni toczy on srogie wojny, a nie interesują użyteczne grabie. Najulubieńszą książką wśród dzieci, a zwłaszcza wśród chłopców, jest Robinson Crusoe, gdyż mały czytelnik utożsamia się z bohaterem powieści, mieszka w wyobraźni na bezludnej wyspie, poluje na kozy, wypala garnki, walczy z ludożercami i t. d. Jednem słowem powieść ta wyzwala w nim siły pracy do czynu, do działalności, i to stanowi jej wielki urok. Próbowano również spopularyzować w świecie dziecięcym Don Kiszota, ale próby te nie miały powodzenia. Natura rycerza z Manszy jest czemś zbyt dalekiem od upodobań dziecka. Nie

utożsamia się ono z bohaterem i może tylko przyglądać się scenom powieści, jako widz bierny, a taka rola jest dla dziecka czemś nieznośnem.

Oczywiście szkoła powinna ściśle liczyć się z tą podstawową strukturą psychologii dziecięcej. Nauczyciel nie jest rzeźbiarzem, który z martwej gliny może wytworzyć wszelkie kształty, jakie mu nasunie fantazja; jest on raczej podobny do ogrodnika, który pielęgnuje roślinę, noszącą w samej sobie prawa swego rozwoju. Dlatego jest rzeczą zupełnie fałszywą meblować głowy dziecięce wiadomościami, które nie mają bezpośredniego związku z życiem umysłowem dziecka i z jego działalnością.

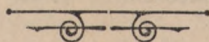
Dziecko z biegiem czasu poznaje coraz lepiej otaczający świat, ale ten proces poznawczy jest czemś powtórnem, czemś tylko pomocniczem. Zasadniczą linię rozwoju stanowi raczej stopniowe opanowywanie środowiska, a mianowicie dziecko coraz lepiej uczy się obracać na swą korzyść czynniki sprzyjające i bronić się przed niesprzyjającymi, a także coraz dobitniej wyraża swe myśli, fantazje i pragnienia za pomocą głosu i giestu, a marzy o zdobyciu jeszcze innych środków wypowiedania się takich, jak rysunek, modelowanie wyszywanie, wyroby z drzewa i t. d.

I w szkole ta linja rozwoju powinna być utrzymana. Szkoła powinna być terenem działalności dziecka podobnie, jak życie poprzednie. Zadanie szkoły polega nie na tem, aby odchyłać rozwój dziecka od kierunku, który mu wykreśliła natura, lecz odwrotnie, aby ten rozwój naturalny spotęgować, przyspieszyć i wzbogacić.

Jeżeli szkoła przyswoi sobie zasady powyższe, to życie szkolne ulegnie zasadniczym zmianom. Kształcenie będzie się odbywało nie drogą uczenia się z książki prawideł, opisów i opowiadań, jak to przeważnie dzieje się dzisiaj, lecz drogą pracy twórczej lub prac, mających na celu opanowanie otaczającego świata. Na pierwszy plan wystąpią rysunki, modelowanie, wyroby z drzewa i metalu, pielęgnowanie roślin i zwierząt, badanie doświadczalne zjawisk fizycznych, chemicznych i t. p.

Gdyby trzymać się z całą konsekwencją zasad powyższych, to wiedza teoretyczna byłaby udzielana tylko o tyle, o ile stoi w bezpośrednim związku z wymienionymi pracami i ułatwia ich wykonanie. Ale takie bezwzględne trzymanie się zasady byłoby, w warunkach obecnych, rzeczą niemożliwą. Jak w każdym zagadnieniu praktycznem, tak i tutaj musi być zawarty rozsądny kompromis pomiędzy wymaganiami teorii, a wymaganiami warunków chwili. Tak np. historia nie stoi w związku bezpośrednim z kwestjami praktycznemi codziennego życia, pomimo to jednak szkoła nie może się wyrzec nauczania historii. Ale i tu nowe prądy nie wątpliwie nie pozostaną bez wpływu. Uczeń nie będzie otrzymywał gotowego kursu, przystosowanego *ad usum Delphi*, lecz będzie musiał sam stwarzać sobie obraz przeszłości, za pomocą studjowania poważnych monografji. Przy tym trybie nauczania nie wyniesie on ze szkoły zaokrąglonej ale powierzchownej i nietrwałej wiedzy historycznej, jak to się dzieje dzisiaj, natomiast zdobędzie rzeczy daleko cenniejsze, a mianowicie lepsze zrozumienie procesu historycznego, pewien zmysł historyczny, a nadewszystko zamiłowanie do studjów lub przynajmniej lektury historycznej; skutkiem tego będzie on i po opuszczeniu szkoły rozszerzał i pogłębiał swe wykształcenie historyczne, o co głównie chodzić powinno.

Szkoła pracy wysuwa się dziś na pierwszy plan ruchu oświatowego we wszystkich krajach cywilizowanych; u nas doniosłość tej sprawy jest może większa niż gdziekolwiek indziej, bo my, jako pracownicy, pozostaliśmy w tyle za innymi, i to właśnie stanowi największą naszą słabość.



**Wykaz subsydjów, otrzymanych przez Tow. „Liga Pracy“
od 1-I 21 r. do 31-XII 21 r.**

Bank dla Handlu i Przemysłu	Mk.	51,000
Bank dla Handlu Zagranicznego	"	50,000
Bank Dyskontowy Warszawski	"	50,000
Bank Handlowy w Warszawie	"	50,000
Bank Przemysłowców Polskich	"	5,000
Bank Ziemiański	"	10,000
Bank Związków Ziemiian	"	50,000
Bank Związku Spółek Zarob. w Poznaniu	"	20,000
Bohm Ferd. w Włocławku	"	5,000
Borkowski Ł. J. Sp. Akc. („Elibor“)	"	100,000
Fitzner W. i Gamper K. Tow. Akc.	"	10,000
Fraget Józef	"	5,000
„Granum“ Sp. Akc.	"	25,000
Heinzel Juliusz, Akc. Tow. Przem. w Łodzi	"	25,000
Henneberg Bracia, Fabryka Wyr. Plater.	"	10,000
Landau Wacław	"	100,000
Leder S. i Heymann M.	"	5,000
Lisowski M., Sp. Akc. Handlu i Przem. Metal.	"	10,000
„Łazy“, Tow. Akc.	"	10,000
Martens i Daab, Tow. Akc.	"	10,000
„Miedziankit“, Tow.	"	10,000
Ministerstwo Przemysłu i Handlu	"	50,000
Mirkowskiej Fabryki Papieru Tow. Akc.	"	100,000
Modrzejowskie Zakłady Górniczo-Hutnicze	"	10,000
Ostrow. Tow. Wielkich Pieców i Zakł. Hut.	"	150,000
„Palatine“, Pol. Amer. Tow.	"	25,000
Polskie Towarzystwo Budowlane	"	15,000
Polskie Tow. Przedsiębiorstw Elektrycznych	"	50,000
Scheibler K. i Grohman L., Zakł. Prz. Tow. Akc.	"	100,000
Shottland Maksymiljan	"	250,000
„Siła i Światło“ Sp. Akc.	"	10,000
Starachowickich Zakładów Górniczych Tow.	"	35,000
„Stradom“ Częstochowskie Zakł. Wyr. Włók.	"	10,000
Wabia-Wabiński W.	"	10,000
Warszawska Spółka Myśliwska	"	25,000
Warszawska Warrantowa Spółka Akcyjna	"	25,000
„Wiek“, Tow. Akc. Przem. Cement.	"	5,000
„Wulkan“, Warsz. Tow. Fabr. Wyr. Met. i Emal.	"	15,000
„Zawiercie“, Tow. Akc.	"	100,000

Razem Mk. 1,596,000

Ponadto Pabjanicka Fabryka Papieru Rob. Saenger ofiarowała
3 bele papieru drukowego, a Tow. Akc. Steinhagen, Wehr i S-ka—1 belę.

Wydawnictwa „Ligi Pracy“.

Warszawa, Czackiego 3/5.

„Od czego zależy bogactwo narodów“ napisał Zygmunt Straszewicz, wydanie 3-cie, 1922. Cena 20 Mk.

Autor wyjaśnia, jakie warunki złożyły się na to, że Anglja jest bogatsza i potężniejsza niż Polska. Z rozważań jego wynika, że przyczyna główna tkwi nie w położeniu geograficznem ani w bogactwach naturalnych, lecz w pracowitości ludzi. Rozważania te również wskazują w sposób oczywisty drogę, na której kraj nasz może w stosunkowo krótkim czasie dojść do bogactwa i potęgi.

„Hygjena pracy“ napisał Dr. Władysław Chodecki, 1920. Cena 20 mk.

Stwierdziwszy na wstępie, że umiarkowana i systematyczna praca jest najlepszem lekarstwem na współczesną nerwowość i że próżniactwo nigdy nie wychodzi na pożytek organizmowi, autor wykląda zasady hygjeny pracy, omawia znaczenie odpoczynku, rozpatruje wpływ urozmaicenia pracy, porę dnia, najodpowiedniejszą do pracy, wpływ alkoholu i t. d.

„O strajkach“. Wydanie 2-gie, 1921. Cena 50 mk.

Jest to broszura, złożona z kilku prac. Pierwszą stanowi artykuł prof. A. Rotherta p. t. „O strajkach“, wyjaśniający istotę strajku ekonomicznego i politycznego, przyczyny oraz skutki strajków, które w obecnych warunkach prowadzą Państwo nasze do zguby. Druga praca p. t. „Kosztowność i bezużyteczność strajków“ jest wyjątkiem z dzieła Filipa Snowdena (przywódcy partji robotniczej w Parlamencie Angielskim) p. t. „The Living Wage“. Z pomocą danych statystycznych autor dowodzi w sposób nieodbitý, że strajki nietylko nie polepszają doli klasy robotniczej, lecz odwrotnie wyrządzają jej ciężką szkodę. Trzecią częścią broszury jest „Odezwa Ligi Pracy do wszystkich myślących Polaków“ w sprawie strajków.

„Kultura Polska w niebezpieczeństwie“ (przyczynek do badań epidemii strajkowej), 1920. Cena 20 mk.

Broszura ta jest poświęcona sprawie strajku w drukarniach (od 1.X do 20.XI 1919 r.), omawia organizację jego, niesłuszne żądania strajkujących, straty, spowodowane przez strajk i zakończona jest odezwą Ligi Pracy do pracowników drukarskich — Polaków.

„Teorja Wyzysku“ (Rodbertus i Marks) napisał Eugenjusz v. Böm-Bawerk. Przełożył z niemieckiego Zygmunt Straszewicz, wydanie 2-gie, 1920. Cena 60 mk.

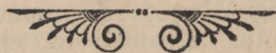
Treścią „Teorji wyzysku“ są podstawy teoretyczne socjalizmu oraz ich analiza krytyczna z punktu widzenia nowoczesnej nauki ekonomicznej. Wykład jest bardzo jasny, żywy i zajmujący, a przytem gruntowny.

„Praca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika“ przez S. K. Drewnowskiego inż. technologa, 1919. Cena 30 mk.

Autor dowodzi na przykładach, że mniemanie, jakoby można podnieść dobrobyt robotnika przez podniesienie tylko wysokości jego płacy zarobkowej jest zupełnem złudzeniem, gdyż koniecznym warunkiem podniesienia dobrobytu jest jeszcze powiększenie wydajności pracy. W dalszym ciągu autor stwierdza faktami, do jak katastrofalnych wyników doprowadziły Rosję błędne pojęcia.

„Jaki system płacy stosować w dzisiejszych warunkach“ napisał Al. Rothert. 1921. Cena 100 mk.

Jest to opis i ocena najważniejszych systemów płacy robotniczej, stosowanych w zakładach przemysłowych; sprawa bardzo ważna i żywotna, omówiona niezwykle jasno i gruntownie.



WYDAWNICTWO „LIGI PRACY“

EUGENJUSZ v. BÖHM-BAWERK

TEORJA WYZYSKU

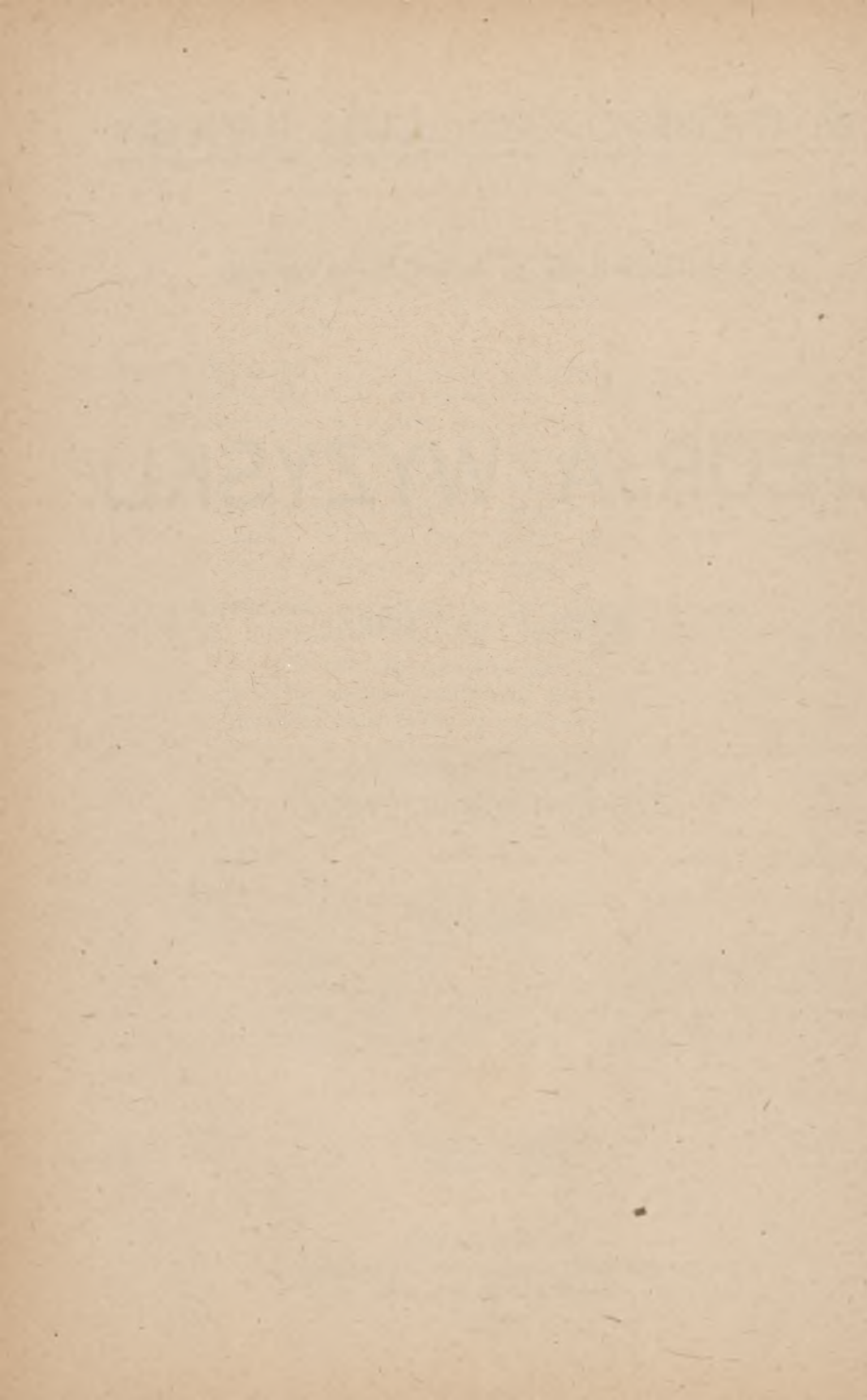
(RODBERTUS I MARX)

Przetłóżył z niemieckiego
ZYGMUNT STRASZEWICZ

Wydanie trzecie

WARSZAWA
WYDRUKOWANO W DRUKARNI J. ULASIEWICZA
MARSZAŁKOWSKA № 49

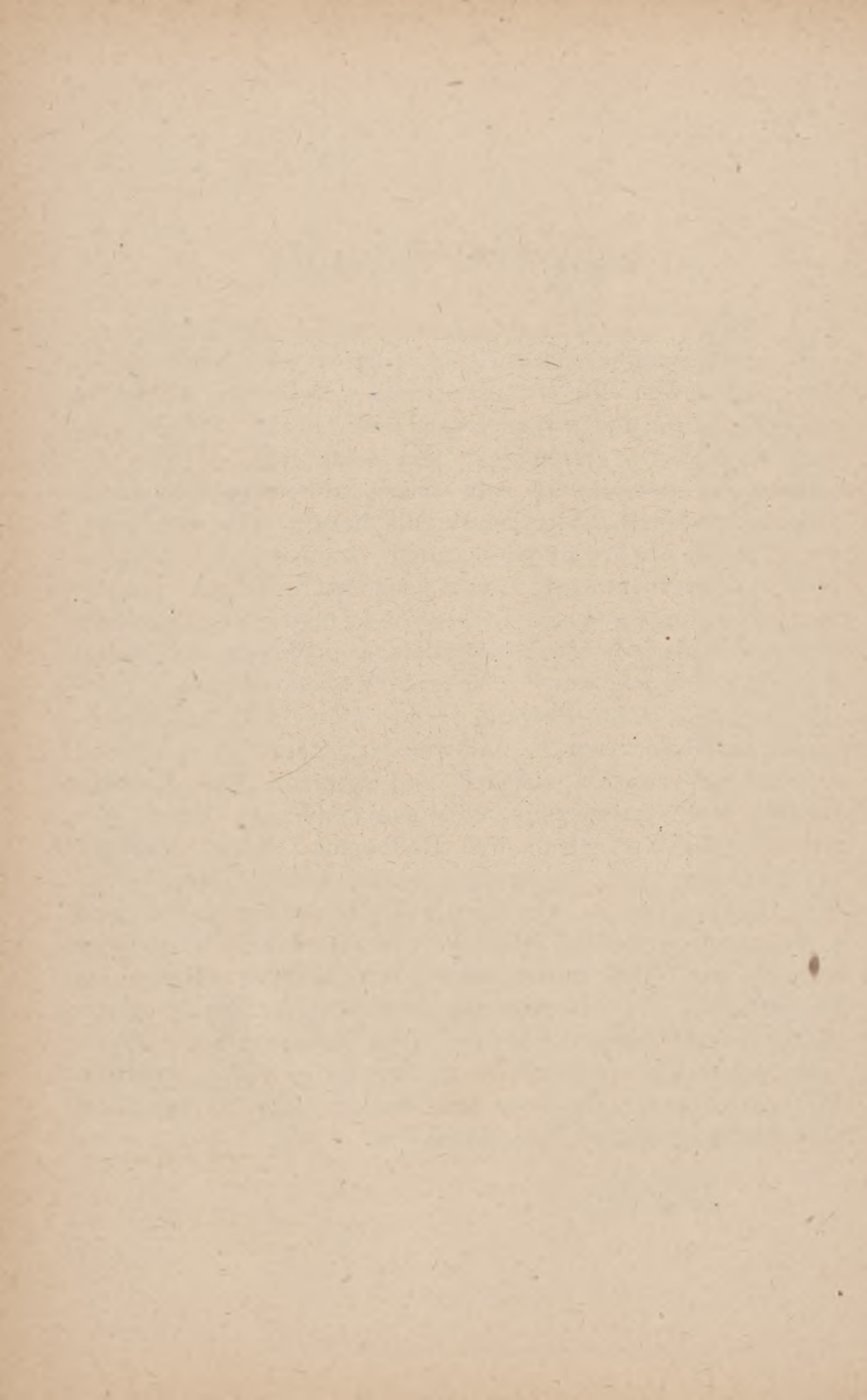
1922



PRZEDMOWA TŁUMACZA

Żyjemy w czasach, gdy potęga socjalizmu dobiega zenitu. Zwłaszcza w naszym kraju rozrost jego jest imponujący. Dowodem siły socjalizmu jest nie tylko to, że zdołał on zgromadzić pod swymi sztandarami liczne zastępy jawnych wyznawców; ważniejszy jest może fakt, że idee socjalistyczne przeniknęły całą naszą atmosferę umysłową, że nawet ci ludzie, którzy występują bardzo stanowczo przeciwko stronnictwom socjalistycznym, sami myślą kategorjami socjalistycznymi, gdy chodzi o sprawy społeczne, a zwłaszcza społeczno-gospodarcze. Wobec tego nie bez pożytku zapewne będzie dziełko, oświetlające podstawy socjalizmu z punktu widzenia współczesnej nauki ekonomicznej. Autorem jego jest Böhm-Bawerk, jeden z najwybitniejszych ekonomistów nowoczesnych. Główne jego dzieło „Capital und Capitalzins“ zawiera rozdział pod tytułem „Die Ausbeutungstheorie“, poświęcony teorii socjalistycznej, której głównymi przedstawicielami byli Rodbertus i Marx. Rozdział ten, napisany żywo i zajmująco, stanowi całość samą w sobie. Znajdujemy w nim zadziwiająco przejrzysty wykład samej teorii oraz jej rozbiór krytyczny, rozbiór bezstronny i gruntowny. Dziełko niniejsze jest właśnie przekładem tego rozdziału. W celu zmniejszenia rozmiarów zostały opuszczone niektóre ustępy, jedynie luźno związane z przedmiotem; opuszczenia te nigdzie nie zrywają wątku wykładu. W tym samym celu pominięto większą część przypisków treści bibliograficznej lub polemicznej.

Maj 1919 r.



TEORIA WYZYSKU

PRZEGLĄD HISTORYCZNY

Mamy przed sobą ową wiekopomną teorię, której rodziny należą pod względem następstw do najważniejszych wydarzeń naukowych 19 wieku, która stała u kolebki nowoczesnego socjalizmu, wraz z nim wyrosła i tworzy obecnie główną pozycję w walce o ustrój społeczeństwa ludzkiego.

Teorii tej nie nadano dotychczas krótkiej nazwy znamiennej. Ze względu na jej głównych wyznawców mógłbym ją nazwać socjalistyczną teorią odsetek od kapitału; uważam jednak za lepsze zużytkować tu treść teoretyczną doktryny, i najodpowiedniejszą wydaje mi się nazwa teorii wyzysku. Można ją w paru zdaniach scharakteryzować, jak następuje.

Wszystkie dobra, posiadające wartość, są wytworem pracy ludzkiej, a nadto z punktu widzenia gospodarczego wyłącznie wytworem pracy ludzkiej. Robotnicy jednak nie otrzymują całkowitego produktu, jakkolwiek oni jedynie go wytworzyli; część tego produktu zagarniają kapitaliści, korzystając z tego, że dzięki instytucji własności prywatnej rozporządzają niezbędnymi środkami wytwórczości. Dzieje się to na mocy kontraktu najmu, który głód narzuca prawdziwemu wytwórcy; kapitalista nabywa tu siłę wytwórczą za część tej produkcji, którą może ona wytworzyć, resztę zabiera dla siebie, jako łatwą zdobycz. Tak więc dochód od kapitału jest częścią owoców cudzej pracy, otrzymaną zapomocą wyzysku ciężkiego położenia robotników.

Powstanie tej doktryny przygotowywało się oddawna i było, rzec można, konieczne dzięki szczególnemu obrotowi rzeczy w nauce ekonomicznej o wartości dóbr od czasów Smitha, a w jeszcze wyższym stopniu od czasów Ricardo. Głoszono i wierzono, że wartości wszystkich dóbr gospodarczych, a przynajmniej ich przeważającej części, odpowia-

dają wcielonym w nich ilościom pracy, oraz że ta ostatnia jest przyczyną i źródłem wartości. W takim stanie rzeczy musiało wcześniej czy później nasunąć się pytanie, dlaczego to robotnik nie otrzymuje całej wartości, którą zrodziła jego praca? W duchu teorii powyższej odpowiedź mogła być tylko jedna: pewna klasa społeczna, mianowicie kapitałiści, przyswaja sobie na podobieństwo trutniów część wartości produktu, który całkowicie wytworzyła inna klasa, t. j. robotnicy.

Wprawdzie twórcy owej teorii wartości Shmith i Ricardo jeszcze odpowiedzi takiej nie dają; unikają jej również bezpośredni następcy. Ale odpowiedź ta była już zawarta, jako następstwo, w ich nauce i potrzeba było jedynie odpowiedniej sposobności, aby wyprowadzić ją na powierzchnię. Tym sposobem Smith i Ricardo mogą być uważani za mimowolnych protoplastów teorii wyzysku, i tak też zapatrują się na nich jej wyznawcy. Nawet najsurowsi socjaliści nie odmawiają im pewnego poważania, jako odkrywcom „prawdziwego“ prawa wartości, spotyka ich ten jeden zarzut, że nie byli dość konsekwentni, aby ze swej nauki o wartości wywnioskować teorię wyzysku.

Kto lubi badać drzewa genealogiczne nie tylko rodów, lecz i teorii, ten już w ubiegłych stuleciach odkryje niejedno wynurzenie, wkraczające wyraźnie w sferę teorii wyzysku. Pomijając kanonistów, którzy w sposób przypadkowy dochodzą do pokrewnych wyników, mogę wymienić Locke'a, wskazującego bardzo stanowczo na pracę, jako na źródło wszelkich dóbr, i uważającego procenty za owoc cudzej pracy. James Steuart porusza się w tym samym kierunku ideowym, jakkolwiek wypowiada się mniej wyraźnie. Sonnenfels przy pewnej sposobności nazywa kapitalistów taką klasą ludu, „która sama wcale nie pracuje, lecz żyje z potu klas pracujących“. Büsch uważa również procent od kapitału za wynik cudzego trudu. Skrzętne poszukiwania wśród dawniejszej literatury mogłyby niewątpliwie tę liczbę przykładów znacznie pomnożyć.

Niemniej jednak narodziny teorii wyzysku, jako doktryny o budowie spoistej i celowej, wypada odnieść do okresu późniejszego. Poprzedziły je dwa procesy przygotowawcze: przedewszystkiem rozwój i rozpowszechnienie teorii wartości Ricardo, która utworzyła grunt teoretyczny, powtórne rozrost wielkiej produkcji kapitalistycznej; ta ostatnia, odsłaniając głęboki antagonizm pomiędzy pracą a kapitałem, wysunęła na plan pierwszy wśród problemów społecznych problemat odsetek od kapitału.

Mniej więcej w trzecim dziesiątku 19 stulecia sprawa dojrzała tak dalece, że można było przystąpić do systema-

tycznej budowy teorii wyzysku. Do pierwszych teoretyków, którzy uzasadniali ją w sposób bardziej wyczerpujący, należą William Thompson w Anglii i Sismondi we Francyi.

Thompson rozwinął kardynalne twierdzenia teorii wyzysku zwięźle, lecz z godną uwagi jasnością i precyzją. Znajdujemy u niego teoretyczny punkt wyjścia, że praca jest źródłem wszelkiej wartości, oraz zastosowanie praktyczne tej myśli w żądaniu, aby wytwórcy otrzymywali całkowity swój wytwór. Thompson stwierdza przytem, że robotnik otrzymuje zarobek zaledwo wystarczający do życia, natomiast kapitaliści zagarniają wartość dodatkową (additional value, surplus value), która może być wytworzona przy pomocy tej samej ilości pracy dzięki zastosowaniu maszyn oraz innego kapitału; dzieje się tak skutkiem tego, że kapitaliści zgromadzili te kapitały i pozwalają korzystać z nich robotnikom. Renta gruntowa i procenty od kapitału są potrąceniami z całkowitego wytworu pracy, który powinien należeć do robotników.

Jaki wpływ wywarł Thompson na dalszy rozwój odnośnej literatury? Poglądy na tę kwestyę nie są zgodne. W każdym razie daje się stwierdzić, że widome ślady jego są słabe. W Anglii kierunek, zapoczątkowany przez Thompsona, nie zyskał wielu kontynuatorów, a wybitniejsi socjaliści literatury francuskiej i niemieckiej przynajmniej zewnętrznie są odeń niezależni. Niedawno Antoni Menger gorąco bronił przypuszczenia, że Marx i Rodbertus zapożyczyli swe najważniejsze teorie socjalistyczne od dawniejszych pierwowzorów francuskich i angielskich, a zwłaszcza od Thompsona. Trudno byłoby orzec stanowczo, czy przypuszczenie to jest słuszne; ja nie uważam wcale tego za pewne.

Niewątpliwie natomiast silny i rozległy był wpływ Sismondiego. Zaliczając jednak tego pisarza do przedstawicieli teorii wyzysku, należy zachować pewną rezerwę. Nauka jego posiada wszelkie znamiona teorii wyzysku, z wyjątkiem jednego, a mianowicie: nie wygłasza on wyroku potępiającego na dochód z kapitału. Jest to pisarz okresu przejściowego. Hołdując w istocie rzeczy nowej teorii, nie zerwał on jednak jeszcze całkowicie z dawną i nie odważył się wyciągnąć ostatnich konsekwencji z nowego punktu widzenia.

Konsekwencje te wyciągnęli wkrótce inni. Sismondi tworzy pomost pomiędzy Smithem i Ricardo z jednej strony, a nadciągającym socjalizmem i komunizmem z drugiej. Dwaj pierwsi, tworząc swą teorię wartości, założyli podwaliny teorii wyzysku, której jednak nie wybudowali. Sismondi wznosił teorię wyzysku prawie całkowicie, wstrzymując

się jedynie od zastosowań w dziedzinie społeczno-politycznej. Po nim idą ławą socjaliści i komuniści, którzy doprowadzili starą naukę o wartości do ostatecznych konsekwencji zarówno teoretycznych, jak i praktycznych, przychodząc w rezultacie do wniosku, że zysk z kapitału jest wyzyskiem, a zatem musi być zniesiony.

Przegląd różnych wykładów teorii wyzysku w socjalistycznej literaturze 19-go wieku byłby pod względem teoretycznym bezcelowy. Byłby to monotony ciąg rozważań równoległych, które, nie wiele różniąc się w wyrazach, są wielce jednostajne w treści; przytem znajdujemy tam jedynie stwierdzenie kardynalnych tez teorii, a miejsce dowodu zajmuje odwołanie się do autorytetu Ricardo lub wiązanka komunałów. Bo wypada stwierdzić, że ogół socjalistów naukowych ćwiczył swe siły duchowe nie tyle na pogłębianiu podwalin swej własnej teorii, co na zgryźliwej krytyce teorii przeciwników.

Z tych względów poprzestanę na wyróżnieniu z tłumu pisarzy socjalistycznych tylko niewielu mężów, którzy przyczynili się szczególnie do rozwinięcia i rozpowszechnienia rozważanej teorii. Wydatne miejsce zajmuje tu przede wszystkim autor „*Contradictions économiques*“, P. J. Proudhon: szczerść przekonań oraz świetna dyalektyka uczyniła zeń najdzielniejszego apostoła teorii wyzysku we Francji. Ponieważ chodzi tu nie o formę, lecz o treść, nie będę więc przytaczał próbek stylu; poprzestanę na ujęciu w kilku zdaniach samego jądra nauki Proudhona. Spostrzeżemy odrazu, że nauka ta bardzo mało odbiega od podanego na początku ogólnego schematu.

Przedewszystkiem dla Proudhona jest rzeczą pewną, że jedynie praca wytwarza wartości. Z tego względu robotnikowi przysługuje naturalne prawo do całkowitego wytworu. W kontrakcie najmu odstępuje on to prawo posiadaczowi kapitału wzamian za zapłatę, mniejszą od ustąpionego produktu. Zostaje on wciągnięty w transakcję niekorzystną, gdyż nie rozumie ani swego naturalnego prawa, ani doniosłości uczynionej cesyi, ani wreszcie prawdziwego znaczenia zawartej umowy. Kapitalista działa tu zapomocą omamienia i oszołomienia, aby nie powiedzieć — podstępem i oszustwa („*erreur et surprise, si même on ne doit dire dol et fraude*“).

Tem to się dzieje, że dziś robotnik nie jest w stanie wykupić swego własnego produktu. Produkt ten kosztuje na rynku więcej od zarobku robotnika. Różnicę stanowią różnego rodzaju zyski, spowodowane przez prawo własności i figurujące pod rozlicznymi tytułami, jak oprocentowanie, czynsz, renta i t. d.

Niemiec Rodbertus, podobny do Proudhona pod względem czystości zamierzeń, przewyższał go ogromnie głębokością myśli, natomiast posiadał mniejszy dar wykładu. Dla historyka doktryn jest on w tej dziedzinie osobistością najważniejszą. Zapoznawano długo jego znaczenie naukowe, rzecz dziwna, właśnie skutkiem naukowości, panującej w jego pismach. Nie zwracał się on bezpośrednio do ludu, lecz przeważnie poprzestawał na teoretycznem badaniu kwestji społecznej; w pomysłach praktycznych, które najsilniej podniecają masy ludowe, zachowywał oględność i umiarkowanie. Dla tego właśnie Rodbertus długo stał w cieniu poza ludźmi mniejszej miary, którzy, czerpiąc swój towar ideowy z drugiej ręki, przyprawiali go na swój sposób dla tłumu. Dopiero w czasach późniejszych została wymierzona temu najsympatyczniejszemu socjaliście sprawiedliwość, i dziś jest on słusznie uważany za duchowego ojca nowoczesnego naukowego socjalizmu. Zamiast płomiennych wycieczek i jaskrawych przeciwstawień, w których tak lubuje się ogół socjalistów, Rodbertus pozostawił uczciwie obmyślaną teorię podziału dóbr; teoria ta błędna w wielu punktach, zawiera jednak dość szczegółów wartościowych, aby zapewnić autorowi trwałe stanowisko wśród teoretyków ekonomji politycznej.

Teoria wyzysku Rodbertusa będzie omówiona szczegółowo w dalszym ciągu; obecnie przechodzę do dwóch następców, którzy różnią się równie silnie pomiędzy sobą, jak i od poprzednika.

Jednym z nich jest Ferdynand Lassalle, najwymowniejszy, lecz co do treści najmniej oryginalny z pośród przewodców socjalizmu. Wspominam o nim jedynie dlatego, że dzięki świetnej wymowie przyczynił się bardzo do rozpowszechnienia teorii wyzysku; do jej wykończenia teoretycznego nie dorzucił prawie nic. Był on jedynie agitator, gdy natomiast w Karolu Marxie mamy znowu teoretyka i to teoretyka, który wraz z Rodbertusem zajmuje w socjalizmie najwydatniejsze miejsce. Nauka jego w wielu punktach zbiega się z badaniami Rodbertusa, lecz swoją drogą nosi znamiona niezaprzeczonej oryginalności oraz bystrej konsekwencji; poznamy ją szczegółowo w dalszym ciągu.

Teorię wyzysku stworzyli przeważnie teoretycy socjalistyczni, ale właściwe jej idee znalazły także dostęp do innych kół pisarskich, w rozmaitym zakresie i sensie. Niektórzy przyswoili ją ryczałtem, odmawiając swego uznania jedynie najdalszym konsekwencyom. Takie stanowisko zajmuje np. Guth. Przyjmuje on wszystkie zasadnicze twierdzenia socjalistów w ich pełnem znaczeniu, uchyla się jednak od wyników ostatecznych, wprowadzając pewne zastrzeżenia

uboczne. Również Dühring w swej teorii procentu stoi całkowicie na gruncie socjalistycznym.

Inna grupa autorów łączy eklektycznie idee teorii wyzysku z własnymi poglądami na problemat procentu, jak np. John Stuart Mill i Schäffle. Inni znowu nie ulegli tak dalece urokowi pism socjalistycznych, aby uznać całokształt teorii, zapożyczyli jednak od niej oddzielne ważne rysy. Za najważniejsze wydarzenie w tym kierunku uważam nawrócenie znacznej części socjalistów z katedry do starego twierdzenia, że jedynie praca jest źródłem wartości, że jest jedyną siłą „wartościotwórczą“.

Losy tego twierdzenia, posiadającego niesłychaną doniosłość w ocenie zasadniczych zjawisk gospodarczych, były wielce osobliwe. Kolebką jego była ekonomika angielska, i w pierwszych dziesiątkach lat po ukazaniu się systemu Smitha doznało ono wraz z tym systemem szerokiego rozpowszechnienia. Później kredyt jego upadł wśród ogółu ekonomistów nawet szkoły angielskiej; stało się to pod wpływem nauki Saya o trzech czynnikach produkcji (natura, praca i kapitał), oraz Hermanna i Seniora. Czas jakiś przechowywała to twierdzenie jedynie grupa pisarzy socjalistycznych, ale potem znowu przejęli je z pism Proudhona, Rodbertusa czy Marxa niemieccy socjaliści z katedry, wyrabiając mu mocne stanowisko w świecie uczonych ekonomistów. Wygląda na to, jak gdyby dzięki wziętości, której zażywają główni przywódcy owej niemieckiej szkoły, teoria Ricarda miała rozpocząć nowy pochód tryumfalny w piśmiennictwach wszystkich narodów ¹⁾.

Czy jest to rzeczą pożądaną, pokaże się z analizy krytycznej teorii wyzysku, do której mam teraz przystąpić.

Stały mi tu otworem różne drogi. Mogłbym np. badać krytycznie po kolei wszystkich przedstawicieli teorii wyzysku. Byłaby to metoda najściślejsza, ale prowadziłaby do zbyt wielu i wielce nużących powtarzań, gdyż poszczególne nauki odznaczają się wielką zgodnością. Albo mogłbym poddać analizie schemat ogólny, nie wchodząc w szczegóły sformułowań indywidualnych. Z takiego trybu postępowania wynikałyby znowu dwie niedogodności. Po pierwsze może zbyt słabo uwydatniłyby się niektóre odcienia indywidualne, po wtóre gdybym nawet szczęśliwie uniknął tego

¹⁾ Było to pisane w roku 1884. Od tego czasu, jak sądzę, nastąpił zwrot. Wprawdzie w ciągu kilku lat następnych owa teoria wartości w związku z rozpowszechnieniem idei socjalistycznych zyskiwała na terenie, ale w czasach ostatnich stanowczo cofnęła się w kołach teoretyków wszystkich krajów, ustępując miejsca teorii „użyteczności granicznej“, która bierze górę coraz bardziej.

niebezpieczeństwa, to jednak z pewnością spotkałby mię zarzut, że zanadto ułatwiłem sobie sprawę, że krytyka moja obrabia nie prawdziwą naukę, lecz jej karykaturę nakreśloną dowolnie. Ostatecznie obrałem trzecią drogę. Z masy opracowań wydzielam te, które uznałem za najlepsze, i analizuję każde z nich oddzielnie.

Wybrałem do tego opracowania Rodbertusa i Marxa. W nich jedynie znajdujemy uzasadnienie głębsze i zwarte. Pierwsze z nich jest zdaniem mojem najlepsze, drugie cieszy się największem uznaniem; jest to do pewnego stopnia oficjalna nauka socjalizmu dzisiejszego.

Rodbertus

Punktem wyjścia teorii procentu Rodbertusa jest twierdzenie, „wprowadzone do nauki przez Smitha, a głębiej uzasadnione przez szkołę Ricardo, że wszystkie dobra trzeba uważać pod względem gospodarczym za wytwory pracy, i że do kosztów ich należy jedynie praca“. Twierdzenie to wypowiada się zazwyczaj w zdaniu, „że jedynie praca jest użyteczna“. Rodbertus wyjaśnia je bliżej w sposób następujący. Po pierwsze do dóbr gospodarczych należą tylko te, których produkcja wymagała pracy; wszystkie inne dobra, nawet najużyteczniejsze lub najpotrzebniejsze dla człowieka, są dobrami naturalnemi i nie mają nic do czynienia z gospodarstwem. Po wtóre wszystkie dobra gospodarcze są wytworami samej tylko pracy i nie mogą być pod względem gospodarczym uważane za wytwory przyrody; każde ujęcie odmienne jest przyrodnicze, a nie gospodarcze. Wreszcie po trzecie dobra pod względem gospodarczym są jedynie wytworem tej pracy, która wykonała niezbędne czynności materialne, ale należy tu nie tylko praca, wyłożona bezpośrednio, lecz również i praca, która wytworzyła niezbędne narzędzia. Naprzykład zboże jest wytworem nie tylko tego, który szedł za pługiem, lecz i tego, który ten pług zbudował.

Pracownicy materialni, wytwarzający produkt całkowicie, powinni według „czystej idei prawa“ posiadać go całkowicie. Są tu tylko dwa podrzędne ograniczenia. Przede wszystkim jest rzeczą technicznie niemożliwą, aby każdy pracownik otrzymywał swój produkt in natura, gdyż wobec systemu podziału pracy wielu współdziała w wytwarzaniu jednego przedmiotu; dla tego też prawo do całkowitego produktu należy zastąpić prawem do całkowitej wartości produktu. Dalej z produkcji narodowej część powinni otrzymać ci wszyscy, którzy wprowadzie nie są bezpośrednio

czynni w materialnem wytwarzaniu dóbr, ale wyświadczają społeczeństwu użyteczne usługi, jak duchowny, lekarz, sędzia, przyrodnik; należy do nich zdaniem Rodbertusa również przedsiębiorca, który „umie przy pomocy kapitału zatrudnić produkcyjnie wielu robotników“. Ale praca taka, „tylko pośrednio gospodarcza“, nie może rościć pretensji do wynagrodzenia przy „pierwotnym podziale dóbr“, w którym powinni brać udział jedynie producenci, lecz dopiero przy „podziale pochodnym“ (abgeleitete Güterverteilung).

Dzisiejszy porządek społeczny nie czyni zadość postulatowi powyższemu, gdyż robotnicy przy podziale pierwotnym otrzymują w postaci płacy zarobkowej tylko część wartości swego produktu; reszta przypada posiadaczom ziemi i kapitału, jako renta. Rentą nazywa Rodbertus „każdy dochód, który otrzymuje się bez pracy własnej, jedynie na zasadzie posiadania“. Istnieją dwa rodzaje renty: renta gruntowa i dochód z kapitału.

„Czemu to przypisać, zapytuje Rodbertus, że jakkolwiek każdy dochód jest jedynie produktem pracy, to jednak w społeczeństwie ciągną dochód (i to dochód pierwotny) osoby, które do wytworzenia jego nie ruszyły palcem?“ W ten sposób Rodbertus postawił ogólny problemat teoretyczny renty. Znajduje on odpowiedź następującą.

Renta wynika ze splotu dwóch okoliczności: jedna z nich jest natury gospodarczej, druga prawnej. Przyczyna gospodarcza renty polega na tem, że od czasu wprowadzenia podziału pracy praca wytwarza więcej, niż potrzeba do wyżywienia robotników; tym sposobem i inni mogą z niej żyć. Przyczynę prawną stanowi własność prywatna ziemi i kapitałów. Ona to sprawia, że robotnicy są pozbawieni możliwości rozporządzania niezbędnymi warunkami produkcji; nie pozostaje im nic innego, jak po zawarciu uprzedniej umowy produkować w służbie u posiadaczy, ci zaś nakładają na nich warunek oddawania części produktu jako renty. Zachodzi tu jeszcze okoliczność obciążająca. Robotnicy odstępują posiadaczom ziemi i kapitału własność całego produktu i otrzymują wzamian w postaci płacy tylko część jego wartości, mianowicie tyle, ile im potrzeba niezbędnie do wyżywienia się i do dalszej pracy. Potęgą zmuszającą robotników do zawarcia takiej umowy, jest głód.

Tym sposobem każda renta jest łupem, albo, jak niekiedy wyraża się Rodbertus, grabieżą wytworów cudzej pracy. Taki charakter posiadają wszelkie rodzaje renty, renta gruntowa i zysk z kapitału, a także pochodzące od nich czynsz dzierżawny i procent od pożyczki.

Wysokość renty wzrasta, gdy wzrasta wydajność pracy, gdyż w systemie wolnej konkurencji robotnik wogóle

otrzymuje tylko tyle, ile jest niezbędne do utrzymania, t. j. pewną określoną ilość produktów. Im większa jest wydajność pracy, tem ilość ta stanowi mniejszy odsetek wytwórczości całkowitej, i tem więcej pozostaje właścicielowi na rentę.

Według powyższego wszelkie renty tworzą w gruncie rzeczy jednorodną masę i pochodzą z jednego źródła, ale w realnem życiu gospodarczem dzielą się one na dwa rodzaje, rentę gruntową i zysk od kapitału. Zasadę tego podziału i jego prawa Rodbertus tłumaczy w sposób wielce oryginalny. W całej tej dziedzinie opiera się on na przesłance teoretycznej, że wartość wymienna każdego produktu jest równa kosztom wyłożonej pracy, innemi słowy, że wszystkie produkty wymieniają się w tych samych stosunkach, w jakich mają się do siebie wyłożone ilości pracy. Jedna rzecz jest tu godna uwagi. Rodbertus wie, że ta przesłanka nie odpowiada ściśle rzeczywistości, ale wierzy, że odchylenia faktyczne zachodzą to w jedną, to w drugą stronę, że zawsze wartość wymienna przynajmniej grawituje do owego punktu, „który byłby naturalną jak również sprawiedliwą wartością wymienną“. Wyłącza on stanowczo wszelką myśl, aby dobra mogły normalnie wymieniać się w stosunku innym niż stosunek wyłożonej pracy, że odchylenia od tego stosunku są następstwem nie tylko przypadkowych wahań rynkowych, lecz że istnieje niezłomne prawo, działające w odmiennym kierunku. Na tem miejscu zwracam tylko uwagę na ten szczegół; pokaże się w następstwie, że jest to rzecz ważna.

Całkowita produkcja dóbr daje się według Rodbertusa podzielić na dwie gałęzie, mianowicie na produkcję surowców, wydobywającą z ziemi materiały surowe i na fabrykację, która materiały te przerabia. Przed wprowadzeniem podziału pracy zarówno wydobywanie surowców, jak i dalsza przeróbka pozostawały w rękach jednego i tego samego przedsiębiorcy, który też zagarniał całkowitą rentę. W tym okresie rozwoju gospodarczego nie czyniono jeszcze różnicy pomiędzy rentą gruntową i zyskiem od kapitału. Odkąd jednak przyjął się podział pracy, przedsiębiorca, dobywający surowce, i przedsiębiorca, prowadzący fabrykację, są to dwie osoby różne. Otóż powstaje pytanie, w jakim stosunku renta, wynikająca z produkcji całkowitej, dzieli się pomiędzy tych przedsiębiorców?

Odpowiedź wynika z charakteru renty. Renta jest potrąceniem z wartości produktu, pewnym odsetkiem tej wartości, a zatem ilość renty, uzyskana w pewnej produkcji, odpowiada wartości produktu, a ta znowu odpowiada wyłożonej pracy. Z tego wynika, że całkowita renta podzieli

się pomiędzy produkcję surowców oraz fabrykację w stosunku ilości pracy, wyłożonej w każdej z tych gałęzi. Z demonstrować to na przykładzie konkretnym. Dajmy na to, że wydobyć pewnej ilości surowców wymaga 1000 dni roboczych, a dalsza przeróbka 2000 dni roboczych; przypuśćmy dalej, że renta wogóle zabiera na rzecz właścicieli 40% wartości ostatecznego produktu. W takim razie producent surowca otrzyma jako rentę produkt 400 dni roboczych, a przedsiębiorca fabryczny 800 dni. Natomiast jest rzeczą zupełnie obojętną, jakie ilości kapitału są ulokowane w każdym z tych przedsiębiorstw. Wprawdzie renta oblicza się od kapitału, ale zależy nie od niego, lecz od wyłożonej pracy.

W konkluzji pragnę jeszcze zaznaczyć, że Rodbertus nie żąda zniesienia ani własności kapitału ani zysku od kapitału pomimo tak surowego wyroku na łupieżczy charakter ostatniego. Przypisuje on własności gruntów i własności kapitałów „pewną moc wychowawczą“, bez której nie można się obyć, „rodzaj władzy rodzinnej, którą możnaby zastąpić jedynie całkowicie odmiennym systemem wychowania narodowego; do tego jednak brak wszelkich warunków“. Tymczasem posiadanie gruntów i kapitałów jest dlań „jakby urzędem, który spełnia funkcje gospodarcze, a mianowicie kieruje pracą ekonomiczną i rozporządza środkami ekonomicznymi narodu odpowiednio do potrzeb narodowych“. Z tego punktu widzenia można uważać rentę za formę wynagrodzenia, które owi „urzędnicy“ otrzymują za spełnianie swych funkcji.

Przechodzę teraz do krytyki tej konstrukcji Rodbertusa. Odrazu powiem bez ogródek, że zawartą tam teorię procentu uważam za całkowicie chybioną. Cierpi ona na różne dolegliwości teoretyczne, które będę się starał okazać tak jasno i bezstronnie, jak tylko potrafię.

Już pierwsza cegła, którą Rodbertus zakłada do swego gmachu, nie wytrzymuje próby. Jest nią twierdzenie, że wszystkie dobra są z punktu widzenia gospodarczego tylko produktami pracy.

Przedewszystkiem, co to znaczy „z punktu widzenia gospodarczego?“ Rodbertus wyjaśnia to zapomocą przeciwstawienia, mianowicie przeciwstawia gospodarczy punkt widzenia przyrodniczemu. Ale w rzeczywistości wszelkie dobra są wytworem nie tylko pracy ludzkiej, lecz i czynników naturalnych. Rodbertus przyznaje to wyraźnie. Jeżeli pomimo to z punktu widzenia gospodarczego dobra mają być jedynie produktem pracy, to twierdzenie takie może mieć tylko jeden sens, a mianowicie, że dla ludzkich orjentacji gospodarczych współdziałanie sił przyrody jest czemś zupełnie obojętnem. Takie pojmowanie znajduje u Rodbertusa

wyraz bardzo dobitny; mówi on mianowicie: „wszystkie inne dobra (prócz tych, na które wyłożono pracę), choćby nie wiem jak potrzebne i użyteczne, są dobrami naturalnymi, które z gospodarstwem nie mają nic do czynienia“.

To jest poprostu nieprawda. Gospodarstwo ma również do czynienia z dobrami naturalnymi, jeżeli tylko są one rzadkie w stosunku do potrzeb. Jeżeli na czyjś grunt spadnie meteor, zawierający złoto, lub jeżeli właściciel odkryje na swem polu przypadkiem kopalnię srebra, to czyż to nie ma związku z gospodarstwem? Czyż ów właściciel pozostawi to złoto lub srebro na polu tylko dlatego, że otrzymał je w podarunku od natury bez żadnych starań ze swej strony? Czyż nie będzie on troskliwie przechowywał zdobytego skarbu, strzegł go przed obcą chciwością, rozważnie zbywał na rynku, innemi słowy gospodarował nim zupełnie tak samo, jak złotem lub srebrem, zdobytym pracą rąk własnych?

Nie da się również utrzymać twierdzenie Rodbertusa, według którego dobra powinny być uważane jedynie za wytwór materialnej pracy ręcznej. Według tego nawet bezpośrednie kierownictwo duchowe pracy produkcyjnej zostaje pozbawione tytułu działalności gospodarczo-produkcyjnej. Prowadzi to do licznych sprzeczności wewnętrznych oraz fałszywych wniosków, i nie może powstać żadna wątpliwość, że twierdzenie owo jest całkowicie błędne. Okazał to Knies w sposób tak uderzający, że rozważanie szczegółowe tej kwestji byłoby niepotrzebnem powtarzaniem ¹⁾.

Nie mając zamiaru wyzyskiwać tej pierwszej pomyłki Rodbertusa, oprę całe rozważanie dalsze na takich założeniach, przy których następstwa owej pomyłki zostaną całkowicie wyeliminowane. Zakładam przeto, że dobra wytwarza tylko praca łącznie ze swobodnemi siłami przyrody przy pomocy jedynie takich rodzajów kapitału, które same powstały ze współdziałania pracy i swobodnych sił przyrody bez żadnego udziału darów natury, posiadających wartość wymienną. Na tak ograniczonym obszarze mogą przyznać zasadniczemu twierdzeniu Rodbertusa moc obowiązującą. Zobaczmy teraz dalej.

¹⁾ Der Credit, II część, str. 64 i nast.; np.: „Kto pragnie „produkować” węgiel kamienny, ten musinie tylko kopać, ale kopać w pewnem określonym miejscu. Mogłby on przecież wykonać materialną operację kopania w tysiącach miejsc bez żadnego skutku. Trudnej czynności poszukiwań musi się podjąć odpowiedni specjalista, a także żaden szyb nie da się zbudować bez udziału innej „siły duchowej“. Czyż wobec tego tylko samo kopanie jest czynnością „gospodarczą“? Czyż środek leczniczy jest produktem tylko tego, kto kręci pigułki, jeżeli skład jakościowy i ilościowy przepisał kto inny?”

Następna teza Rodbertusa głosi, że według „czystej idei prawa“ robotnik powinien otrzymać cały wytworzony przez siebie produkt, albo też wartość jego bez żadnych potrąceń. Zgadzam się całkowicie i na tę tezę; zdaniem mojem wobec poczynionych wyżej zastrzeżeń ograniczających jest ona do przyjęcia. Sądzę jednak, że Rodbertus, a wraz z nim wszyscy socjaliści wytworzyli sobie zupełnie mylne wyobrażenie o urzeczywistnienie tego sprawiedliwego postulatu; pragnęliby oni wprowadzić stan taki, który wcale z postulatu nie wynika, lecz raczej stoi z nim w sprzeczności. Dziwną jest rzeczą, że dotychczas w tylu atakach, wymierzonych przeciwko teorii wyzysku, potrącano ten punkt decydujący bardzo powierzchownie, że nigdy nie oświetlono go należycie; dlatego też w rozważaniach, które mają nastąpić, muszę prosić czytelnika o szczególną uwagę tembardziej, że rzecz nie jest łatwa.

Błąd, o który chodzi, naprzód wskażę, a potem wyświetlę. Twierdzenie, że robotnik powinien otrzymać całkowitą wartość swego produktu może oznaczać, że robotnik powinien dostać obecnie całkowitą wartość obecną, albo w przyszłości całkowitą wartość przyszłą tego produktu; tymczasem Rodbertus i socjaliści tłumaczą je w taki sposób, że robotnik ma obecnie otrzymać całą wartość przyszłą; robią przytem taką minę, jak gdyby to rozumiało się samo przez się, jak gdyby to była jedyna możliwa wykładnia owego twierdzenia.

Przykład konkretny uzmysłowi nam całą sprawę. Dajmy na to, że wykonanie pewnego dobra, np. maszyny parowej, wymaga pięciu lat roboczych, i że maszyna osiąga wartość wymienną 5500 reńskich. Będziemy tymczasem abstrahowali od faktu podziału pracy i przyjmiemy, że maszynę zbudował jeden robotnik, pracując pięć lat z rzędu bez żadnej pomocy. Jakaż teraz należy mu się zapłata w myśl postulatu, że robotnikowi powinien przyspać cały produkt, lub jego wartość? Nie może tu być najmniejszej wątpliwości: należy mu się cała maszyna, albo całe 5500 reńskich. Ale kiedy? I to również nie ulega żadnej wątpliwości. Oczywiście po pięciu latach. Nie może on przecież otrzymać maszyny, gdy ta jeszcze nie egzystuje, nie może stać się właścicielem wartości, wynoszącej 5500 r., przed jej wytworzeniem. Otrzyma on przeto wynagrodzenie według formuły: cały przyszły produkt, albo cała jego przyszła wartość, w przyszłym czasie.

Zdarza się jednak często, że robotnik nie może albo nie chce czekać na całkowite wykończenie swego produktu. Robotnik nasz na ten przykład pragnie już po roku otrzymać stosowną część wynagrodzenia. Pytamy, jak należy

część tę odmierzyć w myśl powyższego postulatu? Sądzę, że i to nie może być wątpliwem ani na chwilę. Stanie się zadość słuszości, gdy robotnik otrzyma to wszystko, co wytworzył dotychczas. Przypuśćmy, że wytworzył on stos nieprzetopionej rudy, nieobrobionego żelaza lub stali. Według słuszości należy mu oddać cały ten niewykończony materiał, albo wartość jego, ale wartość obecną. Nie sądzą, aby jaki socjalista miał cokolwiek do zarzucenia takiemu rozstrzygnięciu sprawy.

Jakaż będzie ta wartość w stosunku do wartości maszyny gotowej? To jest właśnie punkt, w którym myśliciel powierzchowny może wejść łatwo na błędną drogę. Robotnik wykonał dotychczas piątą część pracy, potrzebnej do sporządzenia całej maszyny, może się więc wydawać, że jego produkt dotychczasowy posiada piątą część wartości całkowitego produktu, czyli że jest wart 1100 r. A zatem robotnik powinienby otrzymać wynagrodzenie roczne 1100 r.

Mniemanie takie jest najzupełniej błędne. 1100 reńskich stanowi piątą część wartości maszyny gotowej, istniejącej obecnie, a to, co wytworzył robotnik, jest piątą częścią nie maszyny gotowej obecnie, lecz piątą częścią maszyny, która będzie gotowa za cztery lata. Są to dwie rzeczy różne. Wynika tak bynajmniej nie z krętakej sofistyki, lecz z istoty rzeczy. Jedna z tych piątych części ma inną wartość niż druga; jest to równie pewne, jak to, że według oceny dzisiejszej maszyna istniejąca ma inną wartość, niż maszyna, która będzie do użycia dopiero za cztery lata, jak to, że wogóle dobra istniejące mają dzisiaj inną wartość, niż dobra przyszłe.

Należy to do najogólniejszych i najważniejszych faktów gospodarczych, że dobra obecne w szacunku teraźniejszym posiadają wyższą wartość od dóbr przyszłych tego samego rodzaju i dobroci. W drugim tomie niniejszego dzieła znajdują się szczegółowe badania przyczyn tego zjawiska, różnych postaci, w których się ono uzewnętrznia oraz różnych następstw, które zeń wynikają w życiu gospodarczem; badania te nie są bynajmniej tak łatwe i proste, jakby można się spodziewać, wnosząc z prostej myśli zasadniczej. Sądzę jednak, że mam prawo już teraz powołać się na fakt, że dobra istniejące są więcej warte od dóbr przyszłych. Stwierdza to najpierwotniejsze doświadczenie codziennego życia w sposób, niepozostawiający wątpliwości. Wybierzmy tysiąc osób i dajmy każdej z nich do wyboru podarunek tysiąca reńskich dzisiaj lub taki sam podarunek za lat 50; wszystkie bez wahania wybiorą pierwszy. Albo zapytajmy tysiąc innych osób, z których każda potrzebuje konia i jest gotowa zapłacić zań 200 r., ile da obecnie za takiego samego

koniam, jeżeli ma go otrzymać dopiero za lat 10? Niewątpliwie wszystkie wymienią sumy bez porównania mniejsze, stwierdzając dowodnie, że człowiek gospodarujący zupełnie ogólnie szacuje dobra teraźniejszości wyżej od takich samych dóbr przeszłości.

Z tego wynika, że praca wykonana przez naszego robotnika w pierwszym roku, posiada mniejszą wartość, niż piąta część maszyny gotowej. O ile mniejszą? Na tem miejscu nie mógłbym tego całkowicie wyjaśnić, nie zrywając wątku rozumowania, co byłoby niepożądane. Dostatecznem będzie stwierdzić, że pozostaje to w pewnym związku z przyjętą stopą procentową ¹⁾ oraz odległością chwili, w której cały produkt zostanie wykończony. Dajmy na to, że zwykła stopa procentowa wynosi w danym kraju 5%; w takim razie produkt pierwszego roku roboczego będzie wart w końcu tegoż około 1000 r. ²⁾ Tym sposobem wynagrodzenie robotnika wyniesie w końcu pierwszego roku 1000 r. Jest to zgodne z postulatem, że powinien przypaść mu cały produkt, albo wartość tegoż.

Jeżeli pomimo rozumowania powyższego wyda się komuś, że to jest za mało, to niechaj rozważy rzecz taką. Nikt z pewnością nie powie, że robotnik będzie skrzywdzony, gdy po pięciu latach otrzyma całą maszynę lub jej wartość t. j. 5500 r. Aby można było porównywać, obliczmy wartość, którą będzie miała wyżej wskazana zaliczka w końcu piątego roku. 1000 r., otrzymanych w końcu pierwszego roku, można oddać na procent na cztery lata, skutkiem czego przy stopie 5% powstanie przyrost 200 r. (rachuję tylko procent prosty). Droga ta stoi otworem dla robotnika, jak i dla każdego, a więc 1000 r., wypłaconych przy końcu pierwszego roku, są równoważne 1200 przy końcu piątego. Jeżeli robotnik za piątą część roboty technicznej otrzymał po roku 1000 r., to wynagrodzenie jego nie jest wcale gorsze, niż gdyby otrzymał za całość 5500 po latach pięciu ³⁾.

1) Naturalnie nie mam wcale na myśli podawać stopy procentowej za przyczynę niższego szacunku dóbr przyszłych. Wiem o tem dobrze, że to właśnie procent i stopa procentowa są skutkiem owego zjawiska pierwotnego. Wogóle nie mam tu zamiaru objaśniać, stwierdzam tylko fakty.

2) Liczba ta na pierwszy rzut oka może wydać się dziwną; zobaczmy wkrótce, że jest ona słuszną.

3) Pierwszy tysiąc przyniesie 200 r. procentu, drugi będzie procentował tylko trzy lata, przyniesie więc 150 r., trzeci 100, czwarty 50, piąty, wypłacony w końcu piątego roku, nie przyniesie nic. Tym sposobem w chwili ukończenia roboty robotnik będzie posiadał 5000 r. wypłaconych ratami i 500 r. procentów, czyli w sumie 5500 r.

A jakie stanowisko zajmuje Rodbertus wraz z socjalistami względem postulatu, przysądzającemu robotnikowi całość wytworzonego produktu? Żąda on, aby całkowita wartość, jaką osiągnie produkt przy końcu roboty, została wypłacona robotnikowi, jako wynagrodzenie, ale nie w chwili ukończenia produkcji, lecz ratami w miarę postępowania roboty. Zastanówmy się, co to znaczy. Znaczy to w naszym przypadku, że robotnik już po upływie $2\frac{1}{2}$ lat otrzyma 5500 reńskich, czyli to, co będzie warta maszyna za lat pięć ¹⁾. Wyciągnąć taki wniosek z owej przesłanki, jest według mego widzenia rzeczy czemś, leżącym całkowicie poza granicami rzeczy dozwolonych. Czyż to jest zgodne z naturą rzeczy oraz czystą ideą prawa, aby ktoś otrzymał już po półtrzecia roku pewną całość, którą wykończy dopiero za lat pięć? Jest to tak dalece niezgodne z naturą, że nawet nie da się urzeczywistnić. Nie da się urzeczywistnić nawet w takim razie, gdy wyzwolimy robotnika z więzów tak okrzyczanego kontraktu najmu i postawimy go w położenie przedsiębiorcy, pracującego na własną rękę. Otrzyma on wprawdzie wówczas jako robotnik-przedsiębiorca całe 5500 r., lecz dopiero wtedy, gdy już ta wartość będzie istniała, t. j. za pięć lat. Czyż można w imię czystej idei prawa osiągnąć zapomocą kontraktu najmu to, czego sama natura rzeczy odmawia przedsiębiorcy?

Żądania socjalistów, wyprowadzone na czystą wodę, znaczą, że robotnicy na podstawie kontraktu najmu powinni otrzymać więcej niż wytworzyli, więcej niżby im przypadło, gdyby pracowali, jako przedsiębiorcy na własny rachunek, więcej niż przynoszą przedsiębiorcy, z którym zawarli kontrakt najmu. Należy im się słusznie 5500 r. po pięciu latach, bo właśnie tyle wyprodukowali, tymczasem żąda się dla nich 5500 r. po $2\frac{1}{2}$ latach; to jest więcej, jest to przy stopie procentowej 5% blisko tyle, co 6200 r. w końcu piętego roku. Taki stosunek wartościowy nie jest wcale wynikiem niedoskonałości urządzeń społecznych, które wytworzyły procent i ustaliły stopę jego; jest to bezpośrednie następstwo tej okoliczności, że życie nasze odbywa się w czasie, że dzień dzisiejszy wraz z jego potrzebami i troskami

¹⁾ Wynik powyższy wymaga wyjaśnienia. Autor zakłada, że zgodnie ze zwyczajem wypłata uskutecznia się co tydzień, że zatem robotnik przy końcu każdego tygodnia otrzymuje 260-tą część (52 pomnożone przez 5) sumy 5500 r. i natychmiast oddaje otrzymane pieniądze na prosty procent po 5%. W takim razie przy końcu piątego roku będzie on posiadał 5500 r. i oprócz tego jeszcze 685 r. narosłych odsetek. Lecz taki sam procent dałaby cała suma 5500 w ciągu $2\frac{1}{2}$ lat (ściśle 687,5), a zatem wynik byłby taki sam, gdyby robotnik otrzymał ową sumę po upływie $2\frac{1}{2}$ lat, jak podano w tekście.

idzie przed jutrem, że pojutrze jest już może dla nas całkiem niepewnem. Nietylko nienasyceni kapitaliści, ale nawet każdy robotnik, wogóle każdy człowiek, w szacowaniu wartości czyni różnicę pomiędzy terażniejszością i przyszłością. Co to by były za narzekania, gdyby chciano wypłacić robotnikowi dopiero za rok 10 reńskich, które mu się należą już dzisiaj! I to, co nie jest obojętne robotnikowi, ma być obojętne przedsiębiorcy? Ma on po 2½ latach zapłacić 5500 r. za 5500 r., które otrzyma w postaci gotowego produktu dopiero za lat pięć. Nie jest to ani słuszne ani naturalne! Będzie słuszne i naturalne, powtarzam raz jeszcze gdy robotnik całe 5500 r. otrzyma za pięć lat. Jeżeli nie może on czekać lat pięciu, to zawsze jeszcze należy mu się wartość całkowitego produktu, ale naturalnie obecna wartość produktu obecnego. Wartość ta musi być mniejsza od części przyszłej wartości całego produktu, odpowiadającej dotychczas wykonanej części roboty technicznej, bo w dziedzinie gospodarczej panuje prawo, że obecna wartość dóbr przyszłych jest mniejsza od wartości dóbr terażniejszych; prawo to zawdzięcza istnienie wcale nie jakimś urządzeniem społecznym lub państwowym, lecz jedynie właściwości natury ludzkiej i wynika z natury rzeczy.

Jeżeli gdzie, to na tem miejscu pewna rozwlekłość daje się usprawiedliwić, gdyż chodzi o odparcie socjalistycznej teorii wyzysku, brzemiennej w tak niesłychanie doniosłe następstwa. Dla tego też, nie bacząc na niebezpieczeństwo znudzenia niejednego z mych czytelników, przytoczę jeszcze jeden przykład konkretny; mam nadzieję, że da on mi możliwość unaocznić błąd socjalistów jeszcze dobitniej.

W poprzednim przykładzie abstrahowałem jeszcze od istnienia podziału pracy; zmienię teraz tak założenia, aby zbliżyć się bardziej do rzeczywistości gospodarczej. Dajmy więc na to, że w sporządzeniu maszyny bierze udział pięciu robotników, z których każdy wkłada w nią pracę jednoroczną. Jeden np. dobywa rudę żelazną, drugi wytapia z niej surówkę, trzeci przerabia surówkę na stal, czwarty wytwarza z tego materiału części maszyny, wreszcie piąty montuje i wykończy maszynę. Ponieważ każdy z nich może wziąć się do pracy dopiero wtedy, gdy już jego poprzednik ukończył robotę przygotowawczą, przeto owe pięć lat roboczych muszą następować jedno po drugim, i maszyna będzie gotowa dopiero z końcem piątego roku zupełnie tak samo, jak w przykładzie poprzedzającym. Ile powinien otrzymać każdy z uczestników według postulatu, że robotnikowi należy się całkowita wartość jego produktu?

Spróbujemy naprzód rozwiązać postawione zagadnienie dla tego przypadku gdy kwestję wynagrodzenia robo-

tnicy załatwiają pomiędzy sobą bez pośrednictwa obcego przedsiębiorcy; potrzeba po prostu podzielić między nich wytworzony produkt. Dwie rzeczy są tu bezsporne. Po pierwsze to, że podział może nastąpić dopiero po pięciu latach, bo przed tem nie istnieje nic, nadającego się do podziału; gdyby ruda i żelazo, wytworzone w dwóch pierwszych latach poszły na wynagrodzenie, to nie byłoby materiału do roboty dalszej; oczywiście każdy półprodukt jest związany z produkcją aż do końca i nie może podlegać żadnej repertycji. Powtóre bezspornem jest, że robotnicy mają podzielić pomiędzy siebie całkowitą wartość gotowej maszyny, t. j. 5500 reńskich.

Według jakiego klucza?

Z pewnością nie w równych częściach, jakby mogło się wydać w pierwszej chwili. Przy takim podziale ci, których czynność przypada na późniejszy okres produkcji, byłiby uprzywilejowani względem swych towarzyszy zatrudnionych wcześniej. Robotnik, wykończający maszynę, otrzymałby za rok pracy 1100 r. natychmiast po wykonaniu roboty; ten, który obrabia części maszyny, otrzymałby taką samą sumę, ale musiałby czekać na zapłatę cały rok od skończenia swej pracy; ten, który wydobywał rudę, otrzymałby jednakowe wynagrodzenie, ale dopiero po czterech latach od uskutecznienia swego zadania. Taka zwłoka nie może być dla tych ludzi obojętna; dlatego też każdy pragnąłby otrzymać na swój udział robotę końcową, a nikt nie chciałby się podjąć robót przygotowawczych. Aby znaleźć amatorów na te ostatnie, robotnicy okresów końcowych będą musieli przyznać swym towarzyszom większe udziały w ostatecznej wartości produktu, jako odszkodowanie za zwłokę w wypłacie. Wysokość tego odszkodowania zależy od długości zwłoki, jak również od różnicy, którą czyni się w światku naszej spółki pomiędzy szacunkiem dóbr terażniejszych i przyszłych. Jeżeli różnica ta wynosi 5%, to wynagrodzenia robotników wypadną, jak następuje.

Robotnik pierwszy, który ma czekać na zapłatę cztery lata od ukończenia roboty,	otrzyma w końcu piątego roku	1200 r.
drugi, która musi czekać trzy lata		1150 „
trzeci, który czeka dwa lata		1100 „
czwarty, który czeka rok		1050 „
ostatni otrzymujący zapłatę zaraz po ukończeniu roboty		1000 „

Razem 5500 r.

Robotnicy mogliby otrzymać wszyscy po 1100 r., gdyby różnica czasu była dla nich zupełnie obojętna, ale tak nie jest i nigdy nie będzie.

Nie sądzę, aby ktokolwiek mógłby uznać podział powyższy za niesprawiedliwy. Robotnicy dzielą własny produkt pomiędzy sobą, nie może więc być mowy, że krzywdzi ich kapitalistyczny przedsiębiorca; pomimo to robotnik czwarty otrzymuje nie całą piątą część wartości produktu, lecz tylko 1050 r., a ostatni tylko 1000 r.

Przypuśćmy teraz, że, jak to bywa zwykle, robotnicy nie mogą lub nie chcą czekać na zapłatę aż do ukończenia produkcji; skutkiem tego wchodzą w układy z przedsiębiorcą, aby pobierać od niego robociznę w miarę postępu roboty; za to ma on stać się właścicielem ostatecznego produktu. Przypuśćmy dalej, że przedsiębiorca ten jest człowiekiem sprawiedliwym i bezinteresownym, że niema on najmniejszej chęci wyzyskiwać ciężkie położenia robotników i lichwiarską modą obniżać ich zarobków; pytamy, jakie powinny być w tych okolicznościach warunki kontraktu najmu?

Na pytanie to znajdziemy odpowiedź bez trudności. Oczywiście robotnikom stanie się sprawiedliwość zupełna, gdy przedsiębiorca da im takie same wynagrodzenie, jakie mogliby otrzymać, pracując na własny rachunek. Zasada ta tymczasem rozstrzyga sprawę względem jednego robotnika, mianowicie ostatniego. Otrzymałby on 1000 r. natychmiast po ukończeniu roboty i przedsiębiorca powinien dać mu to samo, jeżeli ma być sprawiedliwość bezwzględna. Względem pozostałych robotników zasada nasza nie daje bezpośrednio punktu oparcia. Termin wypłaty będzie teraz inny niż w przypadku, gdy robotnicy dzielili pomiędzy sobą wartość produktu; z tego względu sumy powyższe nie mogą tu być miarodajne. Ale mamy tu inny, zupełnie pewny punkt oparcia. Ponieważ wszyscy robotnicy przyczynili się jednakowo do wytworzenia maszyny, przeto należy im się według słuszności jednakowe wynagrodzenie. Wynagrodzenie to wyrazi się w jednakowej sumie pieniędzy, bo je każdy otrzymuje zaraz po skończeniu roboty. Tym sposobem każdy otrzyma w końcu swego roku pracy 1000 reńskich, i to będzie zupełnie sprawiedliwe.

Gdyby kto uważał, że to jest zamało, to odwołuję się jeszcze do następującego prostego rachunku, który stwierdzi, że robotnicy otrzymują tu zupełnie tę samą wartość, co przy niewątpliwie słusznym podziale całego produktu pomiędzy nich. Robotnik № 5 otrzymuje zarówno w razie podziału, jak i kontraktu najmu 1000 r. w końcu roku roboczego. № 4 w razie podziału otrzyma 1050 r. w rok po

ukończeniu roboty, a w razie kontraktu 1000 r. zaraz po ukończeniu; jeżeli odda on tę ostatnią sumę na procent, to po roku będzie miał 1050, czyli to samo, co poprzednio. Robotnik № 3 w razie podziału otrzymuje 1100 r. w dwa lata od ukończenia roboty, a w razie kontraktu natychmiast 1000 r., które, złożone na procent, urosną w ciągu dwóch lat do 1100 r. Tak samo zupełnie sumy po 1000 r., które otrzymają robotnicy 1 i 2, równoważą się z sumami 1200 i 1150, które otrzymaliby w przypadku podziału. Lecz jeżeli wynagrodzenia każdego pojedynczego robotnika w obydwóch przypadkach są równoważne, to i sumy są równoważne. 5000 reńskich; które przedsiębiorca wypłaca robotnikom po ukończeniu roboty, są równoważne 5500 r., które w innym przypadku robotnicy podzielą pomiędzy sobą w końcu piątego roku.

Wynagrodzenie wyższe, np. 1100 r. za rok pracy, byłoby do pomyślenia tylko w takim razie, gdyby różnica w czasie, ważna dla robotników, była zupełnie obojętna dla przedsiębiorcy, albo gdyby ten chciał każdemu robotnikowi zrobić podarunek z różnicy pomiędzy wartością teraźniejszą i przyszłą 1100 reńskich. Od przedsiębiorcy prywatnego wogóle nie należy oczekiwać ani jednego ani drugiego, i nie zasługuje on za to na żadne zarzuty, a już najmniej na zarzut niesprawiedliwości, wyzysku lub grabieży.

A teraz krótkie zastosowanie. Stan zarobków, który przedstawiłem w przykładzie ostatnim, jest taki sam, jak w naszym świecie gospodarczym. I tu na robociznę idzie nie ostateczna wartość produktu, lecz suma mniejsza, za to wypłacona w terminie wcześniejszym. Jeżeli różnica pomiędzy ową ostateczną wartością a sumą robocizny wyrównywa jedynie różnicę pomiędzy szacunkiem dóbr teraźniejszych i przyszłych, innemi słowy dopóki robocizna jest niższa od wartości produktu nie więcej niż o ilość procentu, praktykowanego w danym miejscu i czasie, to pretensjom robotników do całej wartości produktu staje się całkowicie zadość; otrzymują oni cały produkt według szacunku chwili, w której są wypłacane zarobki. Dopiero gdy różnica ta jest większa, może być w pewnych warunkach mowa o wyzysku ¹⁾.

¹⁾ Aby uniknąć nieporozumień, a zwłaszcza aby nie posądzono mię, że uważam za wyzysk każdy zysk przedsiębiorcy, przewyższający sumę zwykłych procentów, wtrącam tu krótką uwagę następującą. W różnicy między wartością produktu i robocizną, przypadającej przedsiębiorcy, dają się wyróżnić cztery zasadniczo odmienne części składowe: 1) Premium ubezpieczeniowe od nieudania się produkcji. Powinno być ono potrącanie w wysokości przeciętnych strat, i naturalnie nie

Powróćmy do Rodbertusa. Drugim błędem, który wytknąłem mu w rozważaniach poprzedzających, jest nieśluszną i nielogiczną interpretacją zasady, według której robotnik powinien otrzymywać całkowitą wartość swego produktu; żąda on, aby robotnik już dzisiaj otrzymał całkowitą wartość, którą produkt jego będzie miał kiedyś w przyszłości.

Zbadajmy na jakiej drodze Rodbertus doszedł do tego błędnego mniemania; wyjdzie wówczas na jaw inny błąd, trzeci, zawarty w jego teorii wyzysku. Wychodzi on z założenia, że wartość dóbr stosuje się jedynie do pracy, wyłożonej na ich wytworzenie. Gdyby to była prawda, to wartość półproduktu, który pochłoniął rok pracy, byłaby bez wątpienia równa piątej części wartości produktu wykończonego, wymagającego pracy pięcioletniej. W takim razie byłoby usprawiedliwione żądanie, aby robotnik już obecnie otrzymał całą piątą część owej wartości.

Ale takie założenie w postaci, którą nadaje mu Rodbertus, jest niewątpliwie mylne. Na dowód tego zbytęchną byłoby rzeczą podawać w wątpliwość słynne słowa Ricardo, że praca jest źródłem i miarą wszelkiej wartości, w jego zasadniczej osnowie. Dość będzie wskazać na potężny wyjątek, przytoczony sumiennie przez Ricardo i omówiony w osobnym rozdziale; Rodbertus, rzecz dziwna, ignoruje całkowicie istnienie takiego wyjątku. Jest to mianowicie fakt następujący: gdy mamy dwa dobra, na które wyszły jednakowe ilości pracy, to wyższą wartość wymienią osiąga to z nich, do wykończenia którego potrzeba dłuższej zaliczki pracy przygotowawczej, albo więcej czasu. Ricardo przyjmuje ten fakt do wiadomości w sposób szczególny. Mówi on tak (Principles, Sect. IV, rozdz. I): „zasada, według której ilość pracy, zużytej w produkcji dóbr, określa ich wartość względną, ulega znacznej modyfikacji dzięki zastosowaniu maszyn oraz innego kapitału nieruchomego“; a dalej jeszcze (Sect. V): „dzięki niejednakowemu trwaniu kapitału oraz niejednakowej szybkości,

stanowi żadnego pokrzywdzenia robotników. 2) Wynagrodzenie za osobistą pracę przedsiębiorcy, również całkowicie usprawiedliwione; w pewnych razach, np. gdy przedsiębiorca wprowadzi nowy wynalazek, część ta może być oszacowana wysoko, i nie ma w tem żadnej niesprawiedliwości względem robotników. 3) Bonifikacja różnicy czasu pomiędzy terminem wypłaty zarobków, a realizacją ostatecznego produktu, omówiona w tekście. 4) Przedsiębiorca osiąga może jeszcze zysk dodatkowy, gdy, korzystając z ciężkiego położenia robotników, obniża jeszcze bardziej ich zarobki. Z pośród tych czterech części tylko w ostatniej zawiera się naruszenie zasady, że robotnik powinien otrzymywać całkowitą wartość swego produktu.

z jaką powraca on do właściciela“. Mianowicie te dobra, których produkcja wymaga dużo kapitału nieruchomego, lub dla których obrót kapitału płynnego trwa dłużej, posiadają większą wartość wymienną, niż dobra, na które wyłożono tę samą ilość pracy, lecz dla których okoliczności powyższe nie zachodzą wcale lub zachodzą w mniejszym stopniu; różnica jest równa zyskowi od kapitału, które rachuje sobie przedsiębiorca.

Najzarliwszy zwolennik owego prawa nie zakwestjonuje wyjątku dostrzeżonego przez Ricardo. Jest również rzeczą niewątpliwą, że niekiedy czas trwania produkcji wywiera nawet silniejszy wpływ na wartość dóbr, niż wzgląd na ilość pracy. Przypomnę tylko wartość starego wina, lub stuletniego dębu w lesie.

Zachodzi tu pewna wielce dziwna okoliczność. Nie potrzeba szczególnej bystrości umysłu, aby zrozumieć, że w tym wyjątku tkwi właśnie istota procentu od kapitału. Nadwyżka wartości wymiennej, osiąganey przez te dobra, których produkcja wymaga zaliczki pracy' wcześniejszej, jest właśnie owym zyskiem od kapitału, który przy podziale pozostaje w rękach kapitalisty-przedsiębiorcy. Gdyby nie było tej nadwyżki, toby nie było i procentu od kapitału; ona i procent to jedno. Niema nic łatwiejszego jak to okazać, jeżeli rzecz tak oczywista wymaga jeszcze dowodu. Niech będą dwa dobra i przypuśćmy, że produkcja każdego z nich wymaga pracy jednorocznej, ale skutkiem warunków produkcji prace te musiały być wykonane w różnych okresach czasu: pierwsza została wykonana rok temu, a druga dziesięć lat temu. W takich okolicznościach wartość wymienna pierwszego dobra musi wystarczyć, aby pokryć wynagrodzenie za rok pracy, a do tego jeszcze roczne oprocentowanie tejże. Ale przecież leży, jak na dłoni, że taka sama wartość wymienna nie wystarczałaby na pokrycie wynagrodzenia pracy również jednorocznej, a oprócz tego na jej dziesięcioletnie oprocentowanie. To ostatnie da się uskutecznić tylko pod warunkiem, że wartość wymienna drugiego dobra będzie odpowiednio większa od wartości dobra pierwszego, jakkolwiek obydwa kosztowały jednakowe ilości pracy. Ta różnica w wartościach wymienionych oczywiście jest i być musi jedynym źródłem dziesięcioletniego oprocentowania.

Tak więc ten wyjątek od prawa Ricardo jest ni mniej ni więcej tylko głównym przypadkiem procentu od kapitału. Kto pragnie wyjaśnić zjawisko procentu, ten musi wyjaśnić wyjątek; bez pierwszego niema drugiego. Jeżeli teraz w rozprawach o naturze procentu ignoruje się ten właśnie wyjątek, to trudno byłoby zaiste wyobrazić sobie

fatalniejsze przeoczenie. Rodbertus, ignorując ten wyjątek, usunął z pola badań właśnie tę rzecz, którą miał zbadać.

Następstwa tak szczególnego przeoczenia nie kazały na siebie długo czekać. Pierwsze już przytoczyłem: przeoczywszy wpływ czasu na wartość produkcji, Rodbertus musiał pomieszać prawo robotnika do całkowitej wartości teraźniejszej produktu z prawem do wartości przyszłej. Poznamy zaraz inne następstwa.

Czwarty mój zarzut polega na tem, że nauka Rodbertusa w ważnych punktach jest spreczna sama z sobą.

Cała teoria Rodbertusa renty gruntowej opiera się na wielokroć razy wygłoszonem twierdzeniu, że ilość „renty“, którą można zyskać w pewnej produkcji, zależy nie od wielkości użytego kapitału, lecz wyłącznie od ilości zużytej pracy. Dajmy na to, że w pewnej produkcji przemysłowej, np. w warsztacie szewckim, pracuje dziesięciu robotników. Roczny produkt każdego z nich posiada wartość 1000 reńskich, z czego 500 r. wychodzi na robociznę. Tym sposobem, czy użyty kapitał jest duży, czy mały, renta roczna przedsiębiorcy wyniesie 5000 r. Jeżeli kapitał wynosi 10000 r. mianowicie 5000 r. na wynagrodzenie robotników i 5000 r. na materiał, to renta stanowi 50% od kapitału. Przypuśćmy dalej, że w innej produkcji, np. w fabryce wyrobów złotych, pracuje również dziesięciu robotników. Jeżeli wartość produktu odpowiada ilości pracy, to każdy z nich wytworzy również rocznie 1000 r. wartości, z czego połowa przypadnie mu, jako wynagrodzenie, a połowę zabierze przedsiębiorca, jako rentę. Ale w tym razie materiał, t. j. złoto, posiada daleko większą wartość, niż skóra szewca, a więc i owa renta rozkłada się na większy kapitał, niż w pierwszym przypadku. Dajmy na to, że cały kapitał wynosi w tym razie 200,000 r., mianowicie 5000 na robociznę i 195,000 r. na materiał; w takim razie renta 5000 r. stanowi wszystkiego $2\frac{1}{2}\%$ od kapitału obrotowego. Obydwa te przykłady są przeprowadzone całkowicie w duchu teorii Rodbertusa.

W różnych „fabrykacjach“ spotykamy najrozmaitsze stosunki pomiędzy liczbą robotników (zajętych bezpośrednio lub pośrednio) i wielkością kapitału; z tego by wynikało, że w każdym przedsiębiorstwie kapitał odrzuca odsetki według innej stopy, że stopa waha się w bardzo rozległych granicach. Sam Rodbertus nie miał odwagi twierdzić, że tak właśnie dzieje się w życiu. Przyznaje on w swej teorii renty, że pod działaniem konkurencji kapitałów w całej dziedzinie wytwórczości musi zapanować jedna i ta sama stopa procentowa. Jak to się dzieje, tego Rodbertus nie wyjaśnia szczegółowo; znajdujemy jedynie pobieżne wzmianki.

Zakłada on, że każda stopa procentowa wyższa od przeciętnej zostanie obniżona do poziomu przeciętnego skutkiem powiększenia kapitału zakładowego; możemy dodać, że każda stopa niższa zostanie podniesiona skutkiem odpływu kapitałów.

Na tem Rodbertus urywa rozważanie zjawiska; posuńmy się o krok dalej. W jaki sposób wzmożony dopływ kapitału może zniwelować zbyt wybujałą stopę zysku? Oczywiście stać się to może tylko w sposób następujący: powiększony kapitał potęguje produkcję, podaż produktu wzrasta, a skutkiem tego jego wartość wymienna spada tak dalece, że po odtrąceniu robocizny pozostaje renta, odpowiadająca stopie ogólnie przyjętej. W przykładzie naszym, dotyczącym rzemiosła szewckiego, obniżenie stopy procentowej z 50% do zwykłych 5% odbyłoby się zatem, jak następuje. Wysoka stopa procentowa zwabi licznych nowych przedsiębiorców do rzemiosła szewckiego. prócz tego producenci dotychczasowi rozszerzą swą wytwórczość. Skutkiem tego podaż obuwia będzie wzrastać, a cena spadać. Proces ten będzie trwał dopóty, dopóki wartość wymienna rocznego produktu dziesięciu robotników z 10000 r. nie spadnie do 5500. Wówczas po potrąceniu 5000 r. na robociznę pozostanie przedsiębiorcy jako renta 500 r., co stanowi zwykłe 5% do kapitału 10000 r. Na takim poziomie wartość wymienna obuwia będzie pozostawała trwale; gdyby kiedyś później zysk miał znowu stać się anormalnym, to następstwem tego będzie powtórzenie się opisanego procesu wyrównawczego.

W sposób analogiczny podniesie się stopa procentowa w przemyśle złotniczym z $2\frac{1}{2}\%$ do 5%. Skutkiem zbyt małej zyskowości wytwórczość się skurczy, podaż się zmniejszy, i cena wzrośnie tak dalece, że produkcja dziesięciu robotników osiągnie wartość 15000 r. Po potrącenia 5000 r. na robociznę, pozostaje jako renta przedsiębiorcy 10000 r., co stanowi 5% od 200,000. Tym sposobem zostaje osiągnięte położenie równowagi, w którym wartość wyrobów złotych utrwali się na stałe.

Wyrównywanie nienormalnych zysków nie może się odbywać bez trwałych zmian w wartości odnośnych produktów. Jest to ważny punkt, co do którego pragnąłbym jeszcze w inny sposób usunąć wszelką wątpliwość, zanim pójdziemy dalej. Gdyby wartość wymienna produktu nie ulegała zmianom, to niedostateczna stopa zysku mogłaby się podnieść do poziomu normalnego jedynie kosztem robocizny. Przypuśćmy np., że produkt dziesięciu robotników w przemyśle złotniczym zachował bez zmiany wartość 10000 reńskich, odpowiadającą wyłożonej ilości pracy; w takim

razie podniesie stopy zysku do 5% czyli powiększenie sumy zysku z 5000 do 10000 reńskich mogłoby nastąpić jedynie w drodze całkowitego pozbawiania robotników zarobku, czyli zagarnięcia owych 500 r., które otrzymywał dotychczas każdy z 10 robotników, na zysk kapitalisty. Pomijam już to, że takie przypuszczenie jest całkiem nedorzeczne, ale jest ono równie sprzeczne z doświadczeniem jak i z teorią Rodbertusa. Doświadczenie wskazuje, że następstwem zmniejszenia podaży jest nie obniżenie płacy roboczej, lecz wzrost ceny produktu; doświadczenie nic nie wie o tem, aby w takich gałęziach wytwórczości, które wymagają dużego nakładu kapitałów, płaca robocza stała wyraźnie niżej niż w innych, a takby właśnie być musiało, gdyby powiększenie zysku było następstwem obniżenia płacy roboczej, a nie podniesienia cen. Ale przypuszczenie owo jest również sprzeczne z własną teorią Rodbertusa, według której robotnik wogóle otrzymuje w postaci robocizny niezbędne koszty utrzymania; oczywiście powyższy sposób wyrównywania zysków dotkliwie nadwyręzałby tę zasadę.

Równie łatwo dałoby się okazać, że obniżenie nadmiernych zysków przy niezmienniej wartości produktu mogłoby nastąpić jedynie przez powiększenie płacy roboczej ponad normę; lecz to znowu stoi w sprzeczności z doświadczeniem oraz z teorią Rodbertusa. Wobec tego mam prawo uważać, że niwelacja nienormalnych zysków odbywa się w drodze trwałej zwwyżki lub spadku wartości produktu i pozostaje przy tem w zgodzie zarówno z faktami, jak i z własnymi założeniami Rodbertusa.

Ale skoro produkt roczny dziesięciu robotników w rzemiośle szewckim posiada wartość wymienną 5500 r., a w rzemiośle złotniczym 15000 r. i jeżeli jest to konieczne, aby mogło nastąpić trwale wyrównanie zysków, stwierdzone przez Rodbertusa, to gdzie się podziła przesłanka jego, według której produkty wymieniają się w stosunku tkwiących w nich ilość pracy? A skoro z tej samej ilości pracy w jednym przemyśle wynika 500 reńskich renty, a w drugim 10000, to co się stało z nauką, że ilość renty zależy nie od wielkości kapitału, lecz od ilości wykonanej pracy? Rodbertus uwikłał się tu w sprzeczność, która jest jasna jak dzień boży, i z której niema wyjścia. Jedno z dwojga. albo wymiana odbywa się zazwyczaj według tkwiącej w nich pracy, i ilość renty stosuje się rzeczywiście do ilości zużytej pracy; w takim razie niwelacja zysków od kapitału jest niemożliwa. Albo niwelacja jest faktem, a wówczas leży po za granicami możliwości, aby produkty wymieniały się w stosunku włożonej w nie pracy, i aby wyłącznie suma pracy decydowała o wielkości renty.

Krytykowałem dotychczas szczegóły teorii Rodbertusa, na zakończenie poddam próbie jej całokształt. Jeżeli teoria ta jest słuszną, to powinna dawać nam tłumaczenie zadawających zjawiska procentów we wszystkich zasadniczych postaciach, jakie tylko występują w życiu gospodarczym. Jeżeli przechodzi to jej siły, to sprawa skończona; musimy uznać ją za błędną.

Otóż twierdzę i zaraz dowiodę, że teoria wyzysku Rodbertusa może od biedy wytłumaczyć oprocentowanie kapitału uwiecznionego w robociznie, lecz jest rzeczą zupełnie niemożliwą wytłumaczyć na jej podstawie oprocentowanie tej części kapitału, która tkwi w materjale. Proszę osądzić.

Specjalnością pewnego jubitera jest wyrób sznurów perłowych. Zatrudnia on pięciu robotników, którzy opawiają w sznury prawdziwe perły za milion reńskich rocznie i taki jest obrót przedsiębiorstwa. Tak więc jubiler posiada stale w perłach kapitał miliona reńskich, który według zwykłej stopy procentowej powinien przynosić mu rocznie 50000 r. W jakim teraz sposób da się wytłumaczyć ten zysk jubitera?

Rodbertus odpowiada, że jest to zdobycz, urwana z naturalnej i sprawiedliwej płacy roboczej. Ale z płacy jakich robotników? Czy tych pięciu, którzy perły sortują i opawiają w sznury? Lecz to jest chyba niemożliwe; gdyby można ze sprawiedliwego wynagrodzenia pięciu robotników urwać 50000 r., to owo wynagrodzenie sprawiedliwe musiałoby być większe od 50000 r., t. j. na jednego człowieka przypadłoby więcej od 10000 r. Takiego sprawiedliwego wynagrodzenia nie można chyba brać na serjo, tembardziej, że praca sortowania i opawiania pereł wznosi się niewiele ponad poziom pracy prostej.

Ale zobaczmy dalej. Może jubiler wydziera swą zdobycz robotnikom wcześniejszego okresu produkcji. np. poławiaczom pereł? Lecz z tymi nie miał on żadnej styczności, bo kupował perły od przedsiębiorców lub nawet od pośredników, nie miał więc żadnej sposobności zabierać poławiaczom części ich produktu lub wartości tegoż. Ale może uczynił to za niego przedsiębiorca połowu pereł; tym sposobem zysk jubitera pochodziłby z potrąceń, które przedsiębiorca poczynił z zarobków poławiaczów. Ale i to jest niemożliwe, bo oczywiście jubiler miałby taki sam zysk, jak obecnie, gdyby nawet przedsiębiorca nic nie potrącał swym robotnikom. Może on sobie nawet podzielić pomiędzy poławiaczów całą wartość pereł, t. j. cały milion, otrzymany w zapłacie od jubitera; w ten sposób osiągnie on tylko to, że sam nie będzie miał żadnego zysku, ale nie zmniejszy bynajmniej zysku jubitera. Dla tego ostatniego jest rzeczą

najzupełniej obojętną, co się stanie z wypłaconą przezeń sumą; chodzi jedynie o to, aby ta nie wzrosła. Można sobie wyteżać wyobraźnię ile się podoba; takich robotników, którym wydarto owe 50000 r., nie znajdziemy na świecie.

Może być, że przykład powyższy pozostawia jeszcze jakie skrupuły w umyśle niektórych czytelników. Jest rzeczą dziwną, że z pracy pięciu robotników powstaje tak wielki zysk, ale ktoś może powiedzieć, że całkiem niemożliwe to nie jest. Z tego względu przytoczę jeszcze inny przykład bardziej uderzający. Jest to stary dobry przykład, na którym wypróbowano już niejedną teorię procentu, wypróbowano i odrzucono, jako fałszywą.

Właściciel winnicy wytłoczył beczkę dobrego młodego wina. Zaraz potem wartość wymienna tego wina wynosiła 100 reńskich. Właściciel trzymał je spokojnie z tuzin lat w piwnicy, wino się zestarzało i jest warte 200 r. Jest to fakt znany. Różnica 100 r. dostaje się właścicielowi, jako procent od kapitału, wcielonego w winie. Jakich robotników skrzywdzono o taką sumę?

Gdy wino stało w piwnicy, to nikt a nikt nad niem nie pracował, pozostaje zatem jedna jedyna możliwość, że dopuszczono się wyzysku robotników, którzy produkowali nowe wino. Właściciel winnicy wypłacił im za małe wynagrodzenie. Ale pytam, ile powinien był zapłacić „po sprawiedliwości“? Gdyby im zapłacił nawet 100 r., t. j. całkowitą wartość wina po wytłoczeniu, to i tak pozostałoby mu jeszcze 100 r., jako przyrost wartości, który Rodbertus piętnuje jako wyzysk. Nie uniknąłby on tego piętna, gdyby zapłacił nawet 120 lub 150 r. Dopiero zapłaciwszy 200 byłby od niego wolny.

Czy można na serjo wymagać, aby ktoś płacił dwieście reńskich robotnikom za produkt, którego wartość wynosi nie więcej od stu reńskich? Czyż właściciel jest w stanie przewidzieć, że wino będzie kiedykolwiek warte 200 r.? Okoliczności mogą przecież zmusić go do sprzedaży lub spożycia tego wina przed upływem 12 lat. Wypada, że w takim przypadku zapłacił 200 r. za produkt, którego wartość nie przekroczyła nigdy, dajmy na to, 120 r. A jak ma on wynagradzać robotników, produkujących nowe wino, które odrazu idzie na sprzedaż po 100 r.? Czy także po 200? W takim razie pójdzie z torbami. Albo może tylko po 100 r.? W takim razie różni robotnicy za jedną i tę samą pracę pobieraliby różne wynagrodzenia, co jest znowu niesprawiedliwe; ale zresztą czyż można z góry wiedzieć, czyj produkt będzie sprzedany niezwłocznie, a czyj za lat dwanaście?

Ale to jeszcze nie wszystko. Nawet płaca 200 r. za beczkę nowego wina nie zabezpieczałaby przed zarzutem

wyzysku, bo przecież właściciel może trzymać je w piwnicy nie 12 lecz 24 lata, i wówczas wartość dojdzie do 400 r. Czy ma on z tego względu wypłacić robotnikom, którzy mu 24 lat temu wyprodukowali beczkę wina, 400 reńskich zamiast stu? Taka idea jest zbyt niedorzeczna! A jeżeli zapłaci im tylko 100 lub nawet 200, to pozostanie mu zysk z kapitału, i Rodbertus oskarży go, że skrzywdził robotników, przywłaszczając sobie część wartości ich produktu.

Nikt chyba nie ośmieli się twierdzić, że teoria Rodbertusa wyjaśnia przytoczone przypadki zysków od kapitału i wiele innych analogicznych, a nie może być prawdziwą teorią, która nie jest w stanie wyjaśnić ważnej części zjawisk w jej zakres wchodzących. Tak więc ta próba sumaryczna prowadzi do wyniku, którego można było się spodziewać na zasadzie poprzedniej krytyki szczegółowej: teoria Rodbertusa jest błędna zarówno w uzasadnieniu, jak i w wynikach, pozostaje w sprzeczności sama ze sobą oraz ze zjawiskami rzeczywistości.

Natura podjętego zadania była tego rodzaju, że musiałem w wywodach powyższych głównie i jednostronnie wytykać błędy, w które wpadł Rodbertus. Uważam, że jestem winien pamięci tego wybitnego męża złożyć równie otwarcie wyznanie jego niepospolitych zasług w dziedzinie teorii ekonomicznej, lecz obraz tych zasług niestety wykraczałby poza ramy mych zadań obecnych.

M a r x

Dziełem żywota Marxa w dziedzinie teorii jest wielka trzypięciotomowa księga o kapitale. Podstawy jego teorii wyzysku znajdują się w pierwszym tomie, jedynym, który ukazał się za życia autora w roku 1867. Drugi, wydany przez Engelsa już po śmierci autora, w r. 1885, jest pod względem treści całkowicie jednorodny z pierwszym. Mniej jednorodny jest trzeci, który ukazał się znowu po długiej przerwie, a mianowicie w r. 1894. Wielu mniema, że treść trzeciego tomu nie może się ostać wobec pierwszego i odwrotnie; mniemanie to podziela i autor książki niniejszej. Marx sam nie uznał tego stosunku, a nawet wypowiedział się w trzecim tomie, że doktryny, wyłożone w pierwszym, zachowują niezmiennie moc całkowitą; na tej zasadzie krytyka ma prawo i obowiązek uważać naukę tomu pierwszego za prawdziwą i niezmienną mniemanie Marxa pomimo istnienia tomu trzeciego. Ma on również prawo i obowiązek odwoływać się w odpowiednich miejscach do tomu trzeciego celem zestawień i ilustracji.

Dla Marxa punktem wyjścia jest twierdzenie, że wartość każdego towaru zależy wyłącznie od ilości pracy, którą wyłożono na jego produkcję. Kładzie on na to daleko większy nacisk, niż Rodbertus. Ten ostatni przytacza twierdzenie powyższe jakby mimochodem, nieraz w postaci hipotetycznej, a nigdzie nie próbuje go dowodzić; natomiast Marx wysuwa je na czoło całej swej nauki i poświęca mu wyczerpujące uzasadnienie.

Zakres badań, podjętych przez Marxa, „aby wpaść na trop wartości“, ogranicza on z góry do towarów; w jego pojmowaniu są to nie wszystkie dobra gospodarcze, lecz tylko produkty pracy, wytworzone dla rynku. Zaczyna od „analizy towaru“. Towar z jednej strony jest rzeczą użyteczną, która dzięki swym właściwościom zaspakaja jakieś potrzeby ludzkie, czyli wartością użytkową; z drugiej strony jest to podłoże materialne wartości wymiennej. Odtąd analiza przechodzi na tę ostatnią. „Wartość wymienna występuje pierwotnie jako stosunek ilościowy, jako proporcja, w której wymieniają się wartości użytkowe jednego rodzaju, na wartości użytkowe innego rodzaju, stosunek, który zmienia się wciąż ze zmianą miejsca i czasu“. Wygląda tak, jakby to było coś przypadkowego. Musi jednak w tej zmienności tkwić jakiś element trwały; ten właśnie element pragnie Marx wykryć, posługując się swą znaną metodą dyalektyczną. „Weźmy dwa towary, np. pszenicę i żelazo. Jakikolwiek będzie ich stosunek wymienny, to zawsze będzie można go wyrazić w równaniu, w którym zakłada się równość danej ilości pszenicy z jakąś ilością żelaza, np. 1 quarter pszenicy = a centnarów żelaza. Co nam mówi to równanie? Że w dwóch rzeczach różnych 1 q. pszenicy oraz a centnarach żelaza, istnieje coś wspólnego tej samej wielkości. Obydwie te rzeczy są równe czemuś trzeciemu, co nie jest ani jednym ani drugim. Każda z nich, o ile chodzi o wartość wymienną, musi sprowadzać się do tego trzeciego“.

„To coś wspólnego, ciągnie Marx, nie może być jakąś właściwością geometryczną, fizyczną, chemiczną, lub wogóle właściwością przyrodzoną towarów. Ich właściwości materialne wogóle wchodzi w rachubę tylko o tyle, o ile czynią je użytecznymi, o ile robią z nich wartości użytkowe. Z drugiej strony cechą charakterystyczną stosunku wymiennego towarów jest oczywiście abstrakcja od ich wartości użytkowych. W jego dziedzinie pewna wartość użytkowa znaczy tyleż, co każda inna, byleby istniała w należytej proporcji. Albo, jak powiada stary Barbon: „jeden gatunek towaru jest równie dobry, jak i drugi, jeżeli ich wartości wymienne są równe. Niema tu żadnej różnicy ani możliwości rozróżniania pomiędzy rzeczami o równych wartościach wymiennych“.

Towary, jako wartości użytkowe, różnią się przedewszystkiem jakościowo; jako wartości wymienne, mogą one występować tylko w różnych ilościach, nie zawierają więc ani atomu wartości użytkowej“.

„Gdy teraz odrzucimy wartość użytkową ciał towarowych, to pozostanie im tylko jedna właściwość wspólna, a mianowicie właściwość produktów pracy. Ale i produkt pracy wnet przekształca się nam w rękę. Abstrahując od jego wartości użytkowej, tem samem abstrahujemy od jego składników materialnych oraz form, które czynią zeń wartość użytkową. Nie jest to już ani stół, ani dom, ani przedza, ani żadna inna rzecz użyteczna. Wszystkie cechy jego natury zmysłowej znikają. Nie jest to już produkt pracy stolarskiej, albo pracy budowlanej, albo przedsiębiorczej lub jakiegokolwiek innej pracy wytwórczej. Wraz z użytecznym charakterem wytworów pracy znika użyteczny charakter prac, które się w nich wyraziły, znikają więc również różne postaci konkretne tych prac; już niema pomiędzy nimi różnic, wszystkie sprowadzają się do jednorodnej pracy ludzkiej, do pracy abstrakcyjnie ludzkiej“.

„Rozważmy teraz ten osad, pozostały z produktów pracy. Nie pozostało z nich nic prócz jednakowej widmowej przedmiotowości, czystej galarety jednorodnej pracy ludzkiej, czyli pewnego wydatku ludzkiej siły roboczej bez względu na formę tego wydatku. Rzeczy te mówią tylko tyle, że na ich produkcję wydano siłę roboczą, że nagromadzono w nich pracę ludzką. Jako kryształły tej substancji społecznej, wspólnej im wszystkim, są one wartościami“.

W ten sposób pojęcie wartości zostaje odkryte i określone. Pod względem postaci dialektycznej wartość nie jest identyczna z wartością wymienną, ale pozostaje z nią w jak-najściślejszym i nierozzerwalnym związku; jest to rodzaj dystrylatu pojęciowego z wartości wymiennej. Mówiąc własnymi wyrazami Marxa, jest to „treść wspólna, znajdująca wyraz w stosunku wymiennym lub w wartości wymiennej towarów“; i odwrotnie „wartość wymienna jest koniecznym wyrazem lub uzewnętrznieniem wartości“.

Po utrwaleniu pojęcia wartości Marx przechodzi do określenia jej wielkości i miary. Ponieważ praca jest substancją wartości, przeto konsekwentnie wartość wszelkich dóbr co do wielkości mierzy się ilością zawartej w nich pracy, albo czasem roboczym. Ale nie czasem indywidualnym, użytym przypadkowo przez tę jednostkę ludzką, która dane dobro wytworzyła; miarodajnym tu jest czas społecznie potrzebny. Jest to według Marxa „czas roboczy, niezbędny do tego, aby wytworzyć jakąś wartość użytkową w istniejących, społecznie — normalnych warunkach produkcji, przy

społecznym stopniu biegłości oraz intensywności pracy". „Tylko ilość pracy społecznie niezbędnej, albo czas społecznie niezbędny do wykonania pewnej wartości użytkowej określa wartość tej ostatniej co do wielkości. Jakiś towar poszczególny wchodzi tu wogóle jako egzemplarz przeciętny odnośnego rodzaju. Dlatego też jednakową wartość posiadają towary, które zawierają jednakowe ilości pracy lub mogą być wytworzone w tym samym czasie. Wartość jednego towaru tak się ma do wartości każdego innego, jak czas potrzebny na wytworzenie pierwszego do czasu potrzebnego na wytworzenie drugiego. Wszystkie towary, jako wartości, są tylko określonymi miarami zakrzepłego czasu roboczego".

Z tego wszystkiego wynika treść wielkiego „prawa wartości“, któremu podlega wymiana towarów. Prawo to głosi, że towary wymieniają się pomiędzy sobą w stosunku zawartej w nich społecznie niezbędnej pracy przeciętnej. Inne sposoby wypowiedzania tego prawa są, że towary „wymieniają się według swych wartości“ lub, że „równoważnik wymienia się na równoważnik“. Wprawdzie w przypadkach pojedynczych skutkiem chwilowych wahań podaży i popytu występują ceny, stojące wyżej lub niżej od wartości, ale te „ciągłe oscylacje cen rynkowych... kompensują się, znoszą się nawzajem i sprowadzają się same do ceny przeciętnej, jako do swej reguły wewnętrznej“. Na czas dłuższy „w przypadkowych i podlegających ciąglemu wahaniu stosunkach wymiennych“ ostatecznie „musowo bierze górę społecznie niezbędny czas roboczy, jako kierownicze prawo natury“. Marx mówi o tem prawie, jako „o wiecznem prawie wymiany towarów“, jako o „naturalnem prawie równowagi“. Zdarza się wprawdzie, jak już była mowa, że ceny towarów różnią się od wartości tychże, ale w stosunku do reguły ogólnej są to fakty „przypadkowe“, a same odchylenia należy uważać za „naruszenie prawa wymiany towarów“.

Na takiej teorii wartości Marx wznosi drugą część swej budowy, swą słynną naukę o „wartości dodatkowej“. Bada on źródło zysku, który kapitaliści ciągną ze swych kapitałów. Kapitalista zamienia pewną sumę pieniędzy na towary, poddaje te ostatnie pośredniemu procesowi produkcji i wymienia je z powrotem na większą sumę pieniędzy. Skąd się bierze ten przyrost, ta nadwyżka sumy otrzymanej nad wydaną pierwotnie, lub, jak ją nazywa Marx „wartość dodatkowa“?

Na wstępie Marx przeprowadza rozgraniczenie warunków zagadnienia właściwą sobie metodą dialektyczną eliminacji. Wartość dodatkowa nie może pochodzić ani stąd, że kapitalista stale nabywa towary poniżej ich wartości, ani

stać, że je sprzedaje stale powyżej tejże. Zagadnienie przeto przybiera postać następującą: „Nasz... właściciel pieniędzy musi nabywać towary według ich wartości, i według ich wartości sprzedawać, a swoją drogą powinien przy końcu procesu wyciągnąć więcej wartości, niż włożył... Oto są warunki zagadnienia. Hic Rhodus hic salta!“

Rozwiązanie znalazł Marx w okoliczności następującej. Istnieje towar o dziwnej wartości użytkowej, która polega na tem, że on sam jest źródłem wartości wymiennej. Towarem tym jest zdolność do pracy, albo siła robocza. Można go kupić na rynku, jeżeli są spełnione dwa warunki: przede wszystkim robotnik powinien być osobiście wolny; w razie przeciwnym byłaby do nabycia nie jego siła robocza, lecz on sam, jako niewolnik; powtóre robotnik musi być pozbawiony „wszelkich rzeczy potrzebnych do zatrudnienia swej siły roboczej“, bo inaczej wolałby produkować na własny rachunek i sprzedawać produkty zamiast siły roboczej. Handel tym towarem daje kapitaliście wartość dodatkową w sposób następujący.

Wartość towaru, zwanego siłą roboczą, tak samo, jak wartość każdego innego towaru, odpowiada czasowi roboczemu potrzebnemu do jej reprodukcji; jest to czas niezbędny do tego, aby wytworzyć tyle produktów, ile potrzeba do utrzymania robotnika. Przypuśćmy np., że na wytworzenie produktów, potrzebnych do utrzymania jednodniowego, wychodzi 6 godzin czasu społecznie niezbędnego, i że taki sam czas roboczy jest wcielony w 3 szylingach złota; w takim razie można dostać siłę roboczą na jeden dzień za 3 szylingi. Jeżeli kapitalista kupno takie skutecznił, to wartość użytkowa siły roboczej należy do niego; aby ją zrealizować każe on robotnikowi pracować na siebie. Gdyby robotnik pracował tylko tyle godzin, ile wcieliło się w jego własną siłę roboczą, i ile kapitalista opłacił przy kupnie, to nie mogłaby powstać wartość dodatkowa. Bo przecież według założenia 6 godzin roboczych, wcieliwszy się w pewien produkt, nie mogą mu dodać więcej wartości od 3 szylingów, a kapitalista tyle właśnie wydał na robociznę. Tak kapitaliści nie robią. Jakkolwiek nabyli oni siłę roboczą za cenę, odpowiadającą tylko sześciogodzinnej sile roboczej, to jednak każą robotnikowi pracować dzień cały. Tym sposobem w produkt dnia roboczego wciela się więcej godzin roboczych, niż kapitalista opłacił. Z tego wynika, że produkt ma większą wartość od wypłaconej robocizny, a różnica stanowi „wartość dodatkową“ przypadającą kapitaliście.

Przykład. Przypuśćmy, że robotnik może w 6 godzin przerobić na przedzę 10 funtów bawełny. Na wytworzenie

tej bawełny poszło 20 godzin roboczych, i przeto jest ona warta 10 szylingów. Podczas przedzenia zużywają się maszyny i narzędzia; przypuśćmy, że zużycie, wywołane przez sześciogodzinne przedzenie, odpowiada czterogodzinnej pracy, a więc reprezentuje wartość 2 szylingów. Tym sposobem cała wartość środków produkcji, które wyszły na przędzę, wynosi 12 sz., co odpowiada 24 godzinom pracy. Podczas przedzenia bawełna „wessała“ jeszcze 6 godzin, a zatem przędza gotowa jest produktem 30 godzin roboczych i posiada wartość 15 szylingów. Gdyby robotnik pracował tylko 6 godzin dziennie, to wytworzenie przędzy kosztowałoby kapitalistę pełne 15 sz.: 10 sz. na bawełnę, 2 sz. na zużycie maszyn, 3 sz. na robociznę. Niema tu żadnej wartości dodatkowej.

Będzie zupełnie inaczej, jeżeli kapitalista każe pracować robotnikowi 12 godzin. W ciągu tego czasu robotnik przerobi 20 f. bawełny, w której już poprzednio tkwiło 40 godzin roboczych, skutkiem czego była ona warta 20 szylingów. Zużycie maszyn odpowiada w tym razie pracy ośmiogodzinnej, lub wartości 4 sz., a bawełna otrzymuje przyrost 12 godzin roboczych, czyli przyrost wartości 6 sz. Bilans wygląda obecnie tak: przędza kosztowała w sumie 60 godzin pracy, a więc posiada wartość 30 sz.; wydatki kapitalisty wynosiły 20 sz. na bawełnę, 4 sz. za zużycie maszyn i 3 sz. robocizna, razem 27 sz. Pozostaje „wartość dodatkowa“ 3 szylingi.

Tak więc według Marxa wartość dodatkowa pochodzi stąd, że kapitalista zmusza robotnika, aby ten część dnia pracował na niego, i nie płaci za to. W dniu pracy robotnika dadzą się odróżnić dwie części. W części pierwszej, „niezbędnym czasie roboczym“, robotnik wytwarza to, co jest potrzebne do własnego utrzymania, lub raczej wartość tegoż, za tę część pracy otrzymuje on równoważnik w wynagrodzeniu. W ciągu drugiej części, „nadwyżki czasu roboczego“, podlega on „wyzyskowi“, wytwarza wartość dodatkową, nie otrzymując za to żadnego równoważnika. „Kapitał nie tylko rozporządza pracą, jak mówi A. Smith; rozporządza on w istocie pracą nieopłaconą. Wszelka wartość dodatkowa czy krystalizuje się później w postaci zysku, czy czynszu, czy renty, czy jakiej innej, jest co do swej substancji zawsze materjalizacją nieopłaconego czasu roboczego“.

Oto jest rdzeń marksowskiej teorii wyzysku, wyłożonej w tomie I, „Kapitału“; w tomie III, prawdopodobnie mimowoli, Marx stanął z nią w sprzeczności, lecz wcale jej nie odwołał. Uważny czytelnik niewątpliwie rozpoznał w tem przedstawieniu rzeczy wszystkie zasadnicze tezy, z których już Rodbertus zbudował swą teorię procentu; jedynie postać

zewnątrzną jest do pewnego stopnia odmienna. Odnajdujemy więc tu naukę, że miarą wartości dóbr jest ilość wyłożonej pracy, że jedynie praca stwarza wartości, że w kontrakcie najmu robotnik otrzymuje mniej niż wytwarza, zmuszony do tego przez niedostatek, że nadwyżkę przywłaszcza sobie kapitalista, a zysk, otrzymany w ten sposób, ma charakter grabieży owoców cudzej pracy.

Ze względu na zgodność obydwóch teoryj, albo raczej obydwóch sformułowań tej samej teoryj, prawie cała krytyka moja nauki Rodbertusa pozostaje w mocy i wobec Marxa. Mogę więc poprzestać tu na niewielu dopełnieniach, uważam je za potrzebne, aby pod pewnymi względami dopasować krytykę do odmiennego sformułowania doktryny, powtóre aby rozważyć pewne rzeczy nowe, które wprowadził Marx.

Z pośród tych rzeczy nowych najważniejsza jest próba dowodu twierdzenia, że każda wartość wynika z pracy. Rodbertus przytoczył je mimochodem, również i ja zwalczałem je dotychczas tylko mimochodem; wskazałem jedynie na pewne niewątpliwie wyjątki, lecz nie sięgnąłem do jądra sprawy. Wobec Marxa nie mogę i nie chcę na tem poprzestać, jakkolwiek wypadnie wkroczyć tu na pole, które już zostało zorane przez znakomitych uczonych. Nasza gałąź wiedzy nie jest niestety w tym stanie, aby wznowienie usiłowań krytycznych można było uważać za trud zbyt ciężki. Właśnie w naszych czasach¹⁾ twierdzenie owo rozpowszechnia się jak ewangelja w coraz szerszych kołach; tymczasem w gruncie rzeczy jest to tylko dykteryjka, którą pewnego razu opowiedział wielki człowiek, i którą odtąd powtarzają łatwowierne rzesze.

Na świadectwo nauki, że wartość dóbr polega na pracy, brane są zazwyczaj dwa dumne imiona: Adam Smith i Ricardo. Jest w tem pewna doza słuszności, ale nie słuszność całkowita. Owa nauka istotnie mieści się w ich pismach, ale Smith także przeczy jej niekiedy, a Ricardo tak zacieśnia obszar, na którym posiada ona moc obowiązującą, przytacza tak ważne wyjątki, że chyba nie da się usprawiedliwić twierdzenie, jakoby uważał on pracę za ogólną i wyłączną zasadę wartości dóbr.

Na początku swych „Principles“ oświadcza on wyraźnie, — że wartość wymienna dóbr pochodzi z dwóch źródeł: z ich rzadkości i z ilości pracy, którą kosztowało ich zdobycie. Niektóre dobra, jak np. rzadkie obrazy, biorą swą wartość wyłącznie z pierwszego źródła; tylko wartość tych dóbr, które dają się reprodukowac w nieograniczonych ilościach, mierzy się ilością pracy; co prawda, zdaniem Ricardo,

1) Pisane w r. 1884; zobacz przypisek na str. 10.

dobra takie stanowią ogromną większość. Ale nawet i tu Ricardo był zmuszony do dalszych ograniczeń. Musiał się zgodzić, że wartość wymienna nawet takich dóbr zależy nie wyłącznie od pracy, że poważny wpływ wywiera tu również czas, który upłynął od początkowych nakładów pracy do realizacji ostatecznego produktu.

Tym sposobem ani Smith ani Ricardo nie wysuwali zasady, o której mowa, tak bezwzględnie, jak to głosi fama. Bądź co bądź wysunęli ją, i zobaczymy, na jakich oparli ją zasadach.

Czynimy tu naprzód bardzo dziwne odkrycie: ani Smith ani Ricardo nie uzasadnili owego prawa wartości, lecz ogłosili je, jako coś, co się rozumie samo przez się. Oto są słynne słowa, które o tem napisał Smith, i które Ricardo włączył do swej nauki, w dosłownej cytacie:

„Prawdziwą ceną każdej rzeczy, tem, co ta rzecz istotnie kosztuje tego, co ją pragnie nabyć, jest trud i uciążliwości nabycia. Tem, co pewna rzecz jest istotnie warta (is really wort) dla człowieka, który ją nabył i pragnie odprzedać, jest trud i uciążliwość, których mu ona może oszczędzić i zwalić na innych“.

Zatrzymajmy się na chwilę w tem miejscu. Smith wypowiada przytoczone słowa takim tonem, jak gdyby ich słuszność była oczywista. Ale czy jest to istotnie oczywiste? Trud ma być podstawą wartości; czyż pojęcia te są w tak blizkim związku, aby twierdzenie takie narzucało się musowo umysłowi? Nie sądzę, aby człowiek nieuprzedzony coś podobnego mógł utrzymywać. Ponośiłem trudy dla pewnej rzeczy, to jest fakt jeden; rzecz ta jest warta trudów, to jest fakt drugi, inny. Dwa te fakty nie zawsze idą w parze; doświadczenie stwierdziło to tak bezspornie, że nie może tu być żadnej wątpliwości. Świadczą o tem niezliczone trudy, które codziennie idą na marne z przyczyny błędów technicznych, nieudanych spekulacyj lub poprostu nieszczęścia. Wyniki ich nie posiadają wartości. Nie mniej dobitne świadectwo dają te liczne przypadki, w których duża wartość wynika z małego trudu, jak np. zajęcie kawałka gruntu, znalezienie drogiego kamienia, odkrycie kopalni złota. Pomińmy jednak tego rodzaju przypadki, gdyż mógłby kto powiedzieć, że są to wyjątki z normalnego biegu rzeczy, ale jest to fakt niewątpliwy i zupełnie normalny, że jednakowe trudy różnych osób posiadają wielce różne wartości. Owoc miesięcznej pracy znakomitego artysty jest zazwyczaj sto razy więcej wart niż owoc również miesięcznej pracy zwykłego malarza pokojowego. Czyż byłoby to możliwe, gdyby istotnie trud był zasadą wartości, gdyby skutkiem bezpośrednich skojarzeń psychologicznych nasza ocena wartości była

oparta wyłącznie na wielkości mozołu? Kto choć trochę się zastanawia zamiast ślepo wierzyć, ten niewątpliwie przyjdzie do wniosku, że wprost nie może być mowy o oczywistości wewnętrznego związku pomiędzy trudem i wartością, jakby kazał się domyślać przytoczony urywek ze Smitha.

Ale czy ów urywek dotyczy istotnie wartości, jak się zwykle w milczeniu przyjmuje? Sądzę, że i tego nie będzie utrzymywał nikt, kogo nie oślepiło uprzedzenie. Urywek ów nie dotyczy, ani wartości wymiennej, ani wartości użytkowej, ani żadnej innej „wartości“ w znaczeniu ściśle naukowem. Smith użył tu wyrazu wartość w tem rozległym i nieokreślonym znaczeniu, w którym wyraz ten żyje w mowie potocznej. Wskazuje na to już samo użyte wyrażenie (*worth*, a nie *value*).

Jak dalece cały ten ustęp nie może rościć pretensji do ścisłości naukowej, wynika jeszcze i stąd, że w niewielu wyrazach jego znalazła się sprzeczność. Jednym tchem Smith nadaje tytuł twórcy wartości zarówno trudowi, którego można sobie zaoszczędzić dzięki posiadaniu pewnego dobra, jak i trudowi, który można zwalić na innych. Lecz każdy wie, że są to dwie wielkości wcale nie jednakowe. Praca, którąbym osobiście musiał poświęcić, aby sporządzić pożądanym przedmiot, byłaby zwykle wielokroć razy większa od pracy nad tym samym przedmiotem wyszkolonego robotnika. Któraż z tych prac ma określać prawdziwą wartość?

Krótko mówiąc, owo zdanie Smitha, wprowadzające zasadę pracy do nauki o wartości, jest bardzo dalekie od mocno ugruntowanego, zasadniczego twierdzenia wiedzy. Nia jest ono oczywiste samo przez się i nie zostało uzasadnione ani jednym wyrazem, posiada niedbałe szaty zewnętrzne i niedbałą treść sentencji wulgarnej i wreszcie pozostaje w sprzeczności samo ze sobą. Zdaniem mojem dwie okoliczności sprawiły, że znalazło ono powszechną wiarę: po pierwsze to, że wygłosił je Adam Smith, a po wtóre, że wygłosił je bez żadnego dowodu. Gdyby Adam Smith przytoczył choć słówko uzasadnienia, przemawiając do rozumu, to rozum skorzystałby ze swych praw, podstawy owego twierdzenia zostałyby zbadane, i nicość jego wyszłaby na jaw. Tego rodzaju doktryny mogą zwyciężać tylko zapomocą oszołomienia.

Jest rzeczą zadziwiającą, że z pośród następców nikt prawie nie próbował uzasadnić twierdzenia Smitha. Ludzie, którzy zorali lemiemzem nieubłaganej krytyki całą dawną naukę, dla których żadne dotychczasowe twierdzenie nie było ugruntowane dość silnie, ci sami ludzie skwitowali z wszelkiej krytyki właśnie wobec najważniejszego twier-

dzenia zasadniczego, które przejęli z dawnej nauki. Od Ricardo do Rodbertusa, od Sismondiego do Lassalla imię Adama Smitha było jedyną tarczą, którą uważano za potrzebne osłaniać twierdzenie o wartości. Z własnej inwencji dodawano jedynie wielokrotne zapewnienia, że twierdzenie jest prawdziwe, niezbite, niewątpliwe, ale nie próbowano nawet tego dowieść. Ludzie, nie uznający autorytetów, zamiast dowodu powołują się na autorytety. Tylko bardzo nieliczni wyznawcy zasady pracy stanowią wyjątek, i do tych nielicznych należy Marx.

Dowodu owej tezy można z natury rzeczy poszukiwać na dwóch drogach, empirycznej i psychologicznej. Obrawszy pierwszą, należałoby zbadać stosunki wymienne towarów, spotykane w rzeczywistości, i sprawdzić, czy pozostają one w harmonii z wyłożoną pracą. Na drugiej drodze należałoby dokonać analizy motywów psychologicznych, które kierują ludźmi z jednej strony podczas dokonywania wymiany i ustanawiania stosunków wymiennych, z drugiej podczas ich uczestnictwa w produkcji. Natura tych motywów wskazałaby na typowy sposób postępowania ludzi, i można byłoby się przekonać, czy istnieje jaki związek pomiędzy cenami żądanymi i płaconymi, a ilością pracy, potrzebną do wytworzenia towaru. Marx nie obrał żadnej z tych dróg naturalnych, a z trzeciego tomu jego dzieła dowiadujemy się rzeczy bardzo ciekawej; mianowicie wiedział on doskonale, że ani badania faktów, ani analiza psychologicznych pobudek, czynnych w „konkurencji“, nie mogą doprowadzić do wyników, przemawiających na rzecz jego tezy.

Natomiast ucieka się on do trzeciego sposobu dowodzenia, nieco dziwnego ze względu na naturę przedmiotu; obiera mianowicie drogę dowodu czysto logicznego, dedukcji dialektycznej, opartej na istocie wymiany.

Marx znalazł u starożytnego Arystotelesa myśl, że „wymiana nie może istnieć bez równości, a równość bez współmierności“. Myśl ta stała się dla Marxa punktem oparcia. Wyobraża on sobie wymianę dwóch towarów pod postacią równania i wnioskuje, że pomiędzy dwiema rzeczami, które w ten sposób zostały porównane, musi istnieć „coś wspólnego tej samej wielkości“ — następnie stara się wynaleźć to coś wspólnego.

Pragnę tu wtrącić uwagę następującą. Według Marxa w wymianie dwóch towarów ma przejawiać się ich równość: założenie to czyni na mnie wrażenie czegoś wielce nienowozYTEGO, co zresztą nie byłoby wielkiem nieszczęściem, ale także czegoś nierzeczowego, albo, mówiąc po prostu, błędnego. Gdzie panuje równość oraz dokładna równowaga, tam zazwyczaj nie zachodzą żadne zmiany położenia.

Gdy w przypadku wymiany towary zmieniają właścicieli, to fakt ten jest raczej oznaką, że zachodziła jakaś nierówność, że nie było tam równowagi, skutkiem czego musiała nastąpić zmiana. Istotnie też nowoczesna ekonomja polityczna uważa zgodnie, że dawny pogląd scholastyczno-teologiczny o „równoważności“ wymiennych towarów jest błędny. Nie chcę jednak na ten punkt kłaść dalszego nacisku i przechodzę do analizy krytycznej tych operacyj logicznych, zapomocą których Marx oddystylował pracę, jako owo coś wspólnego.

Poszukując owej rzeczy wspólnej, cechującej wartość wymienną, Marx ucieka się do procedury następującej. Czy ni on przegląd rozlicznych cech, które wogóle posiadają wymienione przedmioty, z nich przy pomocy metody eliminacji wyłącza te wszystkie, które nie wytrzymują próby, aż wreszcie pozostaje tylko jedna. Ta jedna, polegająca na tem, że owe przedmioty są produktami pracy, musi być szukana.

Procedura taka jest nieco osobliwa, lecz dopuszczalna. Byłoby naturalniej wprost wypróbować domniemaną właściwość, chociaż coprawda prowadziłoby to do jednej z dwóch wyżej wskazanych metod, których Marx świadomie unikał. Wydaje się osobliwem, że zamiast tego, Marx drogą negacji dochodzi do przekonania, że to jest właśnie cecha szukana; wszystkie inne nie są, a jedna być musi, a więc jest ta. Swoją drogą metoda taka mogłaby doprowadzić do celu, gdyby stosować ją z należytą oględnością. Trzeba byłoby baczyc bardzo skrupulatnie, aby do logicznego sita dostało się wszystko, co tylko wchodzi w rachubę, oraz aby nie popełnić omyłki przy przesiewaniu.

A jak postępuje Marx?

Z góry wrzuca on do sita tylko rzeczy, posiadające pożądaną cechę, którą pragnąłby odsiać, jako „wspólną“. Wszystkie inne pozostawia na stronie. Postępuje, jak ten, co pragnąłby, aby z urny wyszła biała kulka, i dopomaga losowi, wkładając do urny same białe kulki. W poszukiwaniu substancji wartości wymiennej Marx ogranicza z góry teren badań do samych „towarów“; pojęcia tego nie definiuje ściśle, ale w każdym razie ujmuje je ciśniej niż pojęcie „dóbr“, mianowicie ogranicza je do produktów pracy w przeciwieństwie do darów przyrody. Lecz jeżeli istotnie wymiana ma zawsze oznaczać zrównanie, uwarunkowane istnieniem czegoś „wspólnego tej samej wielkości“, to należy tego wspólnego poszukiwać we wszystkich rodzajach dóbr, jakie tylko podlegają wymianie, i powinno się ono tam znaleźć; nie tylko w wytworach pracy, ale również w darach natury, jak grunta, drzewo na pniu, spadki wodne,

pokłady węgla, kamieniołomy, źródła naftowe, kopalnie złota i t. d. Kto w tych okolicznościach pomija dobra wymienialne, lecz nie będące wytworami pracy, ten popełnia grzech śmiertelny. Przypuśćmy, że fizyk pragnie znaleźć przyczynę pewnej właściwości wspólnej wszystkim ciałom, np. ciężaru. W tym celu bada on tylko jedną kategorię ciał, np. ciała przezroczyste, czyni przegląd ich wszystkich cech wspólnych, prócz przezroczystości, dowodzi, że żadna z nich nie może być przyczyną ciężaru, i na tej zasadzie ogłasza, że przyczyną ciężaru musi być przezroczystość. Metoda taka ani odrobinę nie byłaby gorsza od metody Marxa.

Marx też nie zdradza się z tem, że zawczasu usunął z terenu badań część dóbr wymienialnych i dla czego to uczynił. Prześlizguje się on tu, jak zresztą nieraz i w innych miejscach, przez punkty drażliwe swego rozumowania z wielką zwinnością dyalektyczną. Przedewszystkiem stara się, aby czytelnik nie spostrzegł, że pojęcie jego „towar“ jest ciaśniejse od pojęcia dobra wymienialnego wogóle. Przysposabia on sobie z góry bardzo zręcznie naturalny pretekst do późniejszego ograniczenia badań; mianowicie kładzie na samym początku książki ogólnikowy frazes, napozór całkiem niewinny: „bogactwo społeczeństw, w których panuje kapitalistyczny sposób produkcji, występuje jako olbrzymi zbiór towarów“. Twierdzenie to jest zupełnie fałszywe, jeżeli wyraz towar posiada to znaczenie, które mu później nadaje Marx, t. j. jeżeli oznacza produkt pracy, gdyż dary natury łącznie z gruntami stanowią znaczną część składową bogactwa narodowego, część wcale a wcale nie obojętną. Ale nieuprzedzony czytelnik nie dostrzega tej nieścisłości, bo nie przewiduje, że w dalszym ciągu Marx nadawać będzie wyrazowi temu znaczenie ciaśniejse.

I w dalszym ciągu rzecz się jeszcze nie wyjaśnia. W początkowych ustępach pierwszego rozdziału mówi się naprzemian o „rzeczach“, o „wartościach użytkowych“, o „dobrach“ i o „towarach“, ale wyraźna granica pomiędzy ostatnimi a resztą nie zostaje przeprowadzona. Dopiero nieco dalej odbywa się poszukiwanie „czegoś wspólnego“ tylko dla „wartości wymiennej towarów“, ale ani jedno marne słówko nie wskazuje, że pole poszukiwań zostało zacieśnione do jednej tylko kategorii wymienialnych rzeczy. Wkrótce jednak po tem wszelkie ograniczenia zostają milcząco znowu usunięte, i tem samem wynik, otrzymany dla towarów w ciaśniejszym znaczeniu, zostaje rozciągnięty na rozleglejszą dziedzinę wartości użytkowych dóbr. „Wartość użytkowa czyli dobro ma tylko jedną wartość, bo jest w niej wcielona czyli zmaterjalizowana abstrakcyjna praca ludzka“.

Sztuka mogła się udać tylko w ten sposób, do jakiego uciekł się Marx, przewijając się szybko i niespostrzeżenie przez drażliwy punkt zapomocą gładkiej djalektyki. Muszę wyrazić szczerą podziw nad zręcznością, z którą Marx umiał zaprezentować tak kiepską procedurę, jako coś po-prawnego, ale swoją drogą mogę tylko zaznaczyć, iż cały ten sposób postępowania jest całkowicie fałszywy.

Ale idźmy dalej. Przy pomocy opisanego wybiegu Marx osiągnął to jedynie, że praca została dopuszczona do konkursu.¹⁾ Dopiero dzięki sztucznemu zacieśnieniu zakresu stała się ona cechą „wspólną“, naturalnie dla tego zacieśnionego zakresu, ale obok niej mogły wchodzić w rachubę jeszcze inne cechy, jako wspólne. Jakże utraciono te inne kandydatury?

Marx osiągnął to przy pomocy dwóch innych ogniw rozumowania. Każde z nich zawiera niewiele wyrazów, ale pomimo to w każdym tkwi ciężki grzech przeciwko logice.

W ogniwie pierwszym Marx wyłącza wszystkie „właściwości geometryczne, fizyczne, chemiczne i wogóle właściwości przyrodnicze towarów“. Bo „ich właściwości materialne wogóle wchodzi w rachubę tylko o tyle, o ile czynią je użytecznymi, o ile robią z nich wartości użytkowe. Z drugiej strony cechą charakterystyczną stosunku wymiennego towarów jest oczywiście abstrakcja od ich wartości użytkowych“. Gdyż w „jego (t. j. stosunku wymiennego) dziedzinie pewna wartość użytkowa znaczy tyleż, co każda inna, byleby istniała w należytej proporcji“.

Co też powiedziałby Marx o argumentacji następującej? Trzech doskonałych śpiewaków tenor, bas i baryton pobierają na pewnej scenie operowej po 20,000 reńskich. Ktoś pyta, jaka to wspólna okoliczność sprawia, że są oni zrównani pod względem pensyj, a ja odpowiadam: W sprawach wynagrodzenia pewien dobry głos tenorowy wart jest tyleż, co dobry głos basowy, albo barytonowy, byleby tylko istniał w należytej proporcji. Zatem w sprawach wynagrodzenia abstrahujemy „oczywiście“ od dobrego głosu, zatem dobry głos nie może być wspólną przyczyną wysokiej pensji.

Argumentacja taka jest fałszywa, to rzecz jasna; ale jest równie jasne, że rozumowanie marksowskie, z którego została dokładnie skopjowana, ani o włos nie jest lepsze.

¹⁾ Gdyby badaniu podlegała wartość wszelkich dóbr wymiennalnych, to praca nie mogłaby stanąć do konkursu, bo nie wszystkie dobra są produktami pracy.

W obydwóch tkwi jeden i ten sam błąd. W obydwóch pomieszano abstrakcję od specjalnych odmian, w których przejawia się pewna okoliczność, z abstrakcją od samej okoliczności. W przykładzie naszym obojętnym jest oczywiście tylko rodzaj głosu, czy będzie to tenor, bas, czy baryton, ale zaiste nie dobry głos wogóle. Zupełnie tak samo, gdy chodzi o stosunek wymienny towarów, to abstrahujemy od specjalnych odmian, które przybiera ich wartość użytkowa, od tego, czy towar może służyć do zaspokojenia głodu, czy do mieszkania, czy do ubrania i t. d., ale zaiste nie od wartości użytkowej wogóle. Że od tej ostatniej abstrahować nie wolno wynika już z tego, że nie może być wartości wymiennej, gdzie niema wartości użytkowej; sam Marx zmuszony był kilkakrotnie fakt ten uznać.

Jeszcze gorzej sprawy stoją z następsem ogniwnem rozumowania. Marx powiada dosłownie: „gdy odrzucimy wartość użytkową ciał towarowych, to pozostanie im tylko jedna właściwość wspólna, właściwość produktów pracy“. Doprawdy? Tylko ta jedna? A czy na ten przykład nie jest wspólną właściwością wszystkich dóbr wymiennalnych to, że są one rzadkie w stosunku do zapotrzebowania? Albo, że są one przedmiotami pożądania i podaży? Albo, że stanowią czyjaś własność? Albo, że są „produktami natury?“ Bo nie podobna dobitniej od Marxa wyrazić, że towary są w równym stopniu produktami natury, jak i produktami pracy; mówi on tak: „towary są połączeniem dwóch składników, materiału naturalnego i pracy“; w innem miejscu znowu cytuje słowa Patty'ego: „praca jest jego (t. j. bogactwa materialnego) ojcem, a ziemia matką“.

Dla czegoż ta zasada wartości nie ma tkwić w którejkolwiek z tych właściwości wspólnych, lecz koniecznie w tytule produktu pracy? Bo Marx nie przytoczył na rzecz pracy najmniejszego argumentu pozytywnego; jedyny jego argument ma charakter negatywny, mianowicie, że szczęśliwie wyeliminowana wartość użytkowa nie jest zasadą wartości wymiennej. Ale przecież ten sam argument negatywny w zupełnie tym samym stopniu przemawia za innymi cechami wspólnymi, przeoczonymi przez Marxa.

Ale nie dość tego! Na tej samej stronie, na której Marx wyłącza wpływ wartości użytkowej na wartość wymienną pod pozorem, że każda wartość użytkowa znaczy tyleż, co każda inna, jeżeli tylko istnieje w należytej proporcji, czytamy następującą opowieść o produktach pracy: „Ale i produkt pracy wnet przekształca się nam w rękę. Abstrahując od jego wartości użytkowej, tem samem abstrahujemy od jego składników materialnych oraz form, które czynią zeń wartość użytkową. Nie jest to już ani stół,

ani dom, ani przedza, ani żadna inna rzecz użyteczna. Wszystkie cechy jego natury zmysłowej znikają. Nie jest to już produkt pracy stolarskiej, albo pracy budowlanej, albo przedzalnicznej, lub jakiegokolwiek innej pracy wytwórczej. Wraz z użytecznym charakterem wytworów pracy znika użyteczny charakter prac, które się w nich wyraziły, znikają więc również różne postaci konkretne tych prac; już niema pomiędzy niemi różnic; wszystkie sprowadzają się do jednakowej pracy ludzkiej, do pracy abstrakcyjnie ludzkiej“.

Czyż można byłoby powiedzieć jaśniej i dobitniej, że ze względu na stosunek wymienny nietylko każda wartość użytkowa, lecz i każdy rodzaj pracy, oraz rodzaj produktu pracy znaczy tyle, co każdy inny, byleby istniał w należytej proporcji?“ Innemi słowy zupełnie ten sam stan rzeczy, na zasadzie którego Marx tylko co wydał wyrok wyłączenia na wartość użytkową, istnieje również co do pracy. Zarówno praca, jak i wartość użytkowa, posiadają stronę jakościową i ilościową. Praca w postaci pracy stolarskiej, budowlanej, czy przedzalnicznej, równie dobrze wykazuje różnice jakościowe, jak wartość użytkowa w postaci stołu, domu, lub przędzy. Wartości użytkowe różnego rodzaju dają się porównywać równie dobrze pod względem ilościowym, jak i prace różnego rodzaju. Nie da się wcale pojąć, dlaczego na podstawie jednego i tego samego stanu rzeczy jeden konkurent zostaje odpalony, a drugiemu przyznaje się pierwszą nagrodę. Gdyby Marx przypadkowo odwrócił porządek poszukiwań, to za pomocą tego samego rozumowania, które doprowadziło do wyłączenia wartości użytkowej, wyłączyłby pracę, a następnie przy pomocy tego samego rozumowania, które dało wygrane pracy, proklamowałby wartość użytkową, jako szukaną właściwość wspólną; wypadłoby wówczas, że wartość jest „galaretą wartości użytkowej“.

Przy pomocy takiej oto logiki i metodyki wprowadził Marx do swego systematu podstawowe twierdzenie o pracy, jako jedynej zasadzie wartości. Uważam za zupełnie nieprawdopodobne, aby poglądy samego Marxa wytworzyły się na zasadzie takiego dialektycznego hokus-pokus. Uważam Marxa za siłę intelektualną pierwszego rzędu. Gdyby myśliciel taki zapragnął naprzód wyrobić sobie rozumny pogląd na sprawę, gdyby zapragnął ogarnąć swobodnym i nieuprzedzonym wzrokiem prawdziwy stan rzeczy, to nigdyby nie obrał tak krętej i nienaturalnej drogi.

Sądzę, że było zupełnie inaczej. Nie wątpię, że Marx był uczciwie przekonany o słuszności swej tezy, ale podstawy

tego przekonania były zupełnie inne, niż te, które wprowadził do swego systematu. Wierzył on w swą tezę, jak fanatyk wierzy w dogmat. Niewątpliwie opanowała go ona dzięki tym mglistym, przelotnym wrażeniom, które wymykają się z pod ścisłej kontroli rozumu; już dawniej wrażenia tego rodzaju skłoniły Smitha i Ricardo do wygłoszenia podobnych idei. Marx nigdy zapewne nie zdobył się na żadną wątpliwość co do prawdziwości swego twierdzenia. Było ono dlań tak pewne, jak aksjomat, ale trzeba było je dowieść czytelnikom. Nie dawało się to uczynić na drodze doświadczalnej lub gospodarczo-psychologicznej, uciekł się zatem do spekulacji logiczno-dialektycznych, które zresztą i pozatem dogadzały kierunkowi jego umysłu; dopóty majstrował, dopóty śrubował w cierpliwym mechanizmie pojęć i przesłanek, dopóki nie przyszedł na świat oczekiwany i pożądaný rezultat w postaci niezbyt kompromitującej przynajmniej zewnątrznie.

Tak więc próba Marxa uzyskania punktu oparcia dla swej tezy na drodze dialektycznej nie udała się wcale; czy jednak nie dałoby się zdobyć tego punktu oparcia na jednej z dróg, których Marx unikał, na drodze empirycznej lub psychologicznej?

Zobaczymy w drugiej części niniejszego dzieła, że analiza motywów psychologicznych, czynnych przy wytwarzaniu wartości wymiennej, prowadzi do innych wyników; właściwie i sam Marx przyznał to w trzecim tomie. Pozostaje więc tylko próba empiryczna, próba oparta na faktach doświadczalnych. Na cóż wskazują te fakty?

Doświadczenie wskazuje, że wartość wymieniana normuje się odpowiednio do zużytej pracy tylko w części dóbr, a i to tylko przelotnie. Stosunki te są oparte na faktach powszechnie znanych, pomimo to jednak rzadko kto ocenia je należycie. Wprawdzie cały świat, nie wyłączając pisarzy socjalistycznych, uznaje zgodnie, że doświadczenie nie zupełnie stwierdza zasadę pracy, często jednak spotykamy pogląd, że w ogromnej większości wypadków rzeczywistość pozostaje w zgodzie z ową zasadą, a przypadki, stojące z nią w sprzeczności, stanowią mało znaczący wyjątek. Pogląd taki jest mylny. Aby go rozwiać raz na zawsze, zestawię tu grupami „wyjątki“, które w świecie gospodarczym idą na przekór zasadzie pracy. Wyjątki te, jak zobaczymy, przeważają tak dalece, że prawie nic nie pozostaje w obrębie reguły.

1. Należą do tych wyjątków wszelkie dobra rzadkie, których nie można reprodukować w nieograniczonych ilościach, albo i wcale, skutkiem jakiejś przeszkody rzeczowej lub prawnej. Ricardo przytacza jako przykłady posągi

i obrazy, rzadkie książki i monety, wyborowe wina, dodając, że dobra te „stanowią jedynie drobną część całej sumy dóbr, które są codziennie wymieniane na rynku“. Jednakże gdy weźmiemy pod uwagę, że do tej samej kategorii należą wszelkie rodzaje własności ziemskiej oraz liczne dobra, których produkcja zależy od patentu na wynalazek, od prawa autorskiego lub tajemnicy przemysłowej, to znajdziemy, że zakres tych wyjątków nie jest wcale tak nieznaczny.

2. Wyjątkami są wszystkie dobra, do których produkcji potrzebna jest praca kwalifikowana. W produkcji dziennym rzeźbiarza, konstruktora maszyn lub rzemieślnika wyrabiającego skrzypce mieści się nie więcej pracy niż w dziennym produkcie pospolitego rzemieślnika lub robotnika fabrycznego; pomimo to pierwszy ma wartość wymienną większą, niekiedy kilkakrotnie większą, niż drugi.

Wyznawcy teorii wartości, opartej na pracy, nie mogli naturalnie przeoczyć tego faktu, ale robią oni taką minę, jak gdyby nie było tu żadnego istotnego wyjątku, lecz jedynie drobna odmiana, mieszcząca się jeszcze w regule. Tak np. Marx bierze się na taki sposób, że rachuje pracę kwalifikowaną za wielokrotność pracy prostej. „Praca bardziej złożona, są jego słowa, znaczy tyle, co praca prosta spotęgowana, albo raczej pomnożona; tym sposobem mniejsza ilość pracy złożonej równa się większej ilości pracy prostej. Doświadczenie wskazuje, że redukcja taka odbywa się wciąż. Pewien towar może być sobie wytworem pracy złożonej, ale jego wartość stawia go na równi z produktem pracy prostej, jest więc sama pewną określoną ilością tej ostatniej“.

Jest to zaprawdę teoretyczne kuglarstwo o rozbijającej naiwności. Można sobie uważać, że dzień pracy rzeźbiarza jest pod pewnymi względami, np. co do wynagrodzenia, równy pięciu dniom kopacza rowów, ale nikt chyba nie będzie twierdził, iż 12 godzin roboczych rzeźbiarza są istotnie 60 godzinami pracy prostej. W sprawach teorii, np. w sprawie zasady wartości, nie o to przecież chodzi, jakie fikcje stwarzają sobie ludzie, lecz o to, jak się dzieje w rzeczywistości. Teoria musi uważać dzienny produkt rzeźbiarza za produkt jednego dnia roboczego, i tak już będzie i nadal. Mogą sobie ludzie tworzyć fikcje, jakie im się podoba, lecz jeżeli produkt jednego dnia roboczego jest wart tyle, co inne dobro, na które poświęcono pięć dni roboczych, to fakt ten pozostaje w sprzeczności z głoszoną regułą, według której wartość wymienna dóbr odpowiada ilości wcielonej w nich pracy ludzkiej.

Przypuśćmy, że kolej żelazna wogóle normuje taryty odpowiednio do odległości, które przejeżdżają osoby i towary,

ale wydaje rozporządzenie, że na pewnym odcinku, na którym jazda jest szczególnie kosztowna, każdy kilometr ma być rachowany za dwa kilometry. Czyż może kto twierdzić, że na tej kolei odległość jest rzeczywiście wyłączną zasadą taryfy? Oczywiście nie! Stworzono fikcję, że tak jest, ale w rzeczywistości moc obowiązująca zasady rozbija się o względy na właściwości odcinków. Tak samo zupełnie nie da się uratować teoretyczna jedność zasady pracy pomimo wszelkich sztuk logicznych.

Nie potrzeba chyba dowodzić, że i ten drugi wyjątek obejmuje znaczną część dóbr, będących w obrocie, a nawet, biorąc ściśle, należą doń prawie wszystkie dobra. Przy produkcji niemal każdego dobra wchodzi w grę przynajmniej odrobina pracy kwalifikowanej, praca wynalazcy, kierownika, przodownika i t. d.; skutkiem tego wartość dobra będzie stała nieco wyżej od poziomu, któryby odpowiadał jedynie ilości pracy.

3. Liczbę wyjątków pomnażają te, niezbyt zresztą liczne dobra, które wytwarza praca, wynagradzana nienormalnie nisko. Wiadomo, że z przyczyn, których nie mam potrzeby wyluszczać, w niektórych gałęziach produkcji robocizna może trwale stać niżej od minimum, potrzebnego do egzystencji; dzieje się tak np. w dziale żeńskiej pracy ręcznej, jak szycie, haftowanie, roboty pończosnicze i t. d. Produkty robót takich mają również nienormalnie niską wartość. Nie jest np. czems niezwykłym, że produkt trzech dni roboczych szwaczki nie sięga wartości dwudniowego produktu robotnicy fabrycznej.

Wyjątki, wymienione dotychczas, usuwają całkowicie pewne grupy dóbr z pod wpływu prawa pracy, t. j. ścieśniają zakres działania jego. W zakresie tym pozostają właściwie tylko te dobra, których reprodukcja nie podlega żadnym ograniczeniom, i które wymagają jedynie pracy prostej. Ale nawet na tym zacieśnionym obszarze panowanie prawa pracy nie jest niepodzielne; nawet tu jeszcze są w grze pewne wyjątki dalsze, osłabiające moc jego.

4. Tak więc wyjątek od zasady stanowi powszechnie znane zjawisko, że nawet te dobra, których wartość wymienna naogół pozostaje w harmonii z ilością włożonej pracy, nie zawsze wykazują tę harmonję; że skutkiem wahań podaży i popytu wartość wymienna odchyła się często to w jedną, to w drugą stronę od poziomu, odpowiadającemu wyłożonej pracy. Ten ostatni jest jedynie środkiem grawitacji, ale nie stałym punktem wartości wymiennej.

I z tym wyjątkiem socjalistyczni wyznawcy zasady pracy załatwiają się zdaniem mojem zbyt powierzchownie. Uznają go wprawdzie, lecz widzą w nim jedynie drobną

nieregularność, której istnienie nie czyni żadnej ujemy wielkiemu „prawu“ wartości wymiennej. Nie da się jednak zaprzeczyć, że każda z tych nieregularności jest przykładem tworzenia się wartości wymiennej pod działaniem innych czynników. Okoliczność ta powinna była conajmniej stać się pobudką do badań, czy nie istnieje przypadkiem ogólniejsza zasada wartości wymiennej, do której dałyby się sprowadzić w tej dziedzinie nietylko twory „regularne“, ale również i nieregularne, z punktu widzenia teorii pracy. Ale próżno byłoby szukać badań takich u teoretyków omawianego kierunku.

5. Wiadomo wreszcie, że poza temi wahaniami wartość wymienna dóbr różni się jeszcze w znacznym stopniu stale od tej, którąby odpowiadała zużytej pracy. Z dwóch dóbr, w których ucieleśniały się jednakowe ilości społecznie niezbędnej pracy, to zachowuje wyższą wartość wymienną, którego produkcja wymaga dłuższej zaliczki pracy uprzedniej. Ricardo, jak wiemy, omówił ten wyjątek szczegółowo, natomiast Rodbertus i Marx ignorują go przy wznoszeniu swych teoryj, nie kwestjonując go wyraźnie, co zresztą byłoby niemożliwe; jest to rzecz zbyt znana, że dąb stuletni, którego zasadzenie zajęło pół minuty czasu, posiada większą wartość, niżby to odpowiadało pracy sadzenia.

Reasumując to wszystko, dochodzimy do takiego wyniku: znaczna część dóbr nie podlega wcale rzekomemu „prawu“, reszta nie zawsze i wogóle niedokładnie. Oto jest materiał doświadczalny, z którym musi się rachować teoretyk w problemacie wartości. Jakiż wniosek mógłby nieuprzedzony badacz wyprowadzić z takiego materiału? Z pewnością nie ten, że początek i miara wszelkiej wartości tkwi w pracy. Wniosek taki ani o włos nie byłby lepszy od następującego: ponieważ doświadczenie wskazuje, że elektryczność powstaje nieraz skutkiem tarcia, ale często także w inny sposób, przeto proklamujemy prawo, że zawsze elektryczność pochodzi z tarcia.

Natomiast będzie zupełnie usprawiedliwiony wniosek, że nakład pracy wywiera doniosły wpływ na wartość wymienną wielu dóbr; ale nie jest to czynnik decydujący, wspólny wszystkim przejawom wartości, lecz jedynie czynnik pośredni i częściowy. Uzasadnienie wewnętrznej racji takiego wpływu nie napotka na żadne trudności, gdy tymczasem owo twierdzenie ogólne na żaden sposób uzasadnić się nie da. Może to być rzeczą wielce ciekawą i ważną zbadać dokładnie wpływ pracy na wartość dóbr i wypowiedzieć wyniki w postaci praw, ale nie trzeba zapominać, że będą to tylko prawa częściowe, które nie dotyczą istoty wartości wogóle. Następujące porównanie wyjaśni tę sprawę:

prawa, formułujące wpływ pracy na wartość wymienną są w podobnym stosunku do ogólnego prawa pracy, jak prawo: „wiatr zachodni przynosi deszcz“, do ogólnej teorii deszczu. Wiatr zachodni bywa często przyczyną pośrednią deszczu, i podobnież nakład pracy bywa często przyczyną pośrednią wartości dóbr; lecz natura deszczu równie mało polega na zachodnim wietrze, jak natura wartości na wyłożonej pracy.

Twierdzenie o pracy, jako powszechnej zasadzie wartości, niema pod sobą żadnych podstaw; poprostu wisi ono w powietrzu. I takie twierdzenie u socjalistycznych wyznawców teorii wyzysku stoi nie w jakimś niewinnym zakątku konstrukcji teoretycznej, lecz wysuwa się na czoło szeregu niesłuchanie doniosłych roszczeń praktycznych. Socjaliści wygłaszają prawo, że wartość wszelkich towarów polega na ucieleśnionym w nich czasie roboczym, a zaraz w następnej chwili napadają na te przypadki powstawania wartości, które z owym „prawem“ nie harmonizują, jak np. różnice wartościowe, które przypadają kapitaliście, jako wartość dodatkowa; ogłaszają przypadki te za „bezprawne“, „sprzeczne z naturą“, „niesprawiedliwe“ i żądają ich wyłączenia. Naprzód ignorują wyjątki, aby móc proklamować prawo wartości, jako powszechne, a gdy w ten sposób przemycili jego powszechność, to wyciągają z ukrycia wyjątki, aby je napiętnować, jako wykroczenia przeciw prawu. Procedura tego rodzaju jest zaiste nie lepsza od następującej: ktoś spostrzegł, że na świecie jest dużo ludzi głupich, ignoruje fakt, że bywają także i ludzie mądrzy, wygłasza „prawo powszechne“, że „wszyscy ludzie są głupi“, i wreszcie żąda wyłączenia mądrych, gdyż ci pozwalają sobie na „bezprawną“ egzystencję.

Sąd powyższy o prawie pracy oraz o jego uzasadnieniu, podanem przez Marxa, wypowiedziałem już w pierwszym wydaniu niniejszego dzieła 15 lat temu. Od tej pory ukazał się trzeci tom, pośmiertny, Kapitału Marxa. W kołach teoretyków wszelkich kierunków oczekiwano tego wypadku z pewnem napięciem. Ciekawem było, w jaki sposób Marx wybrnie z pewnej trudności, w którą go musiała z konieczności uwikłać nauka tomu pierwszego.

W rozdziale o Rodbertusie zwracałem uwagę na to, że prawo pracy nie da się na żaden sposób pogodzić z niewątpliwym faktem niwelacji zysków od kapitału. Tę samą trudność spotkał, rzecz prosta i Marx na swej drodze; sprawa stała tu jeszcze gorzej, gdyż właśnie ta część teorii, w której leży kamień obrazy, została sformułowana przezeń ze szczególną dobitnością.

W kapitale, którym posługuje się kapitalista do przywłaszczania sobie wartości dodatkowej, Marx rozróżnia dwie

części: część, przeznaczoną na wynajem pracy, „kapitał zmienny“, oraz część, która wychodzi na rzeczowe środki produkcji, jak surowce, narzędzia, maszyny i t. d., czyli „kapitał stały“. Ponieważ tylko praca żywa może istotnie stwarzać nowe wartości dodatkowe, przeto tylko część pierwsza kapitału może zmieniać, mianowicie powiększać, swą wartość w procesie produkcji; dlatego też nazywa ją Marx kapitałem „zmiennym“. Część ta reprodukuje swą wartość poprzednią, a ponadto wytwarza jeszcze pewien nadmiar, czyli wartość dodatkową. Wartość części drugiej, czyli wartości środków produkcji, ukazuje się z powrotem w wartości produktu w zmienionej postaci, ale w tej samej wielkości; stąd nazwa kapitał „stały“. Druga część nie może dawać żadnej wartości dodatkowej. Z tego wynika nieodzownie, że masa wartości dodatkowej, którą można otrzymać przy pomocy pewnego kapitału, pozostaje w stosunku prostym nie do całości kapitału, lecz do części zmiennej; Marx podkreśla tę konsekwencję z całym naciskiem. Z tego wynika dalej, że kapitały o jednakowej wielkości muszą wytwarzać niejednakowe ilości wartości dodatkowej, jeżeli ich skład (stosunek części zmiennej do stałej — Marx nazywa to „składem organicznym“) jest różny. Nazwijmy teraz zgodnie z Marxem stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego „stopą wartości dodatkowej“, a stosunek wartości dodatkowej do całkowitego kapitału „stopą zysku“. Otóż jest oczywiste, że przy jednakowym stopniu wyzysku, czyli przy równych stopach wartości dodatkowej, kapitały o niejednakowym składzie organicznym muszą dawać niejednakowe stopy zysku. Ale doświadczenie wskazuje, że na mocy prawa niwelacji zysków na dłuższe okresy czasu kapitały bez względu na skład przynoszą przeciętnie jednakowe stopy zysku. Powstaje tu konflikt oczywisty pomiędzy tem, co jest, a tem, co według nauki Marxa być powinno.

Istnienie tej sprzeczności nie uszło także uwagi samego Marxa. Wspomina o niej lakonicznie już w pierwszym tomie, nazywa ją „pozorną“ i zapowiada rozwiązanie w częściach dalszych. Oczekiwano długo, jak też Marx wybrnie z fatalnego dylematu, aż wreszcie ukazanie się tomu trzeciego zaspokoili ciekawość. Tom ten zawiera wyczerpującą dyskusję zagadnienia, ale, rzecz prosta, niema w tem rozwiązania; znajdujemy tam raczej stwierdzenie nieprzejednanej sprzeczności oraz zawoławane i upiększone, ale bądź co bądź niewątpliwe, odwołanie nauki tomu pierwszego.

Marx rozwija mianowicie teorię następującą. Uznaje on wyraźnie, że w rzeczywistości pod wpływem konkurencji stopy zysku kapitałów bez względu na skład organiczny

ostatnich wyrównywiają się i muszą się wyrównywać. Uznaje on dalej równie wyraźnie, że równe stopy zysku przy niejednakowym składzie organicznym kapitałów są możliwe tylko pod warunkiem, że poszczególne towary wymieniają się pomiędzy sobą nie w stosunku swych wartości, określonych na podstawie pracy, lecz w innym, odmiennym stosunku; jeżeli mianowicie w kapitale część stała przeważa (kapitał o „wyższym składzie“), to wyprodukowany towar sprzedaje się powyżej wartości, jeżeli natomiast przeważa część zmienna (kapitał o „niższym składzie“), to towar bywa sprzedawany poniżej wartości. Marx przyznaje wyraźnie, że w życiu praktycznym tak właśnie tworzą się ceny. Nazywa on „ceną produkcji“ taką cenę towaru, która prócz zwrotu robocizny oraz zużytych środków produkcji zawiera jeszcze zysk przeciętny z kapitału, uwięzionego w produkcji. „Jest to w rzeczywistości ta sama cena, którą A. Smith nazywa *natural price*, Ricardo *price of production*, a fizjokraci *prix nécessaire*, gdyż jest ona warunkiem trwałego dowozu i reprodukcji w danej dziedzinie wytwórczości“. A więc w życiu rzeczywistym towary wymieniają się nie według wartości, lecz według cen produkcji, lub, jak z wdziękiem wyraża się Marx „wartości przedzierzgają się w ceny produkcji“.

Nia da się zaprzeczyć, że te ustępstwa i ogródki trzeciego tomu pozostają w jaskrawej sprzeczności z podstawowymi naukami tomu pierwszego. W pierwszym rozwinięto przed czytelnikiem twierdzenie, jako wynikające nieodbitcie z istoty wymiany, że dwa towary, przyrównane w akcie wymiany, muszą zawierać coś wspólnego jednakowej wielkości; tem wspólnem i równem są prace, wyłożone na produkcję towarów. W tomie trzecim dowiadujemy się, że towary, przyrównane w akcie wymiany, w rzeczywistości zawierają z reguły nierówne ilości pracy, i tak być musi z konieczności. W tomie pierwszym powiedziano: „towary mogą wprawdzie być sprzedawane po cenach, różniących się od wartości, ale odchylenia te występują, jako naruszenie prawa wymiany“, teraz zaś ogłasza się, jako prawo wymiany, że towary są sprzedawane po cenach produkcji, które różnią się zasadniczo od wartości. Nie sądzę, aby kiedykolwiek koniec systematu w sposób dosadniejszy i bezwzględniejszy zadawał kłam początkowi.

Wprawdzie sam Marx nie chce uznać żadnej sprzeczności. Jeszcze i w trzecim tomie nie wyrzeka się złudzeń, że prawo wartości tomu pierwszego panuje nad prawdziwymi stosunkami wymiany dóbr, nie żałując trudu oraz wybiegów dyalektycznych, aby uratować to panowanie w jakiejkolwiek postaci. Omówilem na innem miejscu te wybiegi

i dowiodłem ich nicości ¹⁾, tu wspomnę tylko o jednym, a to z dwóch względów: po pierwsze dlatego, że na pierwszy rzut oka robi on wrażenie słusznego, powtóre, że prócz Marxa użył go jeden z najzdolniejszych teoretyków socjalistycznych generacji dzisiejszej jeszcze przed ukazaniem się trzeciego tomu. Mianowicie w r. 1880 Konrad Schmidt spróbował odbudować samodzielnie, lecz w sensie markso wskim, brakującą podówczas część systemu Marxa. Wypadło mu również, że poszczególne towary nie mogą się wymieniać w stosunku zawartych w nich ilości pracy, jak nakazuje prawo wartości Marxa. Z tego wynikło pytanie, w jaki sposób i w jakim zakresie daje się wobec tego ocalić moc obowiązująca tego prawa; Schmidt uciekł się w obronie ostatniego do argumentu, który znalazł się również w trzecim tomie Marxa.

Argument ów sprowadza się do tego, że wprowadzie poszczególne towary wymieniają się powyżej lub poniżej swej wartości, lecz odchylenia te się kompensują; tym sposobem dla ogółu wymienionych towarów suma cen zapłaconych jest znowu równa sumie wartości. Dla ogółu wszystkich gałęzi produkcji prawo wartości utrzymuje się, jako „tendencja górująca“.

Plecionka dialektyczne tego pozornego argumentu daje się rozerwać bardzo łatwo.

Jaki cel może mieć prawo wartości? Oczywiście nie inny, jak ten, aby wytłomaczyć stosunki wymienne dóbr, dostrzegane w rzeczywistości. Pragniemy np. wiedzieć, dlaczego w procesie wymiany surdut jest wart tyle, co 20 łokci płótna, albo 10 funtów herbaty tyle, co pół tonny żelaza i t. d. Sam Marx ujmował w ten sposób zadanie prawa wartości. Oczywiście może być mowa o stosunku wymienionym tylko pomiędzy towarami poszczególnymi, gdy natomiast myślimy o ogóle towarów, to z konieczności abstrahujemy od stosunków, zachodzących wewnątrz takiego zbiorowiska. Naturalnie różnice względne cen kompensują się w sumie. O ile herbata jest więcej warta od żelaza, o tyle właśnie żelazo jest mniej warte od herbaty i naodwrot. W każdym razie nie jest to odpowiedź na pytanie. Zapytujemy o stosunek wymienny dóbr w gospodarce społecznej, a nas częstują sumą cen, które osiągają wszystkie dobra, razem wzięte. Zupełnie tak, jakbyśmy pytali, o ile minut i sekund zwycięzca na wyścigach uprzedził u mety swych współzawodników, a nam odpowiedziano, że wszyscy współzawodnicy razem zużyli 25 minut 13 sekund!

¹⁾ Zum Abschluss des Marxschen Systems, Berlin, 1896.

Otóż sprawa stoi, jak następuje. Na pytanie, dotyczące problematu wartości, marksiści odpowiadają naprzód swem prawem, według którego towary wymieniają się w stosunku wyłożonych prac; następnie, chyłkiem lub otwarcie, odwołują tę odpowiedź dla wymiany pomiędzy towarami poszczególnymi, czyli właśnie dla tej dziedziny, w której pytanie ma jakiś sens, a utrzymują ją w całej czystości dla ogółu produkcji narodowej, t. j. dla dziedziny, w której pytanie jest bezprzedmiotowe¹⁾ i nie może być wcale stawiane. Fakty zadają kłam „prawu wartości“, jeżeli ma ono być odpowiedzią na pytanie właściwe, a w jedynem zastosowaniu, w którym nie można mu zadać kłamu, nie jest ono wcale odpowiedzią na pytanie, o które chodziło; w najlepszym razie możnaby je uważać za odpowiedź na jakieś pytanie inne.

Ale nie jest ono nawet odpowiedzią na pytanie inne; nie jest to wcale żadna odpowiedź, lecz prosta tautologia. Gdy uchylimy zaciemniające osłony obrotu pieniężnego, to stanie się oczywiste, że towary ostatecznie znowu wymieniają się na towary. Wie o tem każdy ekonomista. Każdy towar, podlegający wymianie, jest jednocześnie towarem i ceną tego, na co się wymienia. Z tego wynika, że suma towarów jest to zupełnie to samo, co suma cen, za nie zapłaconych. Innemi słowy cena całej produkcji narodowej jest nie czem innem, jak tylko tą samą produkcją narodową. W tych warunkach nie da się zaprzeczyć, że suma cen, zapłaconych za całość produkcji, kryje się dokładnie z sumą wartości lub sumą pracy, w produkcji tej skryształizowanej, ale taka tautologiczna sentencja nie stanowi żadnego wzbogacenia istotnej wiedzy; nie można jej również uważać za dowód słuszności rzekomego prawa, że dobra wymieniają się w stosunku ucieleśnionej w nich pracy.¹⁾

1) Wywody autora w tej sprawie nie są całkowicie jasne, może więc nie będzie zbyt cenna ilustracja następująca. W hali targowej zgromadzono pewną ilość towarów, należących do różnych właścicieli. Przypuśćmy, że na każdej sztuce towaru jest naklejona etykieta, na której wypisano, ile „społecznie niezbędnego“ czasu zajęła jej produkcja, czyli marksowska wartość sztuki. Zsumowaliśmy te wszystkie wartości, i przypuśćmy, że wypadło 1000 godzin. Taka jest „wartość“ ogółu towarów, zgromadzonych w hali. Teraz zaczyna się wymiana, przyczem właściciele nie zwracają najmniejszej uwagi na wartości, czyli na liczby, stojące na etykietach. Tak więc np. towar o wartości 5 (godzin) wymienia się na towar o wartości 3, towar o wartości 1 na towar o wartości 2 i t. d. Dajmy jeszcze na to, że podczas całej czynności drzwi hali są zamknięte, nikt nic nie wnosi i nic nie wynosi. Wreszcie proces wymiany dobiegł do kresu. Każdy właściciel pozbył się swego towaru, a nabył to, co mu było potrzebne do

własnego użytku. W hali istnieją te same przedmioty, co poprzednio, ale byłoby niesłusznie uważać je teraz za towary, bo nie są już do sprzedania; możemy je raczej uważać za ceny, które otrzymali poprzedni właściciele za swe towary, albo które zapłacili nowonabywcy. Suma liczb, wypisanych na etykietach, jest i teraz równa 1000, bo poszczególne sztuki zmieniły jedynie właścicieli i może leżą w innych miejscach. K. Schmidt i Marx uważają tę liczbę za cenę ogółu towarów, twierdzą, w danych warunkach całkiem słusznie, że cena ogółu towarów jest równa sumie „wartości“, i widzą w tem działanie markowskiego „prawa wartości“. Rzecz prosta, jest to tylko miłe złudzenie. Fakt powyższy niema nic do czynienia z żadnem prawem wartości, ani prawem wymiany. Wynika on bezpośrednio z tej głębokiej prawdy, że tysiąc jest to poprostu tysiąc. Ni mniej ani więcej!

Przypisek tłumacza.

Wydawnictwa „Ligi Pracy“

Warszawa, Czackiego 3/5, tel. 319-03.

„**Od czego zależy bogactwo narodów**“, napisał Zygmunt Straszewicz. Wydanie 3-cie, 1922. Cena 20 mk.

„**Świętować czy pracować?**“, napisał Bolesław Prus 1922. Cena 40 mk.

„**Zasady organizacji naukowej zakładów przemysłowych**“, napisał F. W. Taylor, przełożył Henryk Mierzejewski, z przedmową Aleksandra Rotherta. Wydanie 2-gie, 1922. Cena 400 mk.

„**Najważniejsze zadanie szkoły**“, napisał Zygmunt Straszewicz, wydanie 3-cie, 1922. Cena 30 mk.

„**Hygiena pracy**“, napisał Dr. Władysław Chodecki, 1920 rok. Cena 20 mk.

„**O strajkach**“, wydanie 3-cie 1922. Cena 60 mk.

Plakat: „Mała wydajność pracy, strajki podcinają produkcję krajową, wzmacniają wrogów“. Cena 50 mk.

„**Kultura Polska w niebezpieczeństwie**“ (przyczynek do badań epidemii strajkowej), 1920. Wyczerpane.

„**Państwo Polskie w niebezpieczeństwie**“. Wyd. 2-e. Cena 40 mk.

„**Bolszewizm i socjalizm**“, 1922. Cena 20 mk.

„**Rola przemysłu w niepodległej Polsce**“, przemówienie profesora Zygmunta Straszewicza na uroczystości rozpoczęcia roku akademickiego 1920/1921 w Politechnice Warszawskiej, 1921. Cena 40 mk.

„**Jak niezmiernie biedniejemy**“, napisał Piotr Drzewiecki, 1922. Cena 40 mk.

„**Ciekawe kartki**“. Krótkie artykuły. 1922. Cena 1 kartki 10 mk.
Dotychczas wyszły: „Historja o szczęśliwej wyspie czyli nieróbstwo“, „Socjalizm a dobro narodu“, „Postęp i bolszewizm“, „Bolszewicy w Rosji“, „Czerezwyczajka“, „Bolszewizm na Węgrzech“, „O demokracji i bolszewizmie“, „Przyjaciele ludu“ (cena 40 mk).

W druku:

„**Płaca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika**“, przez S. K. Drewnowskiego, inż.-technologa. Wyd. 2-gie.

„**Jaki system płacy stosować w dzisiejszych warunkach?**“, napisał Al. Rothert. Wyd. 2-gie.

„**Gospodarka bolszewicka w Rosji**“, napisał inżynier Feliks Borowski.

WYDAWNICTWO „LIGI PRACY“

BOLSZEWIZM ≡ ≡ I SOCJALIZM



WARSZAWA

WYDRUKOWANO W Drukarni J. ULASIEWICZA
MARSZAŁKOWSKA № 49

1922

WYDAWNICTWA „LIGI PRACY“

WARSZAWA, CZACKIEGO 3/5

Zygmunt Straszewicz.	„Od czego zależy bogactwo narodów“.	Wydanie 3-cie. 1922. Cena	20 mk.
„	„	„Najważniejsze zadanie szkoły“.	
		Wydanie 3-cie. 1922. Cena . .	30 „
Dr. Władysław Chodecki.	„Hygiena pracy“.	1920. Cena	20 „
	„O strajkach“.	Wydanie 2-gie. 1921. Cena . . .	50 „
	„Kultura polska w niebezpieczeństwie“ (przyczynek do badań epidemii strajkowej).	1920. Cena . . .	20 „
Eugenjusz v. Böhm-Bawerk.	„Teoria wyzysku“ (Rodbertus i Marx).	Przełożył z niemieckiego Zygmunt Straszewicz. Wydanie 2-gie. 1920. Cena	60 „
S. K. Drewnowski, inż. technolog.	„Płaca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika“.	1919. Cena	30 „
Aleksander Rothert.	„Jaki system płacy stosować w dzisiejszych warunkach“.	1921. Cena	100 „
	„Państwo Polskie w niebezpieczeństwie“ (list otwarty do posłów sejmowych i członków rządu Rzeczypospolitej Polskiej).	1921. Cena	20 „

Wydawnictwa z zapomogi „Ligi Pracy“

Zygmunt Straszewicz.	„Rola przemysłu w niepodległej Polsce“.	Przemówienie na uroczystości rozpoczęcia roku akad. 1920/21 w Politechnice Warszawskiej. 1921. Cena	40 mk.
-----------------------------	--	---	--------

W przygotowaniu:

F. W. Taylor.	„Zasady organizacji naukowej zakładów przemysłowych“.	Tłom. prof. H. Mierzejewski. Wyd. 2-gie.	
	„Socjalizm a dobro narodu“.		

Wielu ludzi sądzi, że bolszewizm jest to coś całkiem odrębnego od socjalizmu. Pogląd taki jest najzupełniej błędny. Wskazuje na to już sama nazwa bolszewickiego państwa, która w urzędowym tłumaczeniu Komisarjatu Polskiego w Moskwie brzmi: *Socjalistyczna Federacyjna Sowiecka Republika Rosyjska*.

Nazwa „bolszewicy“, czyli „większościowcy“, przylgnęła do partji przypadkowo i niema żadnego związku z treścią programu; pochodzi ona stąd, że na kongresie socjalistycznym w Brukseli w r. 1903 partja ta należała do większości.

Bolszewicy są socjalistami i wyraz bolszewizm jest synonimem socjalizmu. Nie można byłoby wyrzucić Leniniowi lub Trockiemu dotkliwszej obelgi, jak odinawiając im miana socjalistów. Szczycą się oni tem, że są prawowiernymi marksistami. Socjaliści innych partyj, mieńszewicy, socjalni demokraci niemieccy i t. d. są w ich oczach odszczepieńcami i heretykami. Lenin, doskonały znawca pism Marxa i Engelsa, udowadnia to z wielką erudycją i talentem.

Socjalistyczni przeciwnicy bolszewików zarzucają im różne nieprzyjemne rzeczy i w polemice nie krępują się bynajmniej względami aryjskiej, czy burżujskiej delikatności i obiektywności, lecz pomimo to nawet nie próbują wyłączać ich z socjalistycznego kościoła. Zresztą niesnaski między bolszewikami a innemi sektami socjalistycznymi, są to sprawy wewnętrzne socjalizmu; wobec wrogów zewnętrznych, np. wobec Polski, socjalizm międzynarodowy występuje z rzadką jednomyślnością po stronie bolszewików.

Trudno od nas oczekiwać szczególnych sympatyj do bolszewizmu, pomimo to jednak nie powinniśmy zamykać oczu na to, co jest w nim dobrego. Otóż patrząc na sprawę z całkowitą bezstronnością, przyznać musimy, że pod pewnym względem bolszewicy wcale a wcale nie tracą na

porównaniu z innymi gatunkami socjalistów. Dla tych innych ideały socjalistyczne ogromnie zbladły od czasów Marxa, a rewolucja socjalna, której oczekiwano dawniej z dnia na dzień, odsunęła się gdzieś w nieokreślone głębie przyszłości.

Gdy niegdyś proponowano Apuchtinowi awans do senatu, to ten luminarz odrzekł:

— W niebie jest jeszcze lepiej niż w senacie, a swoją drogą nikt się tam tak bardzo nie śpieszy.

Większość socjalistów mniej więcej tak się zapatruje na ustroj socjalistyczny lub kolektywistyczny, jak Apuchtin na senat; wynoszą pod niebiosy rozkosze tego ustroju, ale wcale się doń nie śpieszą. W głębi duszy woleliby do końca życia spożywać dary kapitalistycznego piekła.

Na zachodzie Europy, a także i u nas wśród warstw inteligentnych tylko podlotki i szóstoklasiści marzą jeszcze o tym cichym raj, w którym „każdy będzie pracował według sił, a otrzymywał według potrzeb“. Działacze dorośli widzą zwykle w fantasmagorji socjalistycznej jedynie środek agitacji, jedynie sposób pozyskania robotników. Chodzi nie o żadne ustroje kolektywistyczne, lecz o zdobycie wpływów i władzy w starym podłym świecie.

Że tak jest a nie inaczej, świadczy między innymi historia reformy rolnej w Polsce. Można mieć różne poglądy na następstwa gospodarcze i polityczne tej reformy, ale jedna rzecz nie ulega wątpliwości. Klasa właścicieli ziemskich, dużych czy małych, będzie zawsze broniła ustroju opartego na własności indywidualnej, będzie zawsze przeciwna wszelkim eksperymentom społecznym, któreby naruszały, lub nawet kwestjonowały jej stan posiadania. Jeżeli więc reforma się uda, jeżeli istotnie stworzy nowe zastępy posiadaczy ziemi, to oddali nas ona od ustroju kolektywistycznego. To jest tak jasne, jak dzień boży! Największa arogancja, najwykrętniejsza sofistyka nie zgładzą tej prawdy ze świata. Ale socjaliści gwiznęli na ustroj kolektywistyczny i wszelkimi siłami parli do reformy, bo chodziło im nie o urzeczywistnienie ideałów socjalistycznych, lecz o kupienie sobie wpływu wśród mas bezrolnych.

Trzeba przyznać, że stosunek bolszewików do głoszonych zasad jest szczerzy i uczciwszy. Niema wątpliwości, że brali oni ideały socjalistyczne na serjo, a gdy doszli do władzy, to starali się wcielić je w życie, jak umieli i mogli.

Przeciwnicy socjalistyczni bolszewików stawiają im ciężkie zarzuty, że pograżyli proletarijat rosyjski w takiej nędzy, jakiej nie zaznał on nigdy w kapitalistycznym piekle,

że zamiast wolności, dali krajowi niewolę gorszą od carskiej, zarzucają im okrucieństwo, niesłychaną nietolerancję i t. d.

Trudno przeczyć, że zarzuty te są oparte na faktach prawdziwych, że olbrzymia próba wprowadzenia w życie zasad kolektywizmu przyniosła Rosji zamiast zapowiadanego raju niesłychane klęski i cierpienia, że etyka i kultura bolszewików oznaczają cofnięcie się do czasów barbarzyństwa. Wszystko to jest prawda, ale swoją drogą zarzuty powyższe w ustach socjalistów są niesłuszne. Trzeba brać w rachubę, że bolszewicy rosyjscy wykazali w swej działalności ogromną energję, pomysłowość i konsekwencję, a jeżeli ich eksperyment się nie udał, to winę tego w małym tylko stopniu przypisywać należy popełnionym przez nich błędom. Zasadnicze przyczyny niepowodzenia tkwią w doktrynie, która była ich gwiazdą przewodnią, doktrynie wspólnej wszystkim odłamom socjalizmu. Każde inne stronnictwo socjalistyczne zrobiłoby takie samo fiasko, gdyby, posiadając władzę, zapragnęło na serjo wprowadzić w życie socjalistyczne ideały. Inny obrót sprawy jest nie do pomyślenia. bo socjalizm jest silny tylko w negacji, lecz nie posiada sił twórczych.

Socjalizm, zdobywając wyznawców, apeluje do najgorszych stron natury ludzkiej, do zawiści, mściwości, egoizmu, lenistwa. Główną dźwignią jego jest rozżarzanie nienawiści ubogich do bogatych. Taktyka tego rodzaju daje mu ważne korzyści w walce z istniejącym porządkiem rzeczy, a zwłaszcza pod dwoma względami jest znakomita: popierwsze do złych instynktów tłumu jest bez porównania łatwiej trafić, niż do jego uczuć szlachetniejszych, powtórze instynkty takie stanowią wyborną podstawę organizacji bojowej, przeznaczonej do burzenia starego świata.

Ale praca pozytywna, praca twórcza, wymaga zupełnie czego innego; potrzebne są do niej właśnie uczucia szlachetniejsze, które głuszy propaganda socjalistyczna, a owe złe instynkty nie mają tu żadnej wartości. Dynamit daje się użyć tylko do burzenia, ale jest nieprzydatny na budowie. Dlatego też, gdy dawna budowa społeczna zostanie zburzona, to odrazu wychodzi na jaw, że zastępy socjalistyczne, zupełnie taksamo bolszewickie, jak i niebolszewickie, nie nadają się wcale do tworzenia nowego ładu społecznego i przedsięwzięcie ich jest z góry skazane na tragiczną klęskę.

Ale i pozatem plany socjalistów są niewykonalne. Opierają się one na błędnych założeniach ekonomicznych, jak np. teoria wartości dodatkowej albo nadwartości Marxa. Tę

nadwartość zabierają dzisiaj wyzyskiwacze kapitalistyczni, gdy według logiki i sprawiedliwości powinna ona przypadać całkowicie robotnikom. To jest według nauki socjalistycznej główną przyczyną niedoli klas pracujących i naprawienie tej krzywdy jest najpierwszym celem reformy socjalistycznej. Socjaliści oddadzą nadwartość w całości robotnikom i w ten sposób stworzą stan ogólnej pomyślności, ulecą największą ranę, która zatruwa dziś cały organizm społeczny.

Jest to zasadniczy punkt programu ogółu wyznawców socjalizmu, zarówno bolszewików, jak i ich konkurentów; około niego obraca się, jak około bieguna cały światopogląd socjalistyczny. Ale niestety, teoria Marxa rozleciała się, jak domek z kart pod tchnieniem krytyki naukowej*). Owa nadwartość istnieje tylko w bujnej wyobraźni socjalistów i przewrót, głoszony przez socjalistycznych proroków, może dać robotnikom jedynie urojone korzyści. Zagłoba podarował królowi szwedzkiemu Niderlandy, podarował to, co do niego nie należało, ale bądź co bądź przedmiotem darowizny było coś realnego, coś istniejącego na świecie. Socjaliści są dowcipniejsi od pana Zagłoby. Ofiarowują oni robotnikom krainę płynącą mlekiem i miodem, ale nie istniejącą nawet na księżycu.

Byłoby to jeszcze pół biedy, gdyby przewrót socjalistyczny przyniósł ten jeden zawód, gdyby tylko przyobiecane złote góry rozwiały się pod zimnym podmuchem rzeczywistości. Ale niestety, nowy ład społeczny, skrojony według recepty socjalistycznej, musi przynieść straty i to straty olbrzymie zarówno proletariatu, jak i całemu społeczeństwu. Tak się stało w Rosji i tak byłoby w każdym innym kraju, bo socjalistyczne porządki są ogromnym cofnięciem się wstecz w stosunku do tego, co już osiągnęła ludzkość w naturalnym procesie rozwojowym.

Linja rozwojowa ludzkości szła dotychczas w kierunku coraz pełniejszej wolności jednostki ludzkiej. Były w tym procesie liczne załamania i zboczenia, lecz wogóle od czasów starożytnych aż po dni nasze człowiek wyzwalał się stopniowo z więzów, w których trzymały go organizacje polityczne, zawodowe i religijne. Ze zdobytej wolności robił on na ogół dobry użytek. Wszędzie i zawsze z rozwojem wolności łączy się postęp kulturalny, umysłowy i moralny, wszędzie i zawsze za skrzepowaniem wolności idzie, jak cień,

*) Klasyczna krytyka Böhm-Bawerka istnieje w tłumaczeniu polskim pod tyt. „Teoria wyzysku“.

upadek ogólny. Praca ludzka tem bogatsze daje plony, im rozleglejsze pole działania leży przed inicjatywą i przedsiębiorczością jednostki, im w pracowniku większą rolę odgrywają pobudki wewnętrzne w stosunku do przymusu zewnętrznego.

Socjaliści wszelkich odcieni uważają wolność ekonomiczną nowożytnego świata za coś wielce zdrożnego, pragnęliby oni zastąpić ją jakąś sztuczną organizacją i kontrolą biurokratyczną, innemi słowy, pragnęliby na miejsce swobodnej działalności jednostki wprowadzić przymus. Z lekkim sercem wyrzucają za płot najcenniejszą zdobycz cywilizacji nowożytnej, t. j. wolność człowieka. Gospodarcze następstwa takiej reformy muszą być oplakane, bo wielowiekowe doświadczenie stwierdziło nieodbitcie, że tylko wolność jest twórcza i wydajna, a przymus jest zawsze bezpłodny.

To jest główna przyczyna ruiny gospodarczej bolszewickiego państwa i do tego samego doprowadziłaby gospodarka każdej innej partii socjalistycznej.

Tyrania bolszewików nie jest również ich właściwością wyłączną. Inne sekty socjalistyczne nie byłyby wcale lepsze, gdyby dostały w ręce władzę i zapragnęły istotnie wprowadzić w życie swe ideały. Socjalizm uważa za największego wroga, za potwora, którego pragnie zgładzić ze świata, własność indywidualną. Lecz instytucja własności ma głębokie i mocne korzenie w naturze ludzkiej. Nie można je wyrwać bez użycia gwałtu, bez zastosowania środków bezwzględnych i okrutnych. Okrucieństwa czerezwyczajek są wynikiem logicznym doktryny socjalistycznej, a nie specjalnej krwiożerczości dzisiejszych władców Rosji.

A czyż pod względem nietolerancji bolszewicy obawiają się porównania z socjalistami innych zawołań? Kto ma pod tym względem wątpliwości, to niechaj przejrzy literaturę socjalistyczną, książki, broszury, pisma, poczynając od koranu socjalistycznej wiary, t. j. „Kapitału“ Marxa. Wówczas zrozumie, jakie to piękne uczucia zdobią duszę socjalistycznego działacza. Nie tak prawowierny muzułmanin gardzi psem niewiernym, lub chasyd gojem, jak wyznawca socjalizmu burzujem i każdym, kto nie należy do socjalistycznego kościoła. Dla socjalisty człowiek, wyznający odmienne poglądy, jest zawsze niegodziwcem, który się zaprzedał kapitalistom i nie zasługuje na żadne względy. Tolerancja przekonanych byłaby względem takiego heretyka występłą słabością. Czyż można oczekiwać, aby ludzie, których uczucia i myśli urabiały się w atmosferze takiej

nienawiści i sekciarstwa, byli po zdobyciu władzy tolerancyjni względem swych przeciwników ideowych?

Rewolucja bolszewicka pogrążyła Rosję w odmętach nędzy, ale swoją drogą jest ona olbrzymim eksperymentem społecznym i przez długie lata będzie dla badaczyw zjawisk społecznych niewyczerpaną kopalnią cennych materiałów i dziś już możemy wyciągnąć z niej naukę o pierwszorzędnjej doniosłości praktycznej.

Obecny ustrój społeczny nie jest doskonały, wiele jest w nim nędzy i niesprawiedliwości. Wprawdzie postęp ku lepszemu jest niewątpliwy, a nawet w ostatnich wiekach był on bardzo szybki, ale nigdy ludzkość nie dojdzie do stanu doskonałości, bo stan taki na tym padole płaczu jest nieosiągalny. Otóż mizerji ziemskiej socjaliści przeciwstawiali zwycięzko rozkosze swego ustroju i mogli to czynić, bo ustrój ten istniał tylko w wyobraźni, a wyobrażenia zawsze przelicytuje szarą rzeczywistość. Dziś wiemy już, jak wygląda raj socjalistyczny w rzeczywistości, bo został on właśnie zrealizowany w Rosji i eksperyment ten dowiódł w sposób niesłychanie dobitny, że ustrój, którym socjaliści chcą świat uszczęśliwić, nie jest wcale krokiem naprzód na drodze postępu; odwrotnie jest to cofnięcie się o kilka stuleci wstecz.

WYDAWNICTWO »LIGI PRACY«

ROLA PRZEMYSŁU W NIEPODLEGŁEJ POLSCE

PRZEMÓWIENIE

PROFESORA ZYGMUNTA STRASZEWICZA
NA UROCZYSTOŚCI ROZPOCZĘCIA ROKU AKADEMICKIEGO

1920/21

W POLITECHNICE WARSZAWSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA

DRUK J. ULASIEWICZA, WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 49.

1923



Gdy dawnemi czasy historyk kreślił obraz dziejów, to prawie wyłącznie wypełniał jego kontury sprawami politycznemi. Historycy nowożytni odtwarzają wszechstronniej opisywane epoki, a więc obok wypadków politycznych malują obyczaje, literaturę i wogóle prądy umysłowe, kwestje społeczne i wreszcie stosunki ekonomiczne. Ale i taki obraz nie jest jeszcze kompletny. Brak w nim pewnego pierwiastka, który zdaniem mojem odgrywa zasadniczą rolę w dziejach rozwoju ludzkości, mianowicie pomija się zazwyczaj milczeniem stan techniki oraz jej postępy.

Nie jest rzeczą pewną, jak dawno po raz pierwszy ukazała się na ziemi istota, należąca bezspornie do rodzaju ludzkiego; prawdopodobnie nie dałoby się również z całą ścisłością określić tych cech, które zapewniły jej nieograniczony postęp i ów szereg zwycięstw w walce z naturą z których najwspanialsze przypadają właśnie na nasze czasy, ale wśród tych cech napewno jedna polegała na tem, że ten pierwotny człowiek posługiwał się w pracy narzędziami. Cecha ta wyodrębniła go w sposób zasadniczy z pośród innych istot pokrewnych, bo żadne zwierzę nie używa narzędzi. Pierwsze narzędzie było czemś wielce prostem: był to może drążek, używany jako dźwignia, albo ciężki kamień, spełniający rolę młota, albo może kamień z ostrem obrzeżem, zastępujący w pewnych razach nóż, ale człowiek, posiadwszy to pierwsze niedołączne narzędzie, wszedł właśnie na drogę nieograniczonego postępu, bo narzędzie może być doskonałone nieograniczenie. W tem pierwszym narzędziu tkwiły w zarodku wszystkie dalsze udoskonalenia techniczne, oraz cały rozwój duchowy ludzkości.

Z początku postęp był wielce powolny. Wyraźne różnice zarysowywały się dopiero po setkach, a może tysiącach lat, lecz w miarę tego mozolnego doskonalenia narzędzi oraz metod pracy człowiek zyskiwał coraz większą prze-

wagę nad otaczającą naturą, życie jego stawało się coraz bogatsze w treść, potężniały jego siły duchowe, różniczkowały się stosunki społeczne. Dotychczas zostały bliżej poznane tylko ostatnie etapy tego niezmiernie długiego pochodu pierwotnego człowieka, etapy, leżące już prawie na granicy czasów historycznych. Dzieje tę nauka podzieliła na pewne okresy lub epoki, jak epoka kamienna, gdy człowiek posługiwał się głównie narzędziami kamiennymi, epoka bronzowa, gdy weszły w życie wyroby z brązu, epoka żelazna, gdy rozpowszechniły się narzędzia żelazne. Już w samych tych nazwach nauka może mimowolnie stwierdziła tę prawdę, że stan techniki określa całokształt kultury epoki, że postęp techniczny jest jakby kością pacierzową postępu ogólnego.

Taki pogląd narzuca się umysłowi, gdy chodzi o czasy przedhistoryczne, których obraz badacz odtwarza z wykopanych szczątków dawnej kultury, z narzędzi, naczyń, broni, ozdób i t. d. Sprawa zmienia się całkowicie, gdy wkraczamy w progi epoki historycznej, gdy głównymi źródłami dziejów stają się dokumenty pisane. Od tej chwili na front sceny dziejowej występują królowie, wodzowie, kapłani, prawodawcy. Odtąd słyszymy głównie o zwycięstwach i klęskach, o walkach religijnych, o przewrotach społecznych. Sprawy techniczne schodzą na plan dalszy, i wydaje się, że nie odgrywają już one tej roli, co poprzednio.

Ale to jest tylko złudzenie. Kulturze technicznej po dawnemu przypada rola kierownicza. Jeżeli w społeczeństwie zaszła jakaś głębsza i trwalsza zmiana, to po dokładnej analizie na samem dnie związków przyczynowych natrafimy zawsze na jakąś ewolucję natury technicznej na jakieś ważne udoskonalenie w metodach pracy lub na jakiś wynalazek o doniosłym znaczeniu życiowym.

Możnaby ilustrować tę prawdę licznymi przykładami. Pomyślmy tylko, jak wielkie przewroty w społeczeństwach ludzkich wywołał proch strzelniczy, busola magnetyczna, prasa drukarska; ale najdosadniejsze ilustracje mamy w czasach nowszych, gdy postępy techniki bez porównania potężniejsze, niż kiedykolwiek przedtem.

Gdy czytamy opisy życia ludów europejskich z przed stu lat, to wydaje się, że są to obrazy fantastyczne, tak ogromnie różnił się świat ówczesny od dzisiejszego: inne pojęcia, inne upodobania, inne obyczaje, stosunki społeczne i polityczne. Gdyby zmartwychwstał człowiek z początku XIX wieku i zaczął rozglądać się w dzisiejszym świecie, to by mu się wydało, że jest na innej planecie. Musiałby on

bardzo uważnie badać otaczające życie, aby pod nawarstwieniami ostatniego stulecia dostrzec zręby znanych sobie rzeczy i pojęć.

Nikt chyba nie wątpi, że najpierwotniejszą, najistotniejszą przyczyną tych wielkich zmian były postępy techniczne: para, elektryczność, udoskonalenia mechanizmu, wzrost technologii chemicznej, postęp rolniczy. Byłoby to płonnem przedsięwzięciem pragnąć nawet pobieżnie opisać, jak ściśle zazębiała się ta ewolucja techniczna z całokształtem rozwoju społeczeństw europejskich w ostatnim stuleciu. Sprawa jest zbyt rozległa i zawiła. Zwrócę uwagę jedynie na pewien szczegół.

Wyobraźmy sobie stotysięczne miasto europejskie w początkach XIX wieku. Łączy się ono z resztą świata za pośrednictwem kilku lub kilkunastu gościńców, najczęściej zbudowanych w sposób nader pierwotny, niedbale utrzymanych, pełnych wyboi, błota i kurzu. Po takim gościńcu wloką się leniwo w dużych odstępach skrzypiące wozy z towarami, co parę dni jedzie dziwnych kształtów dylizans z podróżnymi, parę razy na tydzień podąża bryczka pocztowa, wioząca listy i gazety. Takie połączenie ze światem było oczywiście nader wątle. Skutkiem tego mieszkańcy owego miasta mało wiedzieli, co się dzieje poza obrębem ich murów, i mało się o to troszczyli. Zajmowały ich głównie sprawy lokalne, a poczucie łączności z ogółem narodu było słabe. Istniał wprawdzie patryjotyzm lokalny, nieraz nawet bardzo gorący, ale do poziomu patryjotyzmu ogólnonarodowego wzbijały się tylko nieliczne duchy.

Dziś z takiego miasta rozchodzi się we wszystkie strony kilkanaście linii kolejowych, a po każdej co godzina lub częściej przebiega z wielką szybkością pociąg, wiozący ogromne ilości towarów, setki podróżnych, stopy listów i druków. Jednocześnie gęsta sieć drutów telegraficznych i telefonicznych przynosi co chwila najświeższe wieści ze wszystkich zakątków kraju. Oczywiście dziś połączenie owego miasta ze światem zewnętrznym jest bez porównania ścisłejsze niż dawniej. Stanowi ono jakby komórkę wielce rozwiniętego organizmu, w którym każde podrażnienie rozchodzi się z ogromną szybkością, wywołując natychmiastową reakcję w całym ustroju. Nie dziw wobec tego, że horyzont umysłowy mieszkańców jest rozległy, że obejmuje on całokształt spraw narodowych, i że patryjotyzm ogólnonarodowy sięga daleko głębiej niż dawniej.

Rzecz jasna, że taka zmiana musiała wywrzeć doniosły wpływ na oblicze polityczne świata. Gdy dawniej głównymi

sprężynami w grze politycznej były interesy dynastyczne, ambicje monarchów, przeciwieństwa religijne, to dziś na pierwszym planie stoją dążenia narodowościowe. Od chwili, gdy zapadła zasłona po ostatnim akcie dramatu napoleońskiego, aż do wybuchu wojny wszechświatowej upłynęło prawie sto lat, i najważniejszymi wydarzeniami politycznymi tego stulecia były zjednoczenie Włoch i zjednoczenie Niemiec. I jedno i drugie można uważać za bezpośrednie następstwo zacieśnienia więzi narodowościowej, do którego znowu głównie przyczyniło się udoskonalenie komunikacji, przyczyniła się ta cicha działalność pracownika technicznego, która najczęściej nie znajduje miejsca w ogólnym obrazie dziejów.

I to jest naturalny bieg rzeczy. W warsztatach pracy technicznej rodziły się i rodzą najbardziej zasadnicze elementy rozwojowe, jak również elementy potęgi i dobrobytu. Te kraje są wolne i szczęśliwe, gdzie kwitnie przemysł, gdzie technika jest potężnie rozwinięta. Powinniśmy to dobrze uświadomić sobie, stojąc na progu niepodległego bytu, powinniśmy nie zapominać ani na chwilę, że rozległe uprzemysłowienie kraju jest jednym z najistotniejszych warunków zachowania niepodległości.

Oprócz tych względów natury ogólnej są jeszcze względy inne bardziej bezpośrednie, bardziej uchwytnie. Jest dziś rzeczą dla każdego oczywistą, że musimy posiadać liczną i dobrze zaopatrzoną armję. Może kiedyś za lat dwadzieścia lub trzydzieści stosunki ulegną zmianom zasadniczym; może wówczas dostateczną gwarancją wolności narodu będzie majestat prawa, dziś powinniśmy być każdej chwili gotowi do odparcia siłą zamachu wrogów.

Jest również oczywistem, że ta armja musi mieć źródła swego zaopatrzenia tu nad Wisłą, że zwłaszcza z krajowych warsztatów musi czerpać broń i amunicję. Losy narodu nie powinny przecież zależeć od tego, czy kolejarze niemieccy lub czescy zechcą przepuścić pociągi amunicyjne, a nawet od tego, czy państwa zaprzyjaźnione na czas pociągi te wysła. Musimy stworzyć potężny przemysł wojenny, gdyż jest on niezbędną częścią składową obrony kraju przed najazdem. Lecz przemysł wojenny nie może istnieć w odosobnieniu. On utrzyma się i rozkwitnie tylko przy ogólnem uprzemysłowieniu kraju, w związku z innemi działami zwłaszcza z przemysłem metalowym i chemicznym. Tylko wśród bujnego ruchu technicznego i przemysłowego przemysł wojenny może stać na wysokości zadania i nie będzie dla kraju ciężarem.

Jeżeli zgodzimy się na postulaty powyższe, to narzuca się pytanie, jakie drogi prowadzą do wcielenia ich w życie. Zgóry można przewidzieć, jaką odpowiedź dałby na to obecnie głos ogółu. Całe zadanie, całą troskę zwałonoby zlekkiem sercem na władze państwowe. Powiedzianoby, że rząd powinien opiekować się przemysłem i techniką, powinien je popierać, troszczyć się o nie i t. d. Polska tak długo należała do trzech państw, w których kult państwowości rozrósł się potwornie, w których państwo uchodziło za istotę wszechmocną i wszechmądrą, która może działać cuda, gdy tylko zapragnie. I my zaraziliśmy się temi wyobrażeniami i nie odrzuciliśmy ich wraz z kajdanami niewoli. Ogół wkłada na władze państwowe najrozmaitsze zadania i obowiązki, których one spełnić nie są w stanie, a następnie dąsa się i gniewa, gdy oczekiwania jego doznają zawodu.

Państwo jest to organizacja, mająca pewne specjalne zadania i cele, a gdy tylko wykroczy poza swą naturalną sferę działalności, to zawsze samo doznaje uszczerbku i wyrządza szkodę krajowi. Tak np. państwo nie powinno wtrącać się do wierzeń religijnych swych obywateli, a ile razy próbowało to czynić, to zawsze następstwa były opłakane. Państwo nie może stworzyć sztuki, bo sztuka to jest roślina, która rośnie tylko na swobodzie, na wolnem powietrzu, a usycha w atmosferze przepisów, regulaminów, nakazów i zakazów. Toż samo dotyczy nauki, techniki oraz innych przejawów myśli ludzkiej, toż samo, jakkolwiek w mniejszym może stopniu, dotyczy przemysłu, rolnictwa i handlu.

Z pośród sposobów bezpośrednich, których używa państwo do popierania przemysłu, najlepiej wypróbowanym i najczęściej stosowanym jest protekcja celna, czyli cła ochronne. Gdybyśmy jednak bliżej przyjrżeli się temu najlepszemu środkowi, to łatwo przyszlibyśmy do przekonania, że wartość jego jest co najmniej wątpliwa. Już okoliczność następująca musi wzbudzić podejrzenie: jest wiele krajów na świecie, cieszących się silną protekcją celną, a w których przemysł zaledwo wegetuje albo, i wcale nie wegetuje; z drugiej strony jest państwo, mianowicie Anglja, która nie ma ceł protekcyjnych, a kroczy na czele postępu przemysłowego świata. Z tego już wynika nieodbitcie, że cła protekcyjne nie są ani wystarczającym ani koniecznym warunkiem rozwoju przemysłu.

Wątpliwości te wzrosłyby jeszcze, gdybyśmy poszli po radę do nauki ekonomicznej. Okazałoby się wówczas, że można przy pomocy ceł odpowiednio unormowanych poprzeć pewne poszczególne rodzaje przemysłu kosztem innych,

ale popierać za pomocą protekcji celnej wszystkie gałęzie wytwórczości krajowej jest równie trudno, jak zbudować perpetuum mobile.

Z uwag powyższych nie wynika jednak wcale, aby państwo nie mogło wywierać dodatniego wpływu na technikę i przemysł. Odwrotnie, wpływ ten może być doniosły, ale tylko pośredni. Przedewszystkiem państwo stwarza warunki, niezbędne do życia kulturalnego wogóle, a więc i do rowoju przemysłu. Ono utrzymuje bezpieczeństwo, porządek prawny, ład społeczny. To jedno już stanowi ogromnie doniosłe zadanie, wymagające od władz państwowych wielkich wysiłków i umiejętności. Powtóre w Polsce państwo podjęło się różnych innych zadań, które muszą być należycie spełnione, aby przemysł mógł rozwijać się i istnieć.

Wśród tych zadań na pierwszym miejscu postawiłbym zadanie oświatowe, i nikt chyba nie wątpi, że wysoki poziom oświaty jest jedynym z zasadniczych warunków uprzemysłowienia. Obowiązki rządu są tu tem większe i trudniejsze, że pod względem oświaty kraj nasz jest wielce zacofany, i trzeba dopiero doganiać kraje zachodnie. Ale z drugiej strony jest coś, co rządowi ogromnie ułatwi owo zadanie. Mam na myśli to żywiołowe dążenie do oświaty, które ogarnęło wszystkie warstwy naszego narodu. Dążenie to należy do najpomyślniejszych objawów naszych czasów, stanowi ono samo przez się niezawodną gwarancję jasnej przyszłości. Potrzeba tylko je skierować na właściwe tory, aby wysiłki narodu nie szły na marne, lecz przyniosły bujne plony. Jest to sprawa ogromnie ważna, bo łatwo zbłądzić na manowce.

Społeczeństwo nasze pozostaje pod dużym wpływem sąsiadów, a zwłaszcza Niemców, a jeszcze bardziej Austrii, która nawet po zgonie narzuca nam swe idee i urządzenia, utrzymuje nas wciąż w ideowych więzach. Naturalnie, budując nasze szkolnictwo, musimy korzystać z doświadczeń innych narodów, ale należy strzec się ślepego naśladownictwa.

Wyobraźmy sobie, że zbudowano nową fabrykę. Budowa dostała się w ręce dzielnego fachowca, i fabryka zaraz po wykończeniu stanowiła ostatni wyraz techniki. Ale upłynęło kilka lat. W ciągu tego czasu zmieniły się na świecie pod pewnemi względami metody pracy, udoskonalono w pewnych szczegółach maszyny i urządzenia. Już teraz nie można powiedzieć, że fabryka jest ostatnim wyrazem techniki. Została już ona nieco w tyle za postępem i musi się z tem godzić, bo nie sposób przecież wyrzucać maszyn, które są jeszcze w zupełnie dobrym stanie, ale gdyby ten sam czło-

wiek budował teraz podobną fabrykę, to już zbudowałby ją inaczej. Za lat kilkanaście fabryka będzie już zupełnie przestarzała, i zarząd stanie przed pytaniem, czy nie byłoby korzystnem przebudować ją z gruntu, i tak też się nieraz na świecie dzieje.

Instytucje polityczne i społeczne starzeją się tak samo, jak fabryki. W każdym kraju najbardziej nawet postępowym, znaczna część urządzeń państwowych jest przestarzała; przynajmniej pod niektórymi względami nie odpowiadają już one zmienionym potrzebom społecznym oraz współczesnemu poziomowi wiedzy. Z tym stanem rzeczy kraj godzi się z konieczności, bo zbyt częste zmiany przyniosłyby więcej szkody niż pożytku. Zresztą na przeszkodzie do reformy stoją zazwyczaj nawyki ludzkie, przywiązane do dawnych form i zwyczajów, lenistwo umysłowe, jednym słowem to, co nazywamy konserwatyzmem.

Dotyczy to wszelkich urządzeń ludzkich, ale w największej mierze dotyczy szkoły, bo szkoła jest najkonserwatywniejszą instytucją na świecie. Trzyma się ona z ogromnym uporem utartego trybu nawet wówczas, gdy zmieniały się już całkiem warunki, i gdy dawne programy i metody straciły wszelką rację bytu.

Dlatego też w chwili obecnej, gdy szkolnictwo polskie się przebudowuje, musimy baczyć bardzo pilnie, aby nie zaopiecznić od sąsiadów takich rzeczy, które już się przeżyły. Dotyczy to zwłaszcza szkolnictwa średniego, które oddawna nie odpowiada potrzebom nowożytnego społeczeństwa, które straciło z oczu cele praktyczne i błądzi w próżni, nie mogąc dotrzeć do twardego gruntu.

Gdybyśmy np. zapytali do jakich rodzajów pracy przysposabia swych uczniów ogół szkół, czyli tak zwane szkoły ogólno-kształcące, toby nam odpowiedziano, że szkoły te przygotowują do wszystkich zawodów. Odpowiedź taka nie zadowoli żadnego człowieka, który poza wyrazami dopatruje się rzeczy realnych. Szkoła, przygotowująca dobrze do wszelkich zawodów, byłaby czemś cudownem, czemś, czego nie było i nie będzie na świecie. Bliższą prawdy byłaby odpowiedź, że szkoła ogólno-kształcąca nie przygotowuje do żadnego rodzaju pracy, do żadnego zawodu z wyjątkiem może pracy kancelaryjnej, czyli zawodu biuralisty. Kierunek taki odpowiadał zapewne nienajgorzej potrzebom społecznym sto lat temu, ale czasy się zmieniły, i dziś jest on rażącym anachronizmem. Dziś w warstwie wykształconej ogromną przewagę mają pracownicy produkcyjni, rolnicy, technicy, przemysłowcy, kupcy; od nich przedewszystkiem zależą losy

kraju, jego dobrobyt i potęgę. Z tym prostym faktem powinna liczyć się szkoła, jej celem głównym musi stać się kształcenie tych właściwości ludzkich, które są potrzebne w zawodach produkcyjnych, jak również rozwijanie zamiłowania do tych rodzajów pracy.

Niema wątpliwości, że szkolnictwo nasze wkroczy ostatecznie na tę drogę. Do tego popychają nas nowe idee, płynące z zachodu, do tego zmusza samo życie. Wywrze to doniosły wpływ na wszelkie rodzaje wytwórczości, a zwłaszcza na przemysł, bo zawody przemysłowo-techniczne wymagają dziś szczególnie dużej sumy wiedzy i dobrego przygotowania.

W rękach państwa znalazły się u nas jeszcze różne funkcje czysto gospodarcze, funkcje tak ważne, że od nich zależy samo istnienie przemysłu, ale jest już dziś oczywiste, że państwo, podejmując się tych funkcji, wyszło daleko poza swą naturalną sferę działania. Ujemne następstwa tego faktu coraz bardziej rzucają się w oczy, i prawdopodobnie wkrótce nastąpi w tym względzie radykalna zmiana; rola gospodarcza państwa zostanie znacznie zredukowana.

Jeżeli państwo trzyma się właściwych granic, to działalność jego tworzy tylko ramy, w których ma powstawać życie przemysłowe. Siłą poruszającą jest co innego. Przemysł stwarzają ludzie niezależni, ich przedsiębiorczość, inteligencja, pracowitość, i tych właściwości nie zastąpią żadne prawa, żadne urzędy ani instytucje państwowe, nie zastąpią ich również bogactwa naturalne ani pomyślnie konjunktury. Jest to prawda oczywista, można powiedzieć banalna, a jednak ludzie bardzo często się z nią nie liczą. Dzielni pracownicy nawet w niezbyt pomyślnych warunkach stworzą przemysł, dobrobyt i potęgę, niedołęgom nie pomoże żadna opieka i poparcie.

Powinniśmy o tem pamiętać zawsze, a zwłaszcza dobrze jest uświadomić sobie tę prawdę dziś na progu nowego roku akademickiego, bo w murach naszych kształcą się umysły i charaktery ludzkie, kształcą się przyszli pracownicy na polu techniki i przemysłu, tworzy się główna siła poruszająca życia przemysłowego. Dzieje się tu coś bardzo ważnego, można powiedzieć bez przesady, że w pewnym stopniu wykuwa się tu przyszłość narodu.

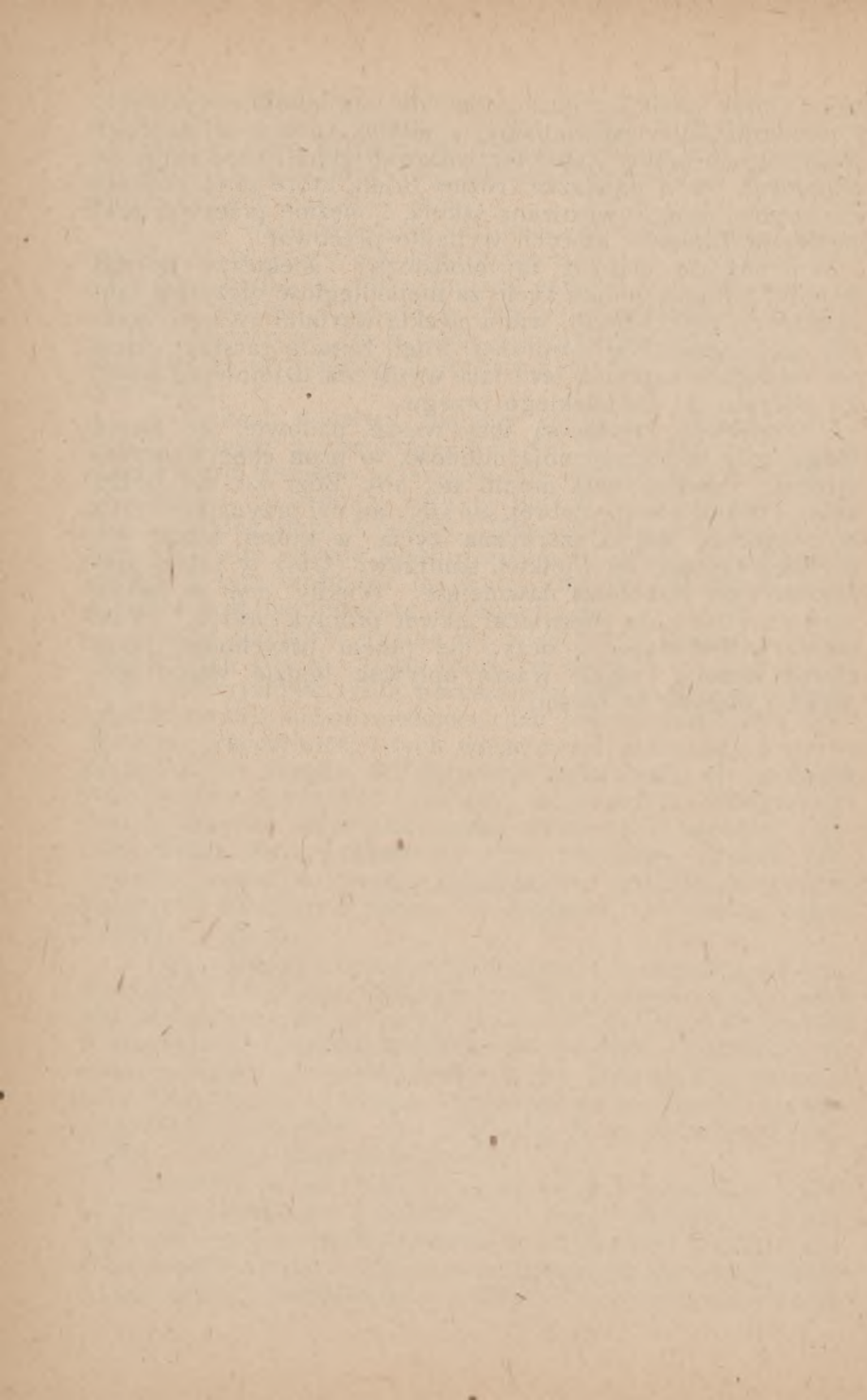
Niestety praca nasza rwie się wciąż i psuje. Raz po raz nadlatuje nawałnica i zamienia w ruinę budowanie nasze. Pięć lat temu, w chwili powstania politechniki polskiej, sześciuset pięćdziesięciu słuchaczy utworzyło pierwszy zastęp naszej drużyny akademickiej. Wśród nich było niemało ta-

kich, którzy mieli już poza sobą całe lata studjów wyższych. Dotychczas mile wspominamy, z jakim zapałem ta młodzież wzięła się do pracy. Zapał ten rokował jaknajlepsze nadzieje, okupował on z nawiązką różne braki, które mieć musiała na prędce zaimprovizowana szkoła, i mężnie przewycięzał ciężkie warunki, w których wypadło pracować.

I cóż się stało z tą młodzieżą? Niektórzy polegli w boju, oddając młode życie za niepodległość ojczyzny, inni zniechęcili się i odeszli, wielu ciężkie warunki życiowe zmusiły do cofnięcia się z obranej drogi. Została garstka; płyną oni odważnie naprzód, lecz fala wydarzeń dziejowych wciąż ich odrzuca od niedalekiego brzegu.

Zaprawdę, ciężkie są losy wasze, panowie, ale swoją drogą, gdy wspomnę moją młodość, to mam chęć wam zazdrościć. Pewien poeta modlił się, aby Bóg dał mu dobrą dołę, a jeżeli nie da dobrej, to aby mu dał przynajmniej złą, bo najgorsza jest ta szarzyzna życia, w której niema ani wielkich radości ani wielkich smutków. Otóż w takiej szarzyźnie żyły pokolenia dawniejsze. Wiedły one w mroku niewoli, której nie rozświecał nawet promyk nadziei. Wam nieraz wichur dmie w oczy, ale potem przychodzi jasne chwile wesela, i życie wasze upływać będzie wśród słonecznej pogody wolności.







HISTORJA O SZCZĘŚLIWEJ WYSPIE,

CZYLI

NIERÓBSTWO

JEST daleko, daleko na oceanie wyspa, zwana Szczęśliwą. Na tej wyspie mieszka naród spokojny, trzeźwy i pracowity, a panuje tam król, który nie myśli o tem, jakby napaść na sąsiada i zabrać mu kawał kraju, bo w sąsiedztwie niema żadnych krajów, lecz zato troszczy się o pomyślność swych poddanych.

Pewnego razu król ten się dowiedział, że w jego państwie czeladnicy w mieście, a także parobcy na wsi zarabiają mało, a są i tacy, którzy nieraz chodzą bez roboty i przymierają głodem. Wieść ta strapiła nie na żarty dobrego monarchę, zwołał więc zaraz swych radców, senatorów i innych dygnitarzy, aby poradzili, co czynić w takowej potrzebie. Jedni mówili tak, inni owak, ale najlepiej podobą się królowi rada Jeneralnego Dyrektora Czwartego Departamentu Świeżego Powietrza.

— Zło stąd pochodzi — prawil ten światły mąż stanu — że na naszej sławnej wyspie naród za mało obchodzi świąt, bo wszystkiego 52 niedziele. Dlatego też dla wszystkich nie wystarcza roboty. Niechaj nasz wspaniałomyślny monarcha ustanowi jeszcze ze 25 dni świątecznych, a wszystko

ułoży się jaknajlepiej. Rzemieślnik, mając mniej czasu roboczego, nie będzie mógł podolać obstalunkom, więc przyjmie więcej czeladników, rolnik nie będzie w stanie uprawić porządnie gruntu i najmie więcej parobków. Tym sposobem wszyscy znajdą zatrudnienie, a jak nie będzie wolnych rąk na rynku pracy, to podniosą się i zarobki.

Usłyszawszy rzecz taką, król natychmiast obdarzył owego dyrektora za dobrą radę orderem ptasiej główki, który to order jest na Wyspie Szczęśliwej najwyższy ze wszystkich. Kto go posiada, ten ma prawo trzy razy rocznie przychodzić do króla bez spodni.

Zaraz też wyszło prawo, ustanawiające 25 nowych dni świątecznych, a mianowicie: urodziny króla, imieniny tegoż, rocznicę wstąpienia na tron, rocznicę zgładzenia straszego smoka, który z tysiąc lat temu trapił Szczęśliwą Wyspę, a żywił się przeważnie młodemi dziewczętami i różne inne. Pomiędzy temi uroczystościami była rozumie się rocznica wydania owej znakomitej ustawy o zwiększeniu liczby świąt, która miała Szczęśliwą Wyspę uczynić jeszcze szczęśliwszą.

Na przekraczających ustawę ustanowiono surowe kary. Każdy, ktoby się ośmielił pracować w święto, miał być skazany na infamję oraz na ucięcie głowy.

Tę, tak doniosłą reformę, obchodzono na całej wyspie nader uroczyscie. Urządzano piękne pochody z chorągwiami, galowe przedstawienia w teatrach, ognie sztuczne i t. d.

Skończyły się te uciechy i ludzie zabrali się z powrotem do codziennych zajęć. Przyszedł do tkacza, wyrabiającego płótno, czeladnik tkacki, poszukujący roboty i mówi:

— Majsterku, przyjmijcie mnie do roboty.

— Abo co? — pyta tkacz.

— Jakto co? Musicie teraz świętować 25 dni prócz niedziel, to z tymi dwoma czeladnikami, którzy teraz u was pracują, nie wyrobicie tyle płótna co dawniej. Chcąc tyle zarobić, co dotychczas, musicie mię przyjąć.

Tkacz zażył tabaki, zastanowił się porządnie i mówi tak:

— A jak ty myślisz, dlaczego ja dotychczas trzymałem tylko dwóch czeladników, a nie trzech? Rozumiesz chyba, że, mając trzech i dawniej zarabiałbym kawał więcej.

— Abo ja wiem, dla czego.

— To ja ci powiem. Ja mam tylko trzy warsztaty; na jednym robię sam, a na dwóch robią czeladnicy. Gdybym przyjął trzeciego, tobym nie miał dla niego roboty.

— To kupcie czwarty warsztat.

— Widzicie go, jaki mądrała! A skąd wziąć na to pieniądze? A jakbym nawet jakimś cudem wytrzasnął czwarty warsztat, to nie miałbym go gdzie tu postawić, i nie byłoby za co kupić do niego przędzy. Musisz, bratku, poczekać, aż ja się dorobię, to kupię czwarty warsztat, wynajmę większy lokal, i wystarczy mi na więcej materiału.

Jak do chłopą, który sam uprawiał dotychczas swój kawałek gruntu, przyszedł człowiek najmować się na parobka, to chłop podrapał się w głowę i prawi tak:

— Święta to święta, ale gdzie ja tu ciebie ulokuję, kiedy chałupa ciasna, i ledwo starczy miejsca dla mnie i dla familji. I co jabym ci dał do roboty? Ja mam tylko jedną parę koników, jedną sochę, jedną bronę i wszystkich innych narzędzi gospodarskich tylko tyle, co na jednego. Jak się dorobię, to wystawię większą chałupę, dokupię jeszcze choćby jedną szkapę i trochę narzędzi. Wtedy i owszem przychodź.

To samo mniej więcej powiedział szewc, stolarz, krawiec, cieśla i t. d. Koniec końców ani jeden bezrobotny nie znalazł zajęcia. Ale tkacze, pracując o 25 dni mniej, wyrabiali mniej płótna, a jak było mniej płótna, to ludzie zaczęli się gorzej odziewać. Również rolnicy, pracując krócej, gorzej uprawiali ziemię, mniej zbierali wszelkich plonów i mniej produkowali mięsa, jaj i mleka. A jak było na wyspie mniej wszelkiej żywności, to już ci ludzie musieli nędzniej się żywić.

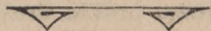
I tak było ze wszystkim. Wszystkiego było mniej niż dawniej, i zamiast spodziewanych dostatków z tego świętowania wynikła większa bieda. Najwięcej, rzecz prosta, stracili ludzie biedni, bo gdy zamożny musiał tylko wyrzec się pewnych rzeczy nie zawsze koniecznych, to ubogi przymierał głodem.

Z początku tkacz, chłop i inni mieli nadzieję, że się dorobią i wówczas przyjmą więcej pracowników, ale to było

pisane widłami na wodzie. Ceny wprowadzie poszły w górę więc tkacz brał więcej za łokieć płótna, ale za to sprzedawał tych łokci mniej, a do tego musiał drożej płacić za buty, odzienie, chleb, mięso i wszystkie inne rzeczy. Nie tylko nic nie mógł odłożyć, ale jeszcze musiał bardzo rachować się z groszem, aby wyżyć. Toż samo przytrafiło się chłopu i różnym innym.

Trwało to tak rok, drugi i trzeci, aż nareszcie cały naród zrozumiał, że cała ta sławna reforma psu na budę się nie zdała. Podniosło się powszechne szemranie, aż wreszcie sam król dowiedział się o wszystkim, a że był to monarcha mądry i sprawiedliwy, więc zaraz skasował ową głupią ustawę, a komisarzowi od świeżego powietrza kazał na najparadniejszym placu stolicy wyliczyć 25 kijów w pięty. Bo ci wyspiarze są przekonani, że, jak kto jest głupi, to mu rozum uciekł w pięty, i trzeba mu go stamtąd kijem przepędzić do głowy.

W Polsce mamy prócz niedziel około dwudziestu dni świątecznych. Papież Pius X, rozumiejąc, jak źle takie świętowanie odbija się na dostatku ludności, rozkazał przeszło dziesięć lat temu zmniejszyć tę liczbę do siedmiu najważniejszych. Dawniej sprzeciwiał się temu rząd rosyjski, bo mu wcale o dobro ludu nie chodziło, a teraz sprzeciwiają się różni posłowie sejmowi. Sądzą oni, jak ów dygnitarz, co to dostał order ptasiej główki, że nieróbstwo przyniesie ludowi pomyślność. Gdyby ci panowie żyli na Szczęśliwej Wyspie, to kto wie, jakby to tam było z ich piętami.





Socjalizm a dobro narodu

Wojna, doprowadzona przez technikę współczesną do najwyższego napięcia, zakończyła się kataklizmem wewnętrznym państw pokonanych. Ogólne rozgoryczenie ludności tych państw, upadek ich rządów i rozstrój życia ekonomicznego, dotyczący też warstwy pracujące, wysunęły na pierwszy plan zagadnienia antagonizmów klasowych, które stały się tam aktualnymi ponad wszystko, gdyż na ewolucyjne rozwiązanie tych zagadnień warstwy pracujące oczekiwać nie chcą, dążąc do spiesznego rozwiązania problemu drogą nagłego przewrotu.

Jakkolwiek dla Polski wojna, która zdruzgotała jej sąsiadów, zakończyła się pomyślnie, to jednak niepomyślny stan ekonomiczny kraju i niedostateczne wyżywienie ludności przez czas dłuższy, spowodowały, że i u nas sprawa reform socjalnych pod wpływem prądów z państw pokonanych, znalazła się na porządku dziennym.

W tych warunkach należy rozważyć sprawę tych reform ze stanowiska interesów narodu, jako całości.

Współczesny naród środkowej Europy o gęstym zaludnieniu, o glebie średniej urodzajności i bez nadmiaru bogactw naturalnych, jak Polska, której produkcja rolna nie

wystarcza na należyte wyżywienie całej ludności — o tyle tylko żyć i rozwijać się może w dobrobycie, o ile dzięki wysokiej wytwórczości w rolnictwie, przemyśle, komunikacji i t. p. zyska drogą wymiany międzynarodowej brakujące produkty i surowce. Im więcej naród wyprodukuje, tem w większym dobrobycie i w wyższej kulturze żyć będziemy. Wydajność pracy więc jest jednym z najważniejszych czynników pomyślnego bytu narodu i całej jego ludności.

Tymczasem zwolennicy dotychczas niewypróbowanych reform socjalnych, któremi chcą natychmiast obdarzyć nasz naród, nie rozważają sprawy tych reform ze stanowiska zwiększenia wytwórczości narodu, a jedynie ze stanowiska zmiany formy prawnej posiadania i sposobu zarządu dóbr wytwórczych, uważając, iż poprawa nastąpi, gdy dobra te w całości lub w części wywłaszczona będą z rąk prywatnych i gdy do zarządu powołane będą warstwy pracujące.

Dla ogółu zaś ludności sprawą najważniejszą i decydującą o jego pomyślnym bycie jest zagadnienie, czy ilość produktów wytworzonych w państwie, na roli i w przemyśle, dosięgła maximum i czy cena wytworów jest niska, gdyż od tych czynników zależy dobrobyt ogólny i kultura. Forma zaś prawnego posiadania i sposób zarządu są w porównaniu z zagadnieniem wydajności, zagadnieniami drugorzędnymi. Wobec zasadniczego zagadnienia wydajności, maleją pytania: czy właściciel roli jest kierownikiem prac rolnych, a włościanie bezrolni jego robotnikami, lub też odwrotnie, czy właściciel fabryki jest jej dyrektorem, a pracownicy wykonawcami, lub też odwrotnie; zarówno maleje pytanie czyją własnością prawną pozostają dobra wytwórcze.

Jeżeli skutek reform socjalnych wytwórczość ogólna podniesioną by była, wtedy reformy te stałyby się istotnym dobrodziejstwem dla narodu, ale jeżeli wytwórczość ta się obniży, wtedy reformy doprowadzą ludność do ruiny, zamiast do poprawy. To ostatnie zjawisko widzimy już jako skutek reform socjalnych w Rosji. Stałe obniżanie się tam wytwórczości, powstały stąd brak przedmiotów najpierwszej potrzeby i niesłychana drożyzna zaprzeczają całkowicie idei poprawy ustroju społecznego.

Pozatem porównanie, z doby ubiegłej, wydajności i wytwórczości zakładów i urzędzeń prywatnych wobec państwowych, a nawet municypalnych nie przemawia za systemem socjalizacji źródeł i środków produkcji, gdyż ten pod względem wydajności pracy, daje ujemne rezultaty. Reformy socjalne oparte na upaństwowieniu lub municypalizacji, zmniejszają wydajność narodu. Jedynie w koniecznych wypadkach może mieć miejsce upaństwowienie, pomimo zmniejszonej wydajności.

Jako dowód potrzeby reform socjalnych lub upaństwowienia, pomimo mniejszej wówczas wydajności pracy, podawaną jest konieczność usunięcia antagonizmów klasowych pomiędzy warstwami pracującymi, a posiadającymi, w tem przekonaniu, że antagonizmy te znikną, gdy forma prawna dzisiejszego posiadania ulegnie zmianie, a do zarządu powołane będą warstwy pracujące.

Oczekiwania te nie są uzasadnione, właściwie bowiem antagonizmy nie istnieją pomiędzy warstwami pracującymi i posiadającymi, a jedynie pomiędzy pracownikami i kierownictwem.

Dowodem tego są strajki, często bardzo ostre, w instytucjach miejskich i państwowych jak koleje, gdzie niema właściciela i pracownika, a wszyscy są pracownikami, nie wyłączając najwyższego urzędnika; dowodem są też zatargi takie nawet w instytucjach współdzielczych, gdzie wszyscy kierownicy wybierani są przez ogół, a wreszcie dowodem tego są usiłowania strajkowe nawet w komunie Bolszewji.

Gdy kierownictwo instytucji państwowej lub publicznej żąda od pracowników należytej wydajności pracy, co w najwyższym stopniu leży w interesie ogółu ludności, wtedy powstają antagonizmy podobnie jak w interesie prywatnym, a gdy dla uniknięcia zatargów o wydajności pracy nie stawia się wymagań, zgodnych z potrzebami ogółu ludności, wtedy interesy tej ludności narażone są na szwank.

Socjalizacja więc dóbr wytwórczych obniża wydajność i nie usuwa antagonizmów.

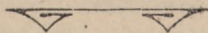
Polska nie dorównała w ostatnim stuleciu państwom przodującym wskutek swej niskiej wydajności pracy, socja-

lizacja więc dóbr wytwórczych w Polsce nietylko nie daje rękojmi poprawy, a prowadzi do obniżenia stanowiska Polski i do uzależnienia jej od państw sąsiednich o wyższej wydajności pracy.

Błędna droga, po której pragną prowadzić społeczeństwo nasze zwolennicy doktryny socjalnej, powinna być oceniona należycie przez ogół, mający dobro całego narodu na widoku.

Właściwą drogą poprawy i podniesienia narodu naszego jest stosowanie tych reform, które zabezpieczają i poprawiają byt warstw pracujących i podnoszą jednocześnie wytwórczość narodu i jego kulturę.

Wzory nowatorskie, stosowane obecnie na wschodzie, gdzie reformy socjalne swoją wartość całkowicie wykazały, obniżyły wytwórczość ogólną do kresu graniczącego z zamorzeniem ludności i spowodowały jej wyniszczenie większe, niż to uczyniła straszna wojna.





Ciekawe kartki

POSTĘP I BOLSZEWIZM

Kilkaset lat temu ludzie żyli w Europie zupełnie inaczej niż dzisiaj. Nawet w takich miastach, jak Paryż lub Londyn, domy, przeważnie kryte słomą, nie miały kominów, a dym wychodził przez otwór w dachu lub ścianie. Ponieważ wyrób desek był bardzo trudny, więc najczęściej podłogę zastępowało klepisko z gliny, a na tem leżała warstwa słomy, jak w stajni. Ludzie sypiali pokotem na tej słomie, bo łóżka były zbytkiem, na który tylko bogaci mogli sobie pozwolić. Również bielizna była zbytkiem, dostępnym tylko dla bogaczów. Gdy księżniczka wychodziła za mąż, to otrzymywała na wyprawę dwie koszule. Ludzie zwykli, nawet zamożni, chodzili zimą i latem w kożuchach, włożonych na nagie ciało.

Zaludnienie było wówczas wiele razy mniejsze, niż dzisiaj, pomimo to ludność żywiła się nad wyraz nędźnie. Co roku na przednówku był głód, a co kilka, co kilkanaście lat rok nieurodzajny; wówczas ludzie puchli z głodu i marli, jak muchy. Nieraz całe wsie wymierały doszczętnie. Straszna klęską były choroby zaraźliwe, zwłaszcza dżuma, zwana wówczas morową zarazą, morowem powietrzem, albo wprost morem. Pod strasznem tchnieniem moru wyludniały się całe okolice, a resztki przerażonej ludności tułały się po lasach

pospołu z dzikiem zwierzem. W miastach trupy walały się po ulicach, bo już nie było komu ich grzebać.

Powszechnie sądzono wówczas, że człowiek może pracować tylko pod przymusem, dlatego też ogół ludności zwłaszcza wiejskiej, żył w poddaństwie, a panowie zmuszali swych poddanych kańczukiem i dybami. Nawet wolny człowiek, gdy szedł do służby, to stawał się niemal niewolnikiem. Nie wolno mu było w żadnym razie zrywać umowy najmu przed terminem, a pracodawca miał prawo karać go cieleśnie.

Sądzono również, że ludzie mogą być uczciwi tylko pod grozą kary, dla tego też kary ówczesne były niesłychanie surowe i okrutne. Najmniejsze miasteczko posiadało szubienicę stałą i ludność często miała sposobność oglądać wisielca, bujającego na wietrze. Za cięższe zbrodnie ćwiartowano końmi, łamano kołem, palono na stosie. Były i lżejsze kary, jak ucięcie jednej ręki, wyrwanie nozdrzy lub języka, piętnowanie gorącym żelazem, wreszcie chłosta. Podejrzanych o jakie przestępstwo torturowano, żądając przyznania i wydania współników. Nieraz zupełnie niewinny człowiek przyznawał się na mękach do zarzucanej zbrodni. Wielu ludzi męczono i tracono za zbrodnie urojone, jak gusła, czary, herezje. Z drugiej strony człowiek można mógł bezkarnie krzywdzić ubogiego i nie było na to ratunku ni obrony.

Ogół narodu żył w owych czasach w nędzy brudzie, niewoli i ciągłej trwodze.

Każdy przyzna, że dzisiaj jest dużo, dużo lepiej na świecie. Wprawdzie i obecnie nie wszystko dzieje się tak, jak być powinno. Jest jeszcze nie mało nędzy i niesprawiedliwości zwłaszcza teraz, po sześciu latach wojny, ale przecież nie da się to wcale porównać z tem, co było dawniej. Jest bez porównania większy dobrobyt, jakkolwiek dziesięć razy więcej ludzi żyje w każdym kraju, większe bezpieczeństwo, lepsza sprawiedliwość, a nadewszystko jest wolność, która dla człowieka stanowi największy skarb. Jak to się stało, że zaszła taka ogromna zmiana?

Oto w ten sposób, że pomimo smutnych warunków ludzie nie ustawali w pracy, aby polepszyć los swój i los

swych dzieci, aby dola następnych pokoleń była weselsza. Skutkiem tej dążności uprawiano coraz lepiej pola, budowano coraz wygodniejsze i zdrowsze domy, wynajdywano coraz lepsze sposoby pracy, rozpowszechniała się oświata, powstawały doskonalsze urządzenia państwowe i społeczne, wogóle robiło się na świecie coraz lepiej, coraz jaśniej. Poprośczenie postępowało bardzo wolno, rok następny niezna-ownie różnił się od poprzedzającego, ale gdy starzec myślał o swej młodości, to widział, że za jego życia nastąpiły wyraźne zmiany, a w ciągu wieków świat zmienił się nie do poznania. To ciągle doskonalenie rzeczy i ludzi nazywa się „postępem“. Postęp może być szybszy lub wolniejszy. W wolnych krajach Zachodu, w Anglii, Francji, Szwajcarji, postęp zwłaszcza w ostatnim stuleciu był bardzo szybki, i kraje te doszły do wysokiego stopnia dobrobytu, oświaty i potęgi. W Polsce obce rządy tłumili postęp i haniebnie wyzyskiwały kraj na własną korzyść; dla tego też postęp był wolniejszy, pozostaliśmy daleko w tyle za krajami szczęśliwsiymi. Teraz, gdy mamy już niepodległość, musimy ich doganiać.

Tak więc stopniowy postęp wyprowadził ludzkość ze stanu barbarzyństwa, i postęp będzie ją wznosił na coraz wyższe stopnie cywilizacji i pomyślności. Ale teraz przychodzą bolszewicy i powiadają, że wszystko, co ludzkość zdobyła dotychczas, nie zdało się psu na budę, że oni dopiero pokażą drogę prawdziwego postępu; gdy oni staną na czele, to świat pojedzie kurjerem naprzód. Mówią pięknie, zachwalają swój towar, jak przekupnie za Żelazną Bramą. Ale słowa to piasek, który byle wiatr rozpyła po świecie, a czyny to grunt. Należy sądzić bolszewików według ich czynów i tylko czynów.

Gdy przyjrzymy się temu, co bolszewicy zrobili w ciągu trzyletniego panowania w Rosji, to zrozumiemy całe ich oszustwo. Oni nie tylko nie posuwają kraju naprzód, ale cofają go o całe stulecia wstecz do czasów barbarzyństwa. Zmarnowali cały dorobek dotychczasowy i pograżyli Rosję w takiej nędzy, jakiej nieznaly czasy nowsze. Ludność wymiera z głodu, jak dawniej w latach nieurodzaju, miasta toną w brudzie, nieczystościach i mroku, bo przestały działać wodociągi,

kanalizacja, światło elektryczne. W tych warunkach choroby panoszą się swobodnie, jak przed wiekami. Koleje są zrujnowane, a ludzie muszą podróżować wozem, albo na piechotę, jak ich dziadowie. Bolszewicy zdusili wolność ludzką, nawet tę, która istniała w ostatnich czasach pod rządami carskimi, a Lenin twierdzi, że wolność, to wynalazek burżuijski, wcale nie potrzebny proletarjatowi. Bolszewicy wprowadzają na nowo przymus pracy, czyli pańszczyznę, wprowadzają okrutne kary za byle co. Rozstrzelują nawet za strajki. Ich czerezwyczajki przywróciły tortury, których ludzkość pozbyła się blisko dwa wieki temu, karzą nie tylko za występne czyny, ale i za niedozwolone poglądy, jak dawniej za herezje. Człowiek, nie należący do bolszewickiej kliky, jest zdany na łaskę i niełaskę bolszewickich mocarzów, jak dwieście lat temu chłop lub mieszczanin na łaskę bojarów i carskich czynowników i napróżno szukać tam sprawiedliwości za doznane krzywdy.

Oto taki jest postęp bolszewicki! Jeżeli potrwa on jeszcze z dziesięć lat, to Rosja postąpi tak daleko, że ludzie zaczną chyba tam chodzić na czworakach.



CIEKAWY KARTKI

№ 4

BOLSZEWICY — w ROSJI

Jaki był początek bolszewickiej roboty

Gdy w marcu roku 1917 zrzucano z tronu cara Mikołaja II, to w Rosji we wszystkich zakątkach kraju, zarówno wśród biednych jak i bogatych, zapanowała ogromna radość. Cieszyli się wszyscy, że skończyło się panowanie knuta, i że nadszedł czas wolności. Wzięto się raźnie do pracy dla dobra ludu, i cały naród wyęczał wszystkie siły, aby odeprzeć najazd niemiecki.

Wówczas Niemcy wzięli się na sposób. Posłali do Rosji Lenina, który od wielu lat siedział za granicą, dali mu masę pieniędzy i kazali, aby się nie zgodził, aby namawiał naród do zawarcia pokoju na własną rękę, czyli do zdrady względem dotychczasowych sprzymierzeńców, Francji, Anglii, Włoch. Lenin wszedł w konszachty z innymi bolszewikami i za pieniądze niemieckie bardzo przebiegle wziął się do dzieła.

Jak bolszewicy oszukali naród rosyjski

Gdy skończy się zima, a nastanie wiosna, to właśnie zaczyna się dla rolnika największa praca. Trzeba orać, siewać, bronić, bo inaczej ziemia nie wyda plonów, i nie będzie chleba. Tak też myśleli ludzie, którzy rządili podówczas w Rosji, mówili też do narodu:

— Oto stopniały lody carskiej niewoli, zajaśniało słońce wolności. Teraz właśnie trzeba z całych sił wziąć się do pracy, i dopiero ta praca da nam dobrobyt i szczęście.

A bolszewicy krzyczeli:

— Co oni tam bają o pracy? Wszystko to jest zawracanie głowy! Niech my tylko dojdziemy do władzy, to natychmiast zapanuje raj na ziemi. Odrazu zaprzestaniemy wojny, zgrabimy bogactwo burżujskie, i każdy będzie miał wszystkiego w bród.

Człowiek zwykle chętniej wierzy temu, kto więcej obiecuje. Taka już jest natura ludzka. Bolszewicy obiecywali złote góry, uwierzyło więc im wielu robotników, żołnierzy, chłopów, a nawet inteligentów. Zwalono tedy dotychczasowy rząd Kiereńskiego, i bolszewicy objęły rządy w Rosji.

Jak bolszewicy dotrzymali obietnic

Gdy kucharka chce zarznąć kurę, to woła na nią cip, cip, nazywa ją najpieszczotliwszymi imionami, a gdy głupia kura się zbliży, to łap ją za skrzydła nożem po gardle, i marsz do garnka. Nie inaczej postąpili bolszewicy z ludem rosyjskim. Łudzili go na wszelkie sposoby, a gdy udało się im zagarnąć władzę to zamiast wolności dali mu najokropniejszą niewolę i pogwałcenie, zamiast dobrobytu straszny wyzysk i ostatnią nędzę. O dobro ludu troszczyli się i troszczą tyle, co o zeszłoroczną zimę. Mieli oni inne ważniejsze zmartwienia, mianowicie myśleli o tem, jakby jaknajlepiej obłowić i utrwalić swą władzę.

Prawda, że zaprzestali wojny z Niemcami, zdradzając sprzymierzeńców Rosji. To nie była wielka sztuka. Prawda, że zgrabili wszelkie bogactwa; skonfiskowali nie tylko domy, fabryki, kapitały, należące do bogaczy, ale również oszczędności, które biedni ludzie uciulali na starość, fundusze należące do sierot i wdów, ale z tej całej grabieży lud rosyjski dostał figę. Za zrabowane pieniądze bolszewicy przede wszystkim wynajęli oddziały chińczyków, Łotyszów i różnych łobuzów zwanych czerwoną gwardją, aby trzymać lud w ryzach. Prócz tego obłowili się grubo główni zausznicy

bolszewicy, a zwłaszcza żydzi, którzy tłumnie wtargnęli do Rosji, zajmując najważniejsze urzędy i straszliwie uciskając naród rosyjski.

Jak rządzą bolszewicy

Rządów takich jak w Rosji nie zniosłby dobrowolnie żaden naród na świecie, dlatego też bolszewicy nie chcą dopuścić do żadnego przedstawicielstwa narodowego. W Rosji niema parlamentu, czyli sejmu, bo ten upominałby się o krzywdę ludu, a kara śmierci grozi każdemu, ktoby ośmielił się odezwać przeciwko uciskowi i zdzierstwom bolszewickim.

Do utrzymania ludu w ryzach bolszewicy ustanowili sądy nadzwyczajne, tak zwane „czerezwyczajki“. Sądy te aresztują i sądzą podejrzanych o niesprzyjanie rządowi. Przy badaniach czerezwyczajki torturują podsądnych w najokrutniejszy sposób i skazują na śmierć tysiące ludzi, najczęściej Bogu ducha winnych.

W tych czerezwyczajkach sędziami są często żydziaki i żydóweczki po 17 lub 18 lat, i te zepsute i zezwierzęcone wyrostki są panami życia i śmierci obywateli.

Jak gospodarują bolszewicy

Bolszewicy wprowadzili w Rosji ustrój komunistyczny. To znaczy, że fabryki, kopalnie, koleje, domy, ziemia należą do ogółu, a każdy obywatel powinien otrzymywać ze składow społecznych to wszystko, czego mu potrzeba do życia. Bardzo to jest piękne w gadaniu, ale jest całkiem inaczej w rzeczywistości.

W Rosji bolszewickiej cały naród dzieli się na dwie części. Do pierwszej należą komisarze, członkowie sowietów, członkowie czerezwyczajek i wogóle wszelkiego rodzaju urzędnicy bolszewicy, których jest nieprzeliczone mnóstwo, daleko więcej, niż było za czasów carskich. Do drugiej części należy cała reszta, chłopci, robotnicy, rzemieślnicy czyli ogół ludności kraju. Fabrykami, kopalniami, kolejami, podziałem produktów i t. d. rządzą pierwsi i rządzą ma się rozumieć, na własną korzyść. Wprowadzili oni rodzaj pań-

szczyzny, zmuszając ludność do pracy po dziesięć i więcej godzin dziennie o głodzie i chłodzie. Ludzie też pracują, jak za pańszczyznę i owoce tej gospodarki są straszne.

Ziemia daje trzy razy mniej plonów niż dawniej, fabryki są po większej części zamknięte, a te, które jeszcze się ruszają, pracują tak, że pożał się Boże. Wiele kolei stoi zupełnie na innych chodzi po parę pociągów na tydzień. Panuje też straszny głód, choroby i nędza, a w zimie dokucza zimno i wilgoć, skutkiem braku opału. Ludność wymiera zwłaszcza w miastach. W Petersburgu pozostała zaledwie trzecia część tej liczby mieszkańców, która była przed bolszewizmem.

Zapyta kto, dlaczego Rosja nie zbuntuje się i nie przepełdzi swych katów? Ależ owszem bunty wybuchają wciąż to na wsi to w miastach, ale bolszewicy tłumią je krwawo, a potem mszczą się strasznie nad buntownikami. Ale do czasu dzban wodę nosi.

WYDAWNICTWO „LIGI PRACY“ WARSZAWA, CZACKIEGO 3/5
WYDANIE DRUGIE

DRUK J. ULASIEWICZA, MARSZAŁKOWSKA 49

1 9 2 3



Ciekawe kartki

Czerezwyczajka

Czerezwyczajka jest niezbędną przynależnością ustroju bolszewickiego. Bolszewizm bez czerezwyczajki nie mógłby się ostać tak samo, jak drzewo bez korzeni. Każde miasto rosyjskie posiada przynajmniej jedną czerezwyczajkę, a niekiedy i kilka.

Czerezwyczajka jest to urząd do walki z kontrrewolucją, czyli z ludźmi, którym się bolszewizm z jakiegokolwiek powodu nie podoba, a ponieważ Rosjanie wogóle mają już dość rozkoszy bolszewickich, t. j. nędzy, głodu i upodlenia, ponieważ ogromna większość ludności nienawidzi z całego serca bolszewików, więc czerezwyczajka walczy z ogółem, utrzymując go grozą w uległości.

W większym mieście, takim jak Kijów, czerezwyczajka jest olbrzymim urzędem, zajmującym wiele gmachów i wydającym ogromne sumy. Do czerezwyczajki wstępują największe łotry z pośród bolszewików, a zwłaszcza żydzi i żydówki. Większość z nich pragnie po prostu się obłowić, innym rozkosz sprawia nieograniczona władza nad mieniem i życiem mieszkańców, jeszcze inni weszli do czerezwyczajki ze strachu, aby samym nie dostać się w jej szpony.

Wielu z członków czerezwyczajki, zwłaszcza kobiet, ma rodzaj obłędu, zw. „sadyzmem“. Taki sadysta doznaje szczególnych rozkoszy, zadając męki ludziom, lub przypatrując się katuszom.

Czerezwyczajka utrzymuje zgraję szpiclów, którzy węszą wszelkie objawy niezadowolenia, a zwłaszcza szpiegują, czy kto nie posiada ukrytych pieniędzy lub kosztowności. Na kogo szpicel taki zrobi donos, ten jest tak dobrze, jak zgubiony.

Dla aresztowanych czerezwyczajka posiada własne więzienia oraz miejsca inkwizycji i kaźni. Podczas badań często oskarżonego poddają torturom. W Kijowie rozciągano delikwentów zapomocą bloków tak, że członki wychodziły ze stawów, zabijano drzazgi za paznogie, kobietom obcinano piersi, stosowano również i pewne straszne rodzaje tortur, których tu nie sposób wymieniać. W Odessie delikwentów, przywiązanych do żelaznych płyt, wsuwano stopniowo do roz-

palonego paleniska. Wynajdywano różne inne rodzaje tortur i rozzwierzęceni bolszewicy rozkoszowali się widokiem męczarni i popijając szampana. W Kijowie zdobyła sobie pod tym względem szczególną sławę żydówka Róża, czy Rojza, zwykła dziewczka publiczna. Torturowała ona własnoręcznie ludzi, a potem zabijała ich z rewolweru.

Prócz tortur fizycznych są w użyciu tortury moralne. W Kijowie zaaresztowano ojca i kilkunastoletniego syna. Ojca ustawiono na placu kaźni pod murem, a synowi kazano patrzeć na to z okna. Gdy wszystko już było gotowe do egzekucji, zażądano od syna, aby wskazał gdzie są ukryte pieniądze, bo w razie przeciwnym ojciec zostanie natychmiast stracony.

Oskarżony nie może się bronić. Niema wogóle żadnych rozpraw sądowych; bolszewicy nie bawią się w takie ceremonje. Paru członków czerezwyczajki po krótkiej naradzie wydaje wyrok i zaraz następuje egzekucja.

Podczas egzekucji skazany musi się rozebrać do naga, bo ubranie i bielizna należą do czerezwyczajki, i nie trzeba, aby zwałała je krew. Dotyczy to zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Jeden z katów kijowskich, łotysz, opowiadał z lubością i humorem, jakie zabawy urządza z młodemi delikwentkami. Najczęściej katami są chińczycy.

Nie da się obrachować, ile ofiar pochłania czerezwyczajka, bo wszystko tam odbywa się tajnie. W każdym razie ofiar tych jest bardzo wiele. Są to nie tylko burżuje. Czerezwyczajka nie uznaje różnicy stanów, katuje i traci równie dobrze robotników i chłopów, jak kupców i fabrykantów. Jedynie żydzi są nietykalni. W Kijowie tak strasznie pastwiono się nad ludnością, że w końcu nawet kaci chińscy mieli tego dość i zastrajkowali; skutkiem tego wynikł nawet zatarg pomiędzy czerezwyczajką i konsulem chińskim.

Gdy wojka Denikina zajęły Kijów, to w samym amfiteatrze anatomicznym uniwersytetu znaleziono kilkaset ciał pomordowanych. Ciała te nagie, ze śladami strasznych tortur leżały na stosach w stanie daleko posuniętego rozkładu. Na ulicy Puszkińskiej odkryto piwnicę, w której odbywały się śledztwa. Całą podłogę pokrywała warstwa stężalej krwi. Chodziło się po tem jak po linoleum. Na ścianach i suficie widniały grudki przyschniętego mózgu. Prócz tego istniała prawdziwa rzeźnia ludzka, zaopatrzona we wszelkie udoskonalenia, z cementowanymi rowami do odprowadzania krwi.

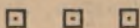
Taka jest główna podpora potęgi bolszewickiej, takimi środkami wpajają oni w ludzi ewangelję bolszewicką i pragną zbawić ludzkość.



CIEKAWE KARTKI

№ 6

Bolszewizm na Węgrzech



I Węgry na podobieństwo Rosji przechodziły przez panowanie bolszewików, i gdy jednak w Rosji panowanie trwa już przeszło cztery lata, i niewiadomo, jak długo trwać będzie, to Węgry cieszyły się błogosławieństwami bolszewizmu wszystkiego cztery miesiące i dwanaście dni, ale jest rzeczą pewną, że kraj ma uciechy tej najzupełniej dość; wołałby on głód, mor i wojnę niż przywrócenie rządów sowieckich.

Gdy cesarz austriacki a zarazem król węgierski, Karol, został wygnany, a jednocześnie nieprzyjaciele zajęli znaczną część Węgier, zapanował w tym kraju wielki zamęt. Rządy dostały się w ręce hrabiego Karolyi, człowieka tępego i narwanego. W stolicy państwa, Budapeszcie, wybuchały raz wraz zaburzenia, i Karolyi nie mógł sobie z tem poradzić; wówczas uciekł się on do całkiem warjackiego środka, postąpił, jak ten, co to podpala stodołę aby wygubić myszy.

Ponieważ socjaliści głoszą, że mają lekarstwo na wszystkie choroby społeczne, że zaprowadzą natychmiast raj na ziemi, byleby tylko dochrapali się władzy, więc pocziwy Karolyi wziął to gadanie za dobrą monetę i oddał im rządy. Wpadły one od razu w ręce najsłabszych partji, a mia-

nowicie partji komunistycznej czyli bolszewickiej. Stało się to w marcu w 1919 roku, i od tej chwili rozpoczęła się na Węgrzech bolszewicka zabawa.

Na czele stanęło trzydziestu kilku tak zwanych komisarzy ludowych, którzy podzielili pomiędzy siebie różne działy zarządu państwowego, jak sprawy zewnętrzne, sprawy wewnętrzne, wojna, finanse i t. d. Była to bardzo dobrana kompanja. Każdy z nich jadł chleb nie z jednego pieca, a niektórzy nawet zdołali się zapoznać z kryminałem. Samemu Beli Kunowi (właściwie Kohenowi), który był głównymmacherem bolszewickim, wydarzył się niegdyś przykry wypadek. Oto, będąc urzędnikiem kasy chorych, przywłaszczył 2.000 koron. Za ten niewinny figiel potrzebował odsiedzieć półtrzecia roku. Prawa ręka Kuna Tibor Szamuely, żyd podobnie jak i tamten, był znanym szwindlarzem. Bela Vago, i ten także żyd, został wydalony z uniwersytetu za przywłaszczenie pieniędzy, Józef Pogany, naturalnie również żyd, był niemieckim szpiegiem i t. d. Jednem słowem towarzystwo z pod ciemnej gwiazdy.

Panowie komisarze zajęli na własny użytek najwspanialszy hotel w Budapeszcie „Hungaria“, i nie żalowali sobie niczego. Ci obrońcy ludu jedli i pili, jak magnaci, a przed hotelem stały dziesiątki eleganckich samochodów, na przypadek, gdyby któremu zachciało się użyć przejażdżki. Urządzący się w ten sposób, zaczęli rządzić Węgrami i, trzeba przyznać, sprytne to były rządy.

Każdy widział z pewnością jak żydek tandeciarz na jarmarku sprzedaje używaną kapotę. Wykręca ją na wszystkie strony, podsuwa pod oczy guziki, kołnierz, podszewkę, wychwala wszystko pod niebiosy, kupujący jest przekonany, że robi złoty interes, aż dopiero w domu przekonywa się, że całe plecy są w dziurach i plamach. Podobnie szachrowali bolszewicy na Węgrzech. Ile to oni wydali wzniosłych odezw, pięknych przepisów i znakomitych praw? Gdyby wszystko tak było, jak stało w tych odezwach, to każdy chciałby tylko żyć, a nie umierać, pod rządami bolszewickimi. Z początku też otumanili pięknymi słówkami niemało narodu zwłaszcza po miastach. Wkrótce jednak spostrzeżo-

no się, że prawdziwa robota bolszewików jest tak podobna do ich obiecanek, jak stara podeszwa do pomarańczy.

Tak więc według głoszonych zasad największą władzą miał być lud, ale gdy lud wybrał do rad robotniczych ludzi nie należących do partji komunistycznej, to ludzi tych wyrzucono sromotnie z urzędu, a miejsce ich zajęli jakieś drapichrusty, naślane z Budapesztu. Naturalnie bolszewicy w swych odezwach są za wolnością, jaknajwiększą wolnością, wolnością prasy, przekonań i t. d. W rzeczywistości wszystkich redaktorów niekomunistów zamknęli odrazu w więzieniu. Tak bolszewicy rozumieją wolność prasy, o wolność przekonań szczególnie się troszczył wspomniany wyżej Szamuelly, którego ludność przeważała „katem Węgier“. Zorganizował on oddział bolszewicki, zwany „dziećmi Lenina“, złożony z kryminalistów i różnej hałastry, przeważnie Niemców, Moskali i Żydów. Te miłe dzieciaki łowili ludzi, podejrzanych o odmienne przekonania i, najczęściej bez żadnego sądu, po stu i więcej dziennie. Wielu ludzi ginęło bez żadnego śladu; bolszewicy dusili ich w podziemiach parlamentu węgierskiego i innych miejscach kaźni; a ciała wrzucali do Dunaju. Torturowano przytem więźniów w sposób okrutny.

W odezwach bolszewicy węgierscy tak samo, jak Rosyjscy, pałali ognistą miłością do robotników i chłopów. Aby uszczęśliwić robotników, porobili dyrektorami fabryk swych zauszników, wypróbowanych komunistów, ale którzy znali się tyle na fabrykacji, co gęś na medycynie. Panowie ci gospodarowali tak doskonale, że wydajność fabryk stała się w krótkce całkiem śmieszną. Strajków surowo zabroniono, a robotników górniczych całkiem przytwardzono do miejsca, jak niewolników. Płacę wyznaczali komisarze, nie pytając robotników o zgodę, a zarobki wypłacano fałszywemi pieniędzmi. W ten sam sposób płacono chłopom za rekwirowane zboże, kartofle i t. d., a gdy pomimo gróźb robotnicy zastrajkowali, albo chłopci odmówili dostarczania produktów wzamian za fałszywe papierki, to zjawili się dzieci Lenina, aby nauczyć nieposłusznych moresu za pomocą karabinów maszynowych.

Węgier nie ma tej cierpliwości, co moskal. Można go otumanić na chwilę, ale wnet pozna się na farbowanych lisach i wówczas biada oszustowi. Najpierw poznali się na szwindlu komunistycznym robotnicy, a wkrótce cały kraj postanowił zrzucić bolszewickie jarzmo. Czerwona armja, główna podpora bolszewickiego rządu, nie chciała służyć dalej i rozbiegła się na cztery wiatry, na dzieci Lenina urządzono zasadzki i obławę. Wreszcie panowie komisarze zwąchali pismo swym delikatnym nosem, każdy napchał sobie porządnie kabzę i czmychnął, gdzie raki zimują. Dnia 1-go sierpnia 1919 roku, Węgry były nareszcie wyswobodzone z bolszewickiej niewoli.

WYDAWNICTWO „LIGI PRACY“, WARSZAWA, CZACKIEGO 3/5
WYDANIE DRUGIE

DRUK. J. ULASIEWICZA, MARSZAŁKOWSKA 49.

1923



CIEKawe KARTKI

N^o 7.

O DEMOKRACJI I BOLSZEWIZMIE

DEMOKRACJA

Od chwili odzyskania niepodległości, Polska wprowadziła u siebie ustroj demokratyczny, czyli demokrację. Inaczej być nie mogło, bo wszyscy pragnęliśmy takiego ustroju. Cóż to jest demokracja?

Wyraz demokracja jest grecki i oznacza ludowładztwo. W ustroju demokratycznym lud czyli ogół sam rządzi sprawami państwowymi. Ale łatwo pojąć, że cała ludność nie może zajmować się każdą sprawą państwową. Rolnik, rzemieślnik, kupiec mają dość własnych zmartwień, aby zastanawiać się nad każdym prawem, które trzeba wydać, i nad każdym paragrafem tego prawa. Dlatego też ludność wybiera posłów do sejmu i dopiero ten sejm pilnuje spraw państwowych.

W państwie demokratycznym rząd (t. j. ministrowie) musi spełniać wolę sejmu, bo inaczej zostanie usunięty, a sejm musi postępować zgodnie z wolą narodu, bo inaczej członkowie jego osiadają na koszu przy wyborach następnych.

CO JEST DOBREGO W DEMOKRACJI?

Ponieważ w ustroju demokratycznym naród sam sobą rządzi, przeto nie może tu być żadnego ucisku. Nikt przecież nie będzie krzywdził sam siebie. A więc musi być wolność przekonań, wolności stowarzyszeń i związków, wolność wyznań.

Naród pragnie, aby mu było jaknajlepiej, a zatem sejm i rząd muszą dbać nadewszystko o dobro narodu. Wprawdzie i w demokracji rząd i sejm mogą się mylić i mylą się nieraz, i w demokracji źli ludzie oszukują naród, wyyskując swe stanowisko w państwie na własną korzyść; ale ponieważ wolno jest mówić i pisać wszystko, przeto zawsze ostatecznie znajdzie się ktoś, kto publicznie wykaże błąd i napiętnuje łotrstwo. Wówczas następuje zwykle poprawa błędów lub kara łotrów.

W demokracji z konieczności dola ludu musi się stopniowo polepszać, i kraje demokratyczne dochodzą zawsze do wysokiego stopnia pomyślności.

DESPOTYZM

Jeżeli w kraju cała władza należy do jednego człowieka, jak poprzednio w Rosji do cara, albo w Turcji do sułtana, to mówimy, że w tym kraju jest despotyzm. Ate taki człowiek, czyli despota, nie utrzymałby się na swem stanowisku i dwóch dni, gdyby nie miał poparcia w kraju; dlatego, też despota zawsze kupuje sobie poparcie pewnej klasy ludzi, dając im różne przywileje, dzieląc pomiędzy nią urzędy państwowe i t. d., czyli dzieląc się z nią władzą i wpływem. Ostatecznie więc w państwie despotycznym rządzi nie ten jeden despota, lecz cała klasa ludzi, i to jest najważniejsza oznaka despotyzmu. Naprzykład w Rosji taką klasą rządzącą była biurokracja czyli urzędnicy.

Despotyzm jest zaprzeczeniem wolności. Despotyzm nie może się pogodzić z wolnością, jak ogień z wodą. Klasa rządząca nie może pozwolić na krytykę istniejących porządków i na swobodne zrzeszanie się. Obawia się ona słusznie, że naród skorzystałby z tej swobody i wystąpił przeciwko jej samowoli.

Klasa rządząca mówi zwykle wiele i pięknie o tem, jak to ona troszczy się o dobro ludu, ale w rzeczywistości dba tylko o interesy własne. Dlatego też w krajach despotycznych lud żyje w ciemnocie i nędzy.

BOLSZEWIZM

A teraz zapytamy, jaki ustrój posiada Rosja bolszewicka, demokratyczny, czy despotyczny? Odpowiedź jest prosta. W Rosji obecnie niema wprawdzie cara, ale jest klasa rządząca. Są to członkowie partji bolszewickiej, czyli po prostu bolszewicy. Oni pozajmowali wszelkie urzędy, wszelkie stanowiska wpływowe i rządzą krajem według widzimisię, nie pytając ogółu o zdanie.

W Rosji też niema żadnego przedstawicielstwa narodowego, jak nasz sejm. Nawet za carskich rządów w ostatnich latach była Duma, wprawdzie z bardzo ograniczoną władzą, a teraz nie ma nic. Z tego już widać, że bolszewicy wprowadzili w Rosji despotyzm gorszy od carskiego. Stłumili oni wszelką wolność, rozstrzelali dziesiątki tysięcy ludzi, mających odmienne poglądy. Niewoli takiej nie było nawet za czasów carskich.

Despotyzm jest zawsze nieszczęściem. Niszczy on kraj gorzej od zarazy. I to się sprawdza jaknajdokładniej na rządach bolszewickich. Doprowadziły one do bezdennej nędzy, nędzy takiej, jakiej dotychczas świat nie widział.



CIEKAWY KARTKI

Nr 8

PRZYJACIELE LUDU

Wilhelmowi II, byłemu cesarzowi Niemiec, matka natura nie odmówiła zdolności. Gdyby urodził się w skromniejszym stanie, to prawdopodobnie wyszedłby na użytecznego członka społeczeństwa, byłby może dobrym rzemieślnikiem, adwokatem lub lekarzem. Ale ślepy los włożył mu koronę na głowę i to koronę jednego z najpotężniejszych mocarstw świata. W tem był właśnie sęk, bo być dobrym monarchą, prawdziwie dobrym, to jest rzecz ogromnie trudna.

Gdy zwykły człowiek popełni coś głupiego, to często znajdzie się ktoś taki, co mu to wytłumaczy grzecznie, albo i bez obwijania w bawełnę, ale nie wolno nikomu napomknąć nawet słówkiem, że monarcha w czemkolwiek niema najzupełniejszej racji. Gdy cesarz lub król oświadczy, że wielbłąd jest z powierzchowności podobny do białej myszy, to etykieta rozkazuje oświadczyć:

— Jak dwie krople wody, najjaśniejszy panie.

Takie ciągłe basowanie może łatwo zawrócić w głowie zwłaszcza w głowie słabej. Głowa Wilhelma nie była zbyt mocna, a do tego miał on z natury pewną słabośćkę, mianowicie był nieco próżny, lubił, aby go wychwalano, lubił uchodzić za wielkiego człowieka. Nie trzeba go za to potępiać, bo któż z nas jest całkowicie wolny od tej przywary, tylko że dla cesarza przywara ta jest szczególnie niebezpieczna. Bo oto dworacy zwachali pismo nosem i nuż mu kadzić na wszelkie sposoby, nuż wynosić pod niebiosy jego różnorodne talenty. Z czasem cesarz uwierzył święcie, że jest wielkim wodzem, niezrównanym

dyplomata, porywającym kaznodzieją, znakomitym malarzem, genialnym konstruktorem okrętów i t. d. On znał się najlepiej na wszystkim; o każdej sprawie mówił z taką pewnością siebie, jakby nią wyłącznie trudnił się od urodzenia. Naokoło siebie znosił tylko służalców, którzy mu we wszystkim potakiwali, dla nich były dostojenstwa, odznaczenia i nagrody. Ludzie uczciwi, pragnący istotnie jego dobra i dobra państwa, lecz nie umiejący pochlebiać, nie mieli doń dostępu. Rozsadzała go szalona pycha; zaczął uważać się za Boga, a nawet za coś więcej. Przemawiając pewnego razu do oficerów gwardji, rzekł:

— Nie wątpię, że każdy z was myśli codziennie o swym cesarzu, ale nie trzeba zapominać i o Panu Bogu.

Uważał, że został wybrany do rządzenia całym światem, a każdy czy to Niemiec, czy obcy, kto sprzeciwił się jego woli, był dlań buntownikiem i zbrodniarzem. Natomiast jego samego nie krępowały żadne względy, żadne zasady moralne. Oszustwo, kłamstwo, wiarołomstwo — wszystko to było dozwolone, gdy chodziło o dogodzenie jego zachciankom. Nic dziwnego, że taki monarcha oburzył przeciwko sobie cały świat, że wywołał straszliwą wojnę, ściągnął klęskę na swój kraj i sam poszedł na wygnanie.

Wilhelm II nie jest bynajmniej pierwszym przykładem tego rodzaju. Wielu innych cesarzów i wielu królów padło ofiarą pochlebców, dbających jedynie o własny interes; monarchowie ci nie tylko ściągnęli na siebie nieszczęście i hańbę, ale wyrządzili również ciężką krzywdę krajowi, nad którym panowali. Wpływ pochlebców dworskich na próżnego monarchę to jest jedna z największych wad ustroju monarchicznego.

W Rzeczypospolitej niema monarchy, niema dworu, a więc, zdawałoby się, nie mają tu nic do roboty filuci, którzy przy pomocy pochlebstw, pragnęliby zdobyć fortuny. Niestety i w Rzeczypospolitej ta droga stoi otworem. W Rzeczypospolitej miejsce wszechwładnego monarchy zajmuje lud. On zapomocą kartek wyborczych decyduje, kto ma zasiadać w sejmie, a godność poselska otwiera drogę do władzy, zaszczytów i dochodów, doświadczenie zaś stwierdza, że lud jest także wrażliwy na pochlebstwa, że obrotny szarlatan łatwiej zyskuje jego łaski niż człowiek uczciwy, istotnie pragnący dobra kraju. Widzimy też wielu, bardzo wielu działaczy, którym z ust nie schodzi wyraz lud, którzy mówią z takim nabożeństwem o ludzie, o jego woli, rozumie i cnotach, jak dawniej dworacy pruscy o Wilhelmie, a w głębi duszy myślą jedynie o własnej korzyści. Tacy działacze byli już znani w starożytności. W Atenach nazywano ich demagogami, i nazwa ta przeszła do innych języków.

Człowiek wytrawny z łatwością przeniknie kwieciste frazesy o miłości ludu i dojrzy pod nimi brudną podszewkę demagoga. Są na to różne sposoby. Podamy tu jeden, który rzadko zawodzi.

Jest to jedną z najważniejszych i najpewniejszych prawd na świecie, że naród może wzbogacić się tylko pracą. Jednostka wzbogaca się niekiedy w inny sposób; może ona wygrać na loterii lub w karty, może otrzymać spadek, ostatecznie okraść kogo, ale dla narodu, jako całości wszystkie te drogi są zamknięte. Jedna tylko stoi otworem, a mianowicie droga pracy.

Mówimy, że w kraju panuje dobrobyt, że kraj jest bogaty, gdy ludność się dobrze odżywia, wygodnie mieszka, dostаточно się ubiera i t. d. Obojętną jest rzeczą, jakie dochody w pieniądzech ma chłop, robotnik, czy urzędnik, byleby jego potrzeby życiowe były należycie zaspakajane. Dochody rosyjskiego robotnika pod rządami sowieckimi są olbrzymie; otrzymuje on miliony i dziesiątki milionów rubli, ale mała stąd pociecha, gdy jednocześnie żyje w najokropniejszej nędzy. Lecz ogół będzie dobrze się odżywiać tylko wtedy, gdy rolnicy będą wytwarzali dużo zboża, mięsa, nabiału i t. d., będzie wygodnie mieszkał, gdy pracownicy budowlani będą budowali dużo nowych domów, będzie dostаточно się ubierał, gdy fabryki tkackie wyrobią dużo tkanin, a garbarze dużo skór; jednym słowem w kraju będzie panował dobrobyt, gdy produkcja będzie duża, czyli gdy ludzie będą dużo pracowali.

Wprawdzie nie wszystko, co się produkuje w kraju bywa spożyte w kraju. Część wytworów krajowych wychodzi za granicę, lecz z drugiej strony my spożywamy różne rzeczy wytworzone za granicą i przywiezione do nas; właśnie w tym celu wywozimy za granicę wyroby nasze, aby w zamian za nie otrzymać potrzebne nam wyroby zagraniczne. W handlu pomiędzy krajami towar wymienia się na towar. My np. wywozimy nasze tkaniny i w zamian za to przywozimy miedź, której mamy za mało w kraju, a która jest nam niezbędna na naczynia, przewodniki elektryczne, niektóre części maszyn i t. d. Robotnik łódzki, pracujący przy warsztacie tkackim, wytwarza np. perkal, ale skutek jego pracy w całokształcie gospodarki krajowej jest taki, jakby wytwarzał miedź. Można powiedzieć, że pośrednio wytwarza on ten metal, oraz, że wszystka miedź, zużyta w Polsce, została wytworzona w Polsce. Tożsamo dotyczy wszelkich innych produktów zagranicznych, i ostatecznie wypada, że Polska spożywa tylko to, co sama wytwarza. Im więcej pracuje, im więcej wytwarza, tem więcej może spożywać, tem lepiej wszystkie warstwy zaspakajają swe potrzeby, tem większy panuje dobrobyt.

Wszystko to jest tak proste i jasne, że zrozumie to każdy, kto nie spadł z trzeciego piętra na głowę. Ale posłuchajmy, co opowiadają różni politycy, mówcy wiecowi, dziennikarze, a nawet często i posłowie. Twierdzą oni, że jest całkiem odwrotnie, że tem lepiej będzie na świecie, im mniej ludzie będą pracowali. Wymownie przemawiają za tem, aby było jak najwięcej świąt, aby dzień roboczy był jaknajkrótszy, zachęcają ludzi do strajków, zwalczają takie sposoby wynagradzania, które podnoszą wydajność pracy, krótko mówiąc usilnie starają się o to, aby produkcja krajowa była jaknajmniejsza.

Tego rodzaju gadanie jest najniezawodniejszą oznaką demagoga. Kto tak mówi, ten na pewno nie myśli wcale o pomysłowości kraju, a szczęście i dobrobyt ludu obchodzą go tyle, co zeszłoroczna zima. Temu chodzi jedynie o własne interesy, jak owym dworakom Wilhelma. Tamci kadzili cesarzowi, a ten kadzi ludowi, od którego obecnie zależy karjera. Wie on, że ogromna większość ludzi pragnęłaby jaknajmniej pracować, a jak najwięcej używać i basuje tej większości, rachując, że uwierzy w jego cygaństwo i da za nim lub za jego adherentami swe głosy. Liczy na to, że więcej na świecie jest głupich niż mądrych. Człowiek, który istotnie kocha lud i pragnie, aby na świecie było coraz lepiej z pewnością mówi zupełnie co innego. Na dowód przytoczymy wyjątki z artykułu o ośmiogodzinnym dniu roboczym socjalisty niemieckiego Maxa Schippa, artykuł ten ukazał się niedawno w czasopiśmie „Sozialistische Monatshefte“ (Socjalistyczne Zeszyty Miesięczne). Schippel ma na myśli stosunki niemieckie, ale słowa jego dadzą się z niewielkimi zmianami zastosować do naszego kraju i to z jeszcze większą słusnością.

„Problemat ośmiogodzinnego dnia roboczego wygląda dziś zupełnie inaczej niż za dawnych dobrych czasów, które minęły i wrócić nie prędko. Rozprawia się na temat, czy ludność, rozporządzająca wszelkimi środkami, które istniały przed wojną, mogłaby wytworzyć to wszystko, co jest niezbędne do zaspokojenia potrzeb życiowych narodu, do odnawiania aparatu technicznego oraz do podtrzymania działalności kulturalnej państwa i społeczeństwa. Różne dyskusje, dotyczące tego pytania, były na miejscu przed rokiem 1914, lecz w dobie obecnej są to głędzenia starcze, bo dziś gospodarujemy na ziemi okrutnie wyjałowionej i wynędzniałej, nasz aparat techniczny pomimo wysokich dochodów, które pozornie przynoszą przedsiębiorstwa, jest ciężko okaleczony i rozłazi się coraz bardziej, a nasza zdolność do pracy dopiero zwolna powraca do dawnej normy. I przytem wszystkim mamy nie tylko pokryć nasze bieżące potrzeby życiowe i kulturalne oraz odnowić aparat wytwórczy, ale jeszcze

musimy w krótkim czasie podnieść się z upadku, w który nas wtrąciła wojna, a może jeszcze bardziej gospodarka powojenna. A tu jeszcze ciąży na naszych barkach utrzymanie niezliczonych inwalidów, wdów, sierot oraz Niemców zagranicznych, którzy pozostali bez środków do życia. Tego wszystkiego nie było przed wojną. A jeszcze trzeba dorachować olbrzymie sumy odszkodowań wojennych. Nawet w r. 1914 przy pełnej sprawności wytwórczej narodu opuściłby nas nastrój majowego święta, gdyby wladowano na nas ciężary z r. 1922.

Ale i wówczas, przed wojną, opinie o ośmiogodzinnym dniu roboczym wśród nas, socjalistów, nie były wcale zgodne. Niekiedy żądaliśmy skrócenia dnia roboczego, twierdząc, że łagodzi on nadprodukcję i brak pracy, te dwie plagi ludzkości współczesnej. W innych razach nalewało się z innej beczki. Wystawialiśmy skrócony dzień roboczy właśnie jako środek do wzmożenia produkcji, a niektórzy pisarze naszego stronnictwa z całą powagą zalecali dzień ośmiogodzinny, jako najdzielniejszą broń w międzynarodowej walce konkurencyjnej.

Dawniej zapewne nie bylibyśmy za tem, aby zrównać wszelkie rodzaje pracy, wprowadzając dla wszystkich zajęć jednakowy dzień roboczy. Przecież wszedł nam w krew pogląd Karola Marxa, że prosta praca przeciętna jest to coś innego niż praca złożona, twierdziliśmy zgodnie z Rodbertusem, że „normalny dzień roboczy należy w różnych zawodach normować rozmaicie pod względem liczby godzin zależnie od natężenia trudu i nakładu sił“. Przed wojną w różnych gałęziach pracy były różne długości dnia roboczego. Różnice, dość znaczne, w pewnej mierze zależały od większej lub mniejszej zaradności odnośnej kategorii robotników. Może stało się i słusznie, że prawodawstwo w tych razach przeprowadziło bezwzględny strychulec. Ale z drugiej strony w różnicach tych odzwierciadlała się również niewątpliwie niejednakowa trudność roboty, niejednakowe zmęczenie, które sprawia godzina pracy w różnych zawodach. Prawo o ośmiogodzinnym dniu roboczym przejechało po tych zupełnie usprawiedliwionych odchyleniach jakby broną i dlatego też ma ono charakter czegoś szablonowego, sprzecznego z naturą rzeczy“...

Dalej Schippel wywodzi, jak wielce myłono się, że skrócenie dnia roboczego wywoła powiększenie wydajności pracy. W rzeczywistości Niemcy ponieśli olbrzymią stratę. Sam spadek produkcji robotników przemysłowych, następstwo obciążenia dnia roboczego, jest dwa i ćwierć razy większy od odszkodowań wojennych.

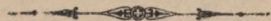
„Dziś nikt już nie utrzymuje, że zapowiadane dawniej powiększenie wydajności istotnie stało się ciałem, a zresztą ucho-

dzą u nas za dogmaty dwa twierdzenia, między którymi zieje bezdenna sprzeczność. Mówi się, że przedłużenie dnia roboczego ponad ośm godzin już nie powiększa produkcji, a jednocześnie dowodzimy, że kapitał zwalcza ośmiogodzinny dzień roboczy, bo powiększenie produkcji w godzinach dodatkowych przynosi mu złote góry...

Jedynie spotęgowana praca i obfite zaopatrzenie rynków mogą uwolnić robotników niemieckich od obecnych mąk Tantalą, a zatem przedłużenie czasu pracy jest właśnie najbardziej potrzebne samej klasie robotniczej“.

Schippel jest socjalistą, ale każdy zarówno socjalista, jak i niesocjalista, przeczytawszy słowa powyższe, musi przyznać, że człowiek ten istotnie dba o dobro ludu, że więcej mu zależy na pomyślności klasy robotniczej, niż na własnej popularności. Byłoby dobrze na świecie, gdyby wszyscy działacze społeczni byli tak uczciwi, lub gdyby lud nie dał się oszukiwać sprytnym wydrwigroszom, którzy wiedą go do zguby, jak owi dworacy pruscy cesarza Wilhelma.

Z. Straszewicz.



Nakazy chwili dla Polaka.

1) Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski
wypowiedział w Poznaniu dn. 27. XII. 1919 r.

„Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi. Kto to do tych zawodów bardziej przygotowany będzie, kto w tym wyścigu większe dowody wytrwałości złoży, ten w najbliższym czasie będzie zwycięzcą, ten potrafi utrzymać to, co zyskał, albo odrobić to, co stracił“.

2) Marszałek Sejmu, Wojciech Trąpczyński w 1920 r.

„I pójdziecie w służbę innych narodów“ (Piotr Skarga).

„Jeśli nie nauczymy się pracować u siebie więcej, lepiej i taniej od innych narodów, jeśli w produkcji nie potrafimy wytrzymać konkurencji z innymi krajami, Polska zapłaci swój konieczny import najsmutniejszym eksportem — eksportem robotnika“.

3) B. Prezydent Ministrów, Wincenty Witos
wypowiedział w Sejmie dnia 22. X. 1920 r.

„Bez pracy zorganizowanej, bez oszczędności, bez świadomości, że każdy dzień powinien przynosić wzmożenie się narodowego bogactwa, owoce zwycięskiej wojny mogą pójść na marne“.

4) Albert Thomas, socjalista francuski
wypowiedział podczas pobytu w Warszawie
w 1920 r.

„Należy przypomnieć całemu społeczeństwu polskiemu, że zbawienie leży w wytwórczości. Precz z rozleniwieniem. Niech żyje pracowitość. Obecnie Francja znów pracuje energicznie, znów wytwarza, produkuje i ani myśli o bolszewickich demagogicznych gruszkach na wierzbie“.

Wydawnictwa „Ligi Pracy“

Warszawa, Czackiego 3/5, tel. 319-03.

„**Od czego zależy bogactwo narodów**“, napisał Zygmunt Straszewicz. Wydanie 3-cie, 1922. Cena 20 mk.

„**Świętować czy pracować?**“, napisał Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), 1922. Cena 40 mk.

„**Zasady organizacji naukowej zakładów przemysłowych**“, napisał F. W. Taylor, przełożył Henryk Mierzejewski, z przedmową Aleksandra Rotherta. Wydanie 2-gie, 1922. Cena 400 mk

„**Najważniejsze zadanie szkoły**“, napisał Zygmunt Straszewicz. wydanie 3-cie, 1922. Cena 30 mk.

„**Hygjena pracy**“, napisał Dr. Władysław Chodecki, 1920 rok. Cena 20 mk.

„**O strajkach**“, wydanie 3-cie 1922. Cena 60 mk.

Plakat: „**Mała wydajność pracy, strajki podcinają produkcję krajową, wzmacniają wrogów**“. Cena 50 mk.

„**Kultura Polska w niebezpieczeństwie**“ (przyczynek do badań epidemii strajkowej), 1920. Wyczerpane.

„**Bolszewizm i socjalizm**“, 1922. Cena 20 mk.

„**Rola przemysłu w niepodległej Polsce**“, przemówienie profesora Zygmunta Straszewicza na uroczystości rozpoczęcia roku akademickiego 1920/1921 w Politechnice Warszawskiej, 1921. Cena 40 mk.

„**Jak nieźmiernie biedniejemy**“, napisał Piotr Drzewiecki 1922. Cena 40 mk.

„**Ciekawe kartki**“, 1922. Cena 1 kartki 10 mk.

Dotychczas wyszły: „Historja o szczęśliwej wyspie czyli nieróbstwo“, „Socjalizm a dobro narodu“, „Postęp i bolszewizm“, „Bolszewicy w Rosji“, „Czrezwyczajka“, „Bolszewizm na Węgrzech“, „O demokracji i bolszewizmie“.

W druku:

„**Płaca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika**“, przez S. K. Drewnowskiego, inż.-technologa. Wyd. 2-gie.

„**Jaki system płacy stosować w dzisiejszych warunkach?**“, napisał Al. Rothert. Wyd. 2-gie.

„**Państwo Polskie w niebezpieczeństwie**“. Wyd. 2-gie.

„**Teorja wyzysku**“ (Rodbertus i Marx), napisał Eugenjusz v. Böhm-Bawerk. Przełożył z niemieckiego Zygmunt Straszewicz, wydanie 3-cie.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 321800



000-321800-00-0

WYCIĄG ZE STATUTU TOWARZYSTWA **L I G A P R A C Y**

(WARSZAWA, CZACKIEGO 3/5, TELEFON 319-03)

§ 1.

Towarzystwo pod nazwą „LIGA PRACY” ma na celu:

- a) szerzenie świadomości, że celowa i wydajna praca obywateli jest podstawą ogólnej pomyślności narodu;
- b) wzmożenie w społeczeństwie wydajności pracy i popieranie prawidłowej jej organizacji, jako podstawy dobra ogólnego.

UWAGA: Towarzystwo nie ma na celu obrony interesów jakiejkolwiek grupy społecznej, gdyż zadaniem jego jest szerzenie we wszystkich warstwach społecznych zamięłowania do pracy, jako koniecznej podstawy bytu i pomyślnego rozwoju narodu.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 321800



000-321800-00-0